SIECI

KORONACJA BOLESŁAWA CHROBREGO
JAK TO MOGŁO WYGLĄDAĆ

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
16 (646) 2025
14–21 kwietnia 2025
CENA: 13,90 zł
(w tym 8% VAT)

ŚLEDZTWO GRZEGORZA GÓRNEGO

ŚWIADKOWIE MĘKI CHRYSTUSA

KIM BYLI CI, KTÓRZY WIDZIELI JEGO ŚMIERĆ I UJRZELI GO ZMARTWYCHWSTAŁEGO? CO NAM PRZEKAZALI? CZEGO NAS UCZĄ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
16
9 772544 269502
Numer w sprzedaży do 22 IV 2025 r.

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459	631
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea	TOYA

eprasa.pl efe16964bb

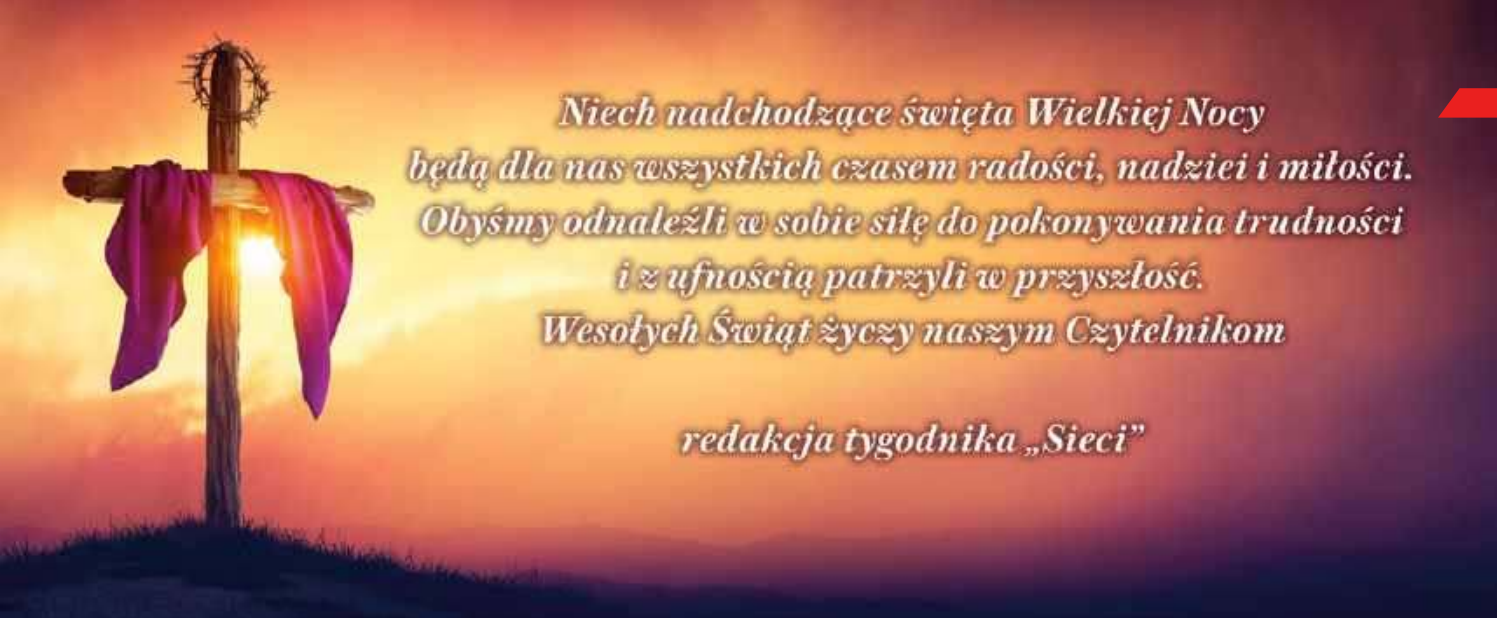

Nie poddamy się

Wojewódzki Sąd Administracyjny uchylił uchwałę Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji o przyznaniu koncesji na nadawanie na multipleksie telewizji wPolsce24 oraz telewizji Republika. To kuriozalny wyrok. Sam sąd przyznał, że zgodnie z prawem decyzja KRRiT jest uznaniowa, czyli rada nikomu nie musi się tłumaczyć ze swoich rozstrzygnięć. Mimo to pani sędzia uznała, że KRRiT powinna wskazać kryteria, którymi się kierowała, a także powinna zbadać oba podmioty „pod względem bezpieczeństwa państwa, obronności państwa, naruszenia dóbr kultury”. Takich argumentów można użyć przy obalaniu każdej koncesji, bo zawsze można kogoś zbadać dokładniej albo pod nieuwzględnionym wcześniej kątem. Trudno nie uznać, że to tylko preteksty, wyjątkowo nędznej jakości.

Decyzja sądu jest w oczywisty sposób częścią politycznych represji wymierzonych w niezależne media. To charakterystyczna cecha reżimu, który powstaje na naszych oczach. Niszczy on demokrację, pozbawiając niezależne instytucje, już bardzo nieliczne, ich jasno zapisanych uprawnień za pomocą sądowej przemocy. Czasem rozciąga przepisy ponad praktykę, tradycję i zdrowy rozsądek, a czasem po prostu ignoruje prawo, uśmierca je, unieważnia. Wszystko w ramach gry w systemie, który celowo podlega destabilizacji. Niektórzy mówią, że to anarchia, ale to pomyłka. Anarchia nastaje wówczas, gdy nikt nie rządzi. Tu mamy zamordyzm. Prawo działa, gdy władza uznaje, że ma działać. W sytuacji, gdy prawo chroni słabszych, zwłaszcza opozycję, przestaje obowiązywać z dnia na dzień.

Telewizja wPolsce24 będzie nadawała, nawet jeśli straci koncesję na nadawanie naziemne. Nie poddamy się, bo Polska zasługuje na pluralizm medialny, wolność słowa, prawdę i prawdziwą debatę. Jednocześnie wszyscy polscy patrioci muszą dostrzec, że stajemy nad przepaścią. Dziś z prawdziwej demokracji ostały nam się nędzne resztki. Powstaje nowy system, który jeszcze nie ma nazwy, ale który chce odebrać nam i wolność, i niepodległość jednocześnie. W roku tysiąclecia pierwszej polskiej koronacji sens tego aktu ma zostać odwrócony: Polska ma się stać zewnętrznym landem Niemiec pozbawionym nawet skromnej autonomii, poddanym przymusowym zmianom etnicznym, skazanym na masową emigrację młodych ludzi, a finalnie na wymarcie.

To wszystko może przerażać. Ale też skala zamordystycznych działań wskazuje, że władza nie czuje się pewnie. Wszystko, co ma, wygląda imponująco, ale jest bardzo kruche. Może bardzo szybko rozlecieć się na kawałki, ale tylko pod jednym warunkiem: że wolni Polacy nie poddadzą się, nie dadzą się ani zastraszyć, ani zepchnąć w prywatność. Wszystko zależy od nas.

Jacek Karnowski

Autopromocja

SIECI

spis treści

25 Rehabilitacja volksdeutscha?
Konrad Kołodziejski

72 Niezmiennie obecny z nami
Rozmowa Jolanty Gajdy-Zadwornej

78 Piłka jest kobietą
Michał Muzyczuk

NA POCZĄTEK

5 PAMIĘTAJMY
Bronisław Wildstein

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 BONŻUR WIELKANOCNY
Krzysztof Feusette

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 TUSK MOŻE SIĘ WYKAZAĆ. JEŚLI NIE TERAZ, TO KIEDY?
Daniel Obajtek

13 GŁOSUJMY W OBRONIE NASZEGO PRAWA DO SAMOSTANOWIENIA
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 WALIZKA KS. PIOTRA WALEŃDZIKA
Michał Korsun

16 OD BOLESŁAWA CHROBREGO DO JANA PAWŁA ŚWIĘTEGO
Jan Pietrzak

16 PRAWDZIWA DEBATA JUŻ TRWA
Samuel Pereira

17 HISTORIA JESZCZE SIĘ NIE KOŃCZY
Arkadiusz Mularczyk

18 POLSCY ABORYGENI
Lech Makowiecki

19 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

TEMAT TYGODNIA

20 ŚWIADKOWIE MĘKI CHRYSTUSA
Grzegorz Górny

KRAJ

25 REHABILITACJA VOLKSDEUTSCHA?
Konrad Kołodziejski

28 WOJNA U TRZASKOWSKIEGO
Stanisław Janecki

30 TAK ZABITO FELKA
Goran Andrijanić

ŚWIAT

32 ZAPLANOWANY CHAOS, CZYLI TRUMP CLI ŚWIAT
Dariusz Matuszak

35 NIE MA UCIECZKI OD POBORU
Marek Budzisz

MAGAZYN WIELKANOCNY

40 KORONACJA BOLESŁAWA. ZAGADKA DLA HISTORYKÓW
Z Jakubem Magrianem
rozmawia Piotr Słabek

45 CZARNA TECZKA DZIADKA Z WEHRMACHTU
Stanisław Janecki

49 POLAK W TEATRZE MARIONETEK
Maciej Walaszczyk

53 PRAWDZIWY TONY STARK
Aleksandra Rybińska

57 METALE, KTÓRE DAJĄ WŁADZĘ
Konrad Kołodziejski

61 PROCH I POPIÓŁ, CZYLI LATO W WENECJI
Jan Rokita

64 MIŁOŚĆ TO ŚWIADOMA DECYZJA
Z Tomaszem Sztrekerem
rozmawia Dorota Łosiewicz

68 BÓG LUBI GÓRY!
Przemysław Barszcz

72 NIEZMIENNIE OBECNY Z NAMI
Z ks. Witoldem Kaweckim
rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

75 CENNE JAJA
Anna Monicka

78 PIŁKA JEST KOBIETĄ
Michał Muzyczuk

81 POLSKI LOTNIK W AFRYCE
Stanisław Płużański

84 POLSKA WALCZĄCA
Robert Tekieli

85 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

86 KOKTAJL KULTURALNO-POLITYCZNY
Maciej Walaszczyk

88 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

NA KONIEC

89 RUSKA GRA
Ryszard Czarnecki

90 UCISZYĆ DZWONY
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Następne wydanie tygodnika ukaże się we wtorek 22 kwietnia

eprasa.pl efe16964bb

BRONISŁAW WILDSTEIN

Pamiętajmy

15 rocznica Smoleńska przebiegła jak wszystkie poprzednie. Jazgot szydzących z tragedii i plujących na ofiary psychopatów mieszał się z niewiele odmiennymi wrzutkami zjednoczonego frontu propagandy i ich „ekspertów" oraz groźbami wobec osób dochodzących prawdy. Sprawa dowodzi, że posiadając odpowiednią przewagę w środkach opiniotwórczych, można odwrócić o 180 stopni znaczenie rzeczy i korzystać ze swoich nieprawości.

15 lat temu Polacy dali się oszukać i w wyborach prezydenckich oraz parlamentarnych wybrali tych, którzy za tragedię odpowiadali. Nie mam na myśli przygotowania zamachu, ale posunięcia, które katastrofę umożliwiły, wszystko jedno, czy uznamy, że była ona zaplanowanym aktem – na co wszystko wskazuje – czy tragicznym splotem okoliczności. Doprowadziło do niej rozdzielenie wizyty w Smoleńsku premiera i prezydenta. Tej drugiej rząd polski, wbrew wszelkim normom, odebrał status oficjalny, a więc nie tylko należycie jej nie zabezpieczył, ale i realnie uniemożliwił takie działania ze strony służb prezydenckich. Po katastrofie Donald Tusk wbrew polsko-rosyjskim umowom przekazał całość śledztwa Kremlowi.

Powinno to skutkować eliminacją Tuska i jego kamaryli z polityki oraz odpowiedzialnością karną. Ogłupieni propagandą Polacy nagrodzili go stanowiskiem premiera, a jego współpracownika fotelem prezydenckim. Przyznanie się do błędu jest trudne i dlatego do teraz sprawa Smoleńska służy Tuskowi i jego obozowi. Pisałem o tym wiele razy, teraz chciałbym przypomnieć rzecz szczególnie znaczącą dziś, gdy Tusk wszystkich swoich przeciwników oskarża o proputinizm. Sprawę smoleńską on i jego zwolennicy rozegrali pod dyktando Moskwy.

Zaczęło się od resetu, który Tusk ogłosił bezpośrednio po wyborach 2007 r. Wcześniej obowiązywała ciągłość w polityce zagranicznej. Szef PO ją zerwał. Złe relacje z Moskwą miały być winą PiS, a zwłaszcza prezydenta Lecha Kaczyńskiego.

Zgodnie z oficjalną wersją premier Władimir Putin 3 lutego 2010 r. telefonuje do premiera Donalda Tuska z propozycją wspólnych obchodów mordu katyńskiego. Rząd i jego klaka ogłaszają, że pojawia się możliwość pojednania naszych państw, a jedyną przeszkodą jest polski prezydent, który wybiera się na katyńską rocznicę.

Media III RP piszą wprost, że Kaczyński musi się usunąć, gdyż jest zawadą na drodze polsko-rosyjskiej zgody. To kontynuacja antydemokratycznej praktyki poniżania przywódcy państwa i kwestionowania jego uprawnień przy aplauzie zdecydowanej większości opiniotwórczych ośrodków III RP.

Do akcji włącza się złowrogi przywódca ościennego, nieprzychylnego Polsce państwa, a jego pomoc skwapliwie zaakceptowana zostaje przez rząd i media III RP. Słyszymy, że skoro Putin chce spotykać się z Tuskiem, wszyscy włącznie z prezydentem powinniśmy to od razu zaakceptować. Deklarujący to wydają się nie rozumieć, że zgoda, aby władca Rosji decydował, którego z demokratycznie wybranych przedstawicieli narodu polskiego zechce uznawać, jest niespotykanym w cywilizowanych relacjach zamachem na naszą suwerenność.

W takiej sytuacji premier powinien porozumieć się z prezydentem i wypracować z nim wspólną strategię. Tusk deklaruje, że okazję pojednania należy wykorzystać, a prezydent powinien się wycofać.

Wszystko wskazuje, że inicjatywa ta została zaplanowana już we wrześniu poprzedniego roku przez obu premierów na Westerplatte podczas rocznicy wybuchu II wojny światowej. Zaprzyjaźniona z rządem „Polityka" pisała wtedy, że Putin i Tusk mają się spotkać na katyńskich obchodach. W lutym 2010 r. tygodnik nie przypomina jednak o tym.

18 lutego 2010 r. przedstawiciele MSZ oddają władzom rosyjskim wybór, z kim i jak chcieliby obchodzić rocznicę katyńskiego mordu. Sugerują, aby zaproszony został wyłącznie premier. Rosjanie akceptują to. Putin ma spotkać się z premierem Tuskiem, a Kaczyński na groby katyńskie przyjechać ma kiedy indziej. Wszystkie środki ostrożności zabezpieczające wizytę Putina będą do dyspozycji Tuska, ale nie prezydenta.

Polskie media powtarzają wiadomość, że Kaczyński zadecydował o swoim uczestnictwie w upamiętnieniu rocznicy dopiero po zaprosinach Tuska przez Putina. W rzeczywistości wiadomo było o tym od dawna, a prezydencki minister na tydzień przed telefonem Putina wystosował oficjalne pismo z propozycją spotkania prezydentów Polski i Rosji na katyńskich obchodach.

Przedstawiciel Tuska Tomasz Arabski ze swoim rosyjskim odpowiednikiem decydują o zlekceważeniu wizyty polskiego prezydenta. Kaczyński nie otrzymał rosyjskiego nawigatora, a jego służbom uniemożliwiono zbadanie i zabezpieczenie lotniska.

Po katastrofie, gdy strona rosyjska niszczy dowody, uniemożliwia Polakom zapoznanie się z nimi, profanuje zwłoki ofiar, rząd Tuska zachwyca się jej postawą, a w ślad za nim robią to dominujące ośrodki opiniotwórcze III RP. „GW" organizuje akcję uczczenia grobów sowieckich najeźdźców na Polskę.

Trzeba przypominać.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efe16964bb

Sygnalista nadaje

Niestraszny nam Putin, niestraszny nam Trump. Bo on nas obroni! On, czyli Rafał. Cała uśmiechnięta Polska odetchnęła, gdy zobaczyła go na kilku zdjęciach. Może trochę rozmazanych, ale to on. Nasz nieustraszony wojownik ***Rafał Kazimierz Trzaskowski*** wzmocnił potencjał obronny i odwetowy kraju, gdyż odbył ośmiogodzinne szkolenie wojskowe w Wesołej koło Warszawy. Było intensywnie, ale Rafał wie, że im więcej potu na ćwiczeniach, tym więcej dezodorantu trzeba! A lekko nie było. Zabójcza temperatura 15 st. Celsjusza, stawiennictwo na godz. 8.00 i spartańskie wyżywienie. Grochówka i kiełbasa – słyszeliście? Są takie rzeczy i ludzie muszą to jeść. Niestety wojsko nie zna kuchni fusion, gotowania sous-vide i przekąsek z teksturą. A najstraszniejsze było to, że kiełbasa nie była z soi, lecz z zamordowanego zwierzęcia. I w ogóle nie było do wyboru dań wege. Jednak Rafał zniósł to z godnością dzięki przezorności współpracowników, którzy zabezpieczyli odpowiedni catering dla dzielnego wojownika.

Przygody dzielnego wojaka Trzaska to nie jedyna aktywność kandydata uśmiechniętej Polski. Rafał wyciągnął rękę ponad oceanem, umacniając więzi transatlantyckie. A zrobił to sprytnie, bowiem zareklamował wafelki Prince Polo. Prawacka biomasa się zachwyciła, że Rafał promuje polski produkt, a tu chodzi o coś zupełnie innego. Te wafle były kiedyś zaściankowo polskie w mrocznych czasach centralnego planowania, ale potem dzięki przemyślanej polityce prywatyzacyjnej przeszły w ręce amerykańskiego kapitału. A jak doskonale wiemy, kapitał nie ma narodowości, więc fajnie, że Rafał promował ten innowacyjny produkt.

Dzisiaj koncentrujemy się na gastronomii i nowoczesnych technologiach. Takich z XXI w., z których możemy być dumni jako Ten Kraj. Fajnym gestem Rafała Trzaskowskiego – takim naprawdę w stylu „kupa serducha" – było też zwrócenie uwagi na naszego partnera strategicznego, czyli Mocarstwo Moralne. Rafał znów zrobił to po mistrzowsku, pokazując się ze słoikiem ogórków. Prawackie cebulaki znów się nabrały, bo myślały, że to ogóry z Łowicza, a to europejskie, niemieckie korniszony. Tyle że dla niepoznaki z etykietą w tubylczym narzeczu, dla osób nieznających francuszczyzny ani żadnego innego języka kongresowego.

Zwracamy uwagę na strategiczny wymiar gestu Rafała znakomicie mieszczący się w ramach programu ReArm Europe. Według znanych doniesień z wojny ukraińskiej słoiki z ogórkami doskonale sprawdzają się w walce z rosyjskimi dronami. Szczególnie w rękach osób w wieku emerytalnym.

Znakiem determinacji Rafała Trzaskowskiego i tego, że w kampanii prezydenckiej gryzie trawę (nie mylić z jej paleniem!), jest to, że kandydat jedzie do Końskich. Zapewne szanowni państwo podobnie jak Rafał pierwszy raz słyszą tę nazwę, ale taka miejscowość naprawdę istnieje. Można ją znaleźć na dokładniejszych mapach i w odpowiedniej aplikacji. Pytają państwo, po co kandydat traci czas w takich miejscach? On rzuca wyzwanie zabobonowi. Istnieje bowiem przesąd, że

eprasa.pl efe16964bb

wybory w Polsce wygrywa się w Końskich. A kto nie pojedzie, ten przegra. Osoby w kryzysie młodości z pewnością pamiętają polityka z dość zamierzchłych lat o nazwisku Schetyna. Otóż ten człowiek już dawno temu ogłosił tę regułę, twierdząc, że wybory wygrywa się w Końskich, a nie Wilanowie. Dziwne, nieprawdaż? Końskie (czy jak tam się one nazywają) to miejsce debaty, na którą Rafał wyzwał tego okropnego Nawrockiego. Nie wiemy, po co ta debata i po co w ogóle te wybory, skoro takie sprawy jak wybór głowy państwa można załatwić drogą uchwały sejmowej. Oszczędziłoby to nam wszystkim czasu i pieniędzy. A zwłaszcza nerwów, bo jak wiadomo, duża część zaludnienia naszego kraju nie dorosła do demokracji i chce głosować na kandydatów, którzy w ogóle nie powinni posiadać praw wyborczych.

Jeśli chodzi o debaty prezydenckie, cały czas kibicujemy Szymonowi Hołowni. ***Marszałek rotacyjny*** poinformował ludność, że jest na dobrej drodze, aby zrobić mijankę ze Sławomirem Mentzenem i Karolem Nawrockim. Tę zapowiedź należy traktować bardzo poważnie – nie jako opinię, ale jako fakt. Żal, że Szymon Hołownia zużył tyle czasu na wdeptywanie w ziemię Władimira Putna, że nie zdążył zrobić mijanki z Donaldem Trumpem. A było to możliwe, bo pod względem wielkości ego Trump jest karłem przy Hołowni. Niestety doszło do tego nieszczęścia i przez zaniechanie Szymona wiele postępowych mediów i organizacji antyfaszystowskich przeżywa dziś poważne trudności finansowe.

Odnalazł się ks. Wojciech Lemański, bohater z dawnych lat. Wiele wskazuje na to, że to on ozdobił płot posesji ***Jurka Owsiaka*** napisami o różnej treści. Dlaczego on? Bo pierwszy się odezwał, że chce odmalować Jurasowi ten pomalowany płot. A wiadomo, że sprawca zawsze wraca na miejsce przestępstwa. Sytuacja w ogóle jest niejasna i wywołuje zaskakujące reakcje. Napisy na płocie domu Jurasa niosą sobą głębokie przesłanie. Jeden z nich: „Uwaga, sepsa!" to piękne nawiązanie do niezapomnianej akcji „Polacy, razem pokonamy to zło". A sepsa to przecież zło i ciągle jest nierozliczona, mimo że to nie jest czas, aby ściśle się trzymać litery prawa. Drugi napis to: „***** *** Owsiaka". Czyli zupełnie niewulgarna przenośnia. Osoba poselska Zembaczyński Witold przekonująco wytłumaczyła, że hasło to ma charakter symboliczny i jest silnie umocowane w popkulturze. No to siema, Juras!

Machiavelli, Bismarck, Talleyrand, kardynał Richelieu to przy niej małe dzieci. Naiwne i niezdarne. Nie to co ona – ***Izabela Leszczyna***, mastermind polskiej polityki! Przechytrzyła wszystkich, mówiąc, że jest przeciwna obniżeniu składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. A potem cyk i zagłosowała za jej obniżeniem. Dzięki temu sprytnemu ruchowi będzie mogła zamknąć jeszcze więcej szpitali i wydawać jeszcze mniej pieniędzy na służbę zdrowia. Bo jak wiadomo, pacjenci lubią przyłazić bez potrzeby. A rodzące matki to szczególnie roszczeniowa grupa. Wyobraźcie sobie, że chcą mieć porodówki blisko siebie! Jakby tak trudno było pojechać na poród do sąsiedniego województwa. Dzięki sprytnemu manewrowi minister Leszczyny skończy się to pasożytnictwo. Po co nam szpitale, skoro są w Niemczech i innych krajach starej Unii? Osoba ministerska ma przy tym dobre wytłumaczenie, dlaczego zagłosowała za obniżeniem, choć wcześniej mówiła co innego. Powodem zmiany były „intensywne" rozmowy z panem premierem, który obiecał jej, że budżet państwa zrekompensuje ubytek z powodu składki. A jak wiadomo, słowo Donalda Tuska droższe od pieniędzy.

Co za niespodzianka! Michał Sołowow nie chce już kupować TVN. No i się wycofał. Co prawda miał najwięcej pieniędzy ze wszystkich oferentów, ale człowiek z takim nazwiskiem nie powinien kupować ukochanego przez uśmiechniętą Polskę podmiotu strategicznego. Dużo lepiej brzmią inne nazwiska oferentów. Np. nazwisko Springer i imię Axel. To dobry pomysł, aby na 1000-lecie koronacji Polski usunąć odpowiednim gestem niesmak, który powstał, gdy Bolesław Chrobry sprzeciwił się integracji europejskiej. Dzisiaj jest szansa, aby naprawić ten błąd. Po co TVN ma mieć właściciela z Kielc, skoro może mieć z Berlina? Ciekawostką jest to, że Axel wcale nie chciał kupować stacji z Wiertniczej, ale został do tego namówiony. „Gazeta Wyborcza" pisała, że to nasz rząd go namówił do startu w procedurze zakupowej. Axel był niechętny, ale uległ zachętom i argumentom premiera i jego wysłanników. Trochę późno złożył papiery, ale to nie szkodzi. Liczy się życzliwość, a nie jakieś tam bezduszne przepisy.

Czas rozmywa prawdę o okresie pisowskiej okupacji. Dobrze, że są ludzie tacy jak mecenas Dubois, którzy o tym przypominają. Opinia publiczna, która zapomniała, jak się żyło w kaczystowskim reżimie, w bezrozumny sposób potępiła prokurator Ewę Wrzosek za niedopuszczenie pełnomocnika Barbary Skrzypek w jej przesłuchaniu. A czyja to wina? No przecież nie prokurator Wrzosek – jasno stawia sprawę mecenas Jacek. To wyłącznie wina PiS! Bo wtedy wprowadzono „bardzo złą praktykę", aby nie dopuszczać pełnomocników. Tak złą, że dzisiaj nawet ci ludzie, którzy walczą z tym pisowskim złem, są bezradni. I muszą robić to samo.

Fot. Andrzej Wiktor x4

eprasa.pl efe16964bb

Bonżur wielkanocny

Krzysztof Feusette

Rafał: Słuchaj, kurczaczku...
Małgorzata: Nie mów do mnie „kurczaczku"!
Rafał: A jak?
Małgorzata: Jestem damą. Pierwszą. Masz, czytaj, co o mnie piszą w gazetach.
Rafał: Po pierwsze, nie pierwszą, bo jeszcze nic nie jest przesądzone, a po drugie, jeśli ty będziesz damą, to ja kim? Może waletem?
Małgorzata: No, król jest jeden i ty nim raczej nie jesteś.
Rafał: Nie o to chciałem zapytać...
Małgorzata: Obiadu nie ma. Musiałam z dziennikarzami latać za pszczołami, żebyś ty mógł spełnić urojenia z dzieciństwa. „Dupiarz" będzie panem i władcą, ho, ho...
Rafał: A co mnie obiad obchodzi? Ja już się nażarłem ogórków z waflami...
Małgorzata: Od kiedy jesz takie rzeczy?
Rafał: Od początku kampanii. Nie widziałaś, jak promuję żywność krajową?
Małgorzata: Ty? Jak nawet drzewka z Niemiec do Warszawy ściągasz?
Rafał: Tak, ja. A jakby cię pytali, to na zakupy chodzę do Hali Mirowskiej.
Małgorzata: Mnie nikt o nic nie pyta. Jakby pytali, to bym odpowiedziała tak jak Sikorski.
Rafał: Czyli?
Małgorzata: Że „Rafał się nie nadaje". Przy czym on mówił, że na trudne czasy, a ja bym dodała, że na łatwe tym bardziej, bo wtedy szybko mogą się stać trudne...
Rafał: Ciszej, sąsiedzi usłyszą! I pomyśleć, że chciałem tylko zapytać, czy robimy coś w święta.
Małgorzata: Jakie znowu święta?
Rafał: No, Wielkanocne.
Małgorzata: A co to jest? Ja tam nic nie wiem, ja się obraziłam na Kościół. I nie puściłam drugiego dziecka do pierwszej komunii. Na marszach Lempartowej nie widziałam ani jednego księdza! Ani jednego!
Rafał: No wiem, przecież zdjąłem krzyże w urzędach.
Małgorzata: To w końcu zdjąłeś czy nie?
Rafał: Oficjalnie niby podpisałem, ale jakby co, to nie ja.
Małgorzata: A co się tak szczypiesz z tymi katolikami? Sławek dobrze mówił, że trzeba opiłować!
Rafał: No wiem. Teraz będę likwidował fundusz kościelny, bo się okazało, że mi postkomuna trochę odpływa w sondażach. To jak z tymi świętami? Fotki by trzeba do internetu wrzucić...
Małgorzata: A kiedy to jest?
Rafał: Dwudziestego.
Małgorzata: Ale jakiego miesiąca?
Rafał: Teraz, w kwietniu.
Małgorzata: Co?! To teraz mi mówisz, jak nawet jaj nie mamy?
Rafał: W jakim sensie?
Małgorzata: Już ty wiesz najlepiej, w jakim. Żadnych nie mamy.
Rafał: O pisanki chodzi? To się kupi. Najlepiej kolorowe i wiesz, takie jajcarskie...
Małgorzata: Jaja to będą, jak cię naprawdę powołają do tego wojska. Czemu nic nie powiedziałeś? Wiesz, jak się bałam?!
Rafał: No sorry, chciałem tak po cichu. Spokojnie, cały czas byłem bezpieczny...
Małgorzata: Ale nie o ciebie się bałam, tylko o to, czy nie zrobisz tam komuś krzywdy! Mam nadzieję, że nie dawali ci granatów do ręki?
Rafał: No skąd. Takie tam zajęcia z kamuflażu. Chodziło o to, żeby mnie nikt nie widział, ale żebym był na zdjęciach. Jeszcze grochówkę gotowaliśmy.
Małgorzata: Aha, czyli broń biologiczna? A wziąłeś chociaż zagłuszacz dronów, bo po grochówce, to wiesz... Co jeszcze mieliście?
Rafał: Krzesanie ognia w lesie.
Małgorzata: Przecież to jest zabronione.
Rafał: Nie w czasie wojny.
Małgorzata: A chcesz wywoływać wojnę?
Rafał: W życiu. Chyba że polsko-polską, ale to już będzie robił Donald do końca Owsiaka i o jeden dzień dłużej. Słyszałaś, że Jurasowi ktoś pomazał ogrodzenie hacjendy? I nawet pięć gwiazdek narysowali!
Małgorzata: No i co?
Rafał: No wiesz, co to znaczy...
Małgorzata: Rafał.
Rafał: Oszalałaś? A osiem gwiazdek to było „Rafał PiS"?!
Małgorzata: O to ci chodzi? Ja tam takich słów nie używam. Ja co najwyżej „wyp...alać!" na marszach krzyczałam. A aborcji na życzenie jak nie było, tak nie ma!
Rafał: Właśnie. To tym bardziej wiesz, na kogo głosować, moja ty damo pierwsza lepsza od innych...
Małgorzata: Ale nie pierwsza naiwna. Myślisz, że nie wiem, po co chcesz ściągać do pałacu prezydenckiego tę Nowacką?
Rafał: No po co?
Małgorzata: Żeby ci gadała po francusku o wzroście. Nawet widziałam ostatnio mem: „Bonżur już jest wyższy od Konia", ha, ha. Zresztą akurat ten mecenas to bardzo porządny koń, to znaczy człowiek. Też się obraził na Kościół. Słuchaj, to może w ramach buntu przeciwko Watykanowi wymyślmy własne potrawy wielkanocne? Będą jaja jak berety. Np. zamiast żurku zrobimy ogórkową.
Rafał: Ale mnie już mdli po ogórkach!
Małgorzata: Mdli cię, bo w kółko gadasz to samo i ani pół zdania szczerze. Na szczęście jeszcze nic nie jest przesądzone.
Rafał: Dlaczego na szczęście?! To chcesz być tą pierwszą damą czy nie?!
Małgorzata: A czy gdybym nie chciała, to bym pozowała w kuchni, jak gotuję na kuchence bez pokręteł, a „Bonżur" siedzi na czterech literach? Czy łaziłabym z reporterami po górach? Jak porąbana, bo wiadomo, co mówią o nas górale.
Rafał: E tam, katolicki ciemnogród. Dobrze napisała kiedyś „Wyborcza", że trzeba im ściągnąć z Giewontu ten krzyż. Bo inaczej nigdy nie zapomną.
Małgorzata: Ale o czym?
Rafał: No właśnie nie pamiętam.

Reklama | 10/0425/F

eprasa.pl efe16964bb

Z okazji świąt Wielkiej Nocy życzymy Państwu pełni łask, radości i wszelkiego dobra. Niech będzie to czas spotkań w rodzinnym gronie oraz oddechu od codzienności.

Wesołego Alleluja

życzą Zarząd i Pracownicy Kasy Stefczyka

Bonżur wielkanocny

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

WSZĘDZIE DOBRZE,

ale U SIEBIE najlepiej!

0 zł PROWIZJI

RRSO 8,01%

KREDYT HIPOTECZNY

już od 10%

WKŁADU WŁASNEGO!

www.kasastefczyka.pl

801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

Całkowita kwota Kredytu Hipotecznego z wkładem własnym min. 20%: 183 190,00 zł. Zmienna roczna stopa oprocentowania dla całkowitej kwoty kredytu wraz z kredytowanymi kosztami (opłatą z tytułu przelewu kredytu na inne konta zewnętrzne: 10,00 zł): 7,71%. Koszt ubezpieczenia nieruchomości od ognia i innych zdarzeń losowych: 220,00 zł. Podatek od czynności cywilnoprawnych: 19,00 zł. Rzeczywista roczna stopa oprocentowania (RRSO): 8,01%. Czas obowiązywania umowy: 299 miesięcy, 298 miesięcznych rat równych: 1381,17 zł oraz ostatnia, 299 rata: 1385,48 zł. Całkowita kwota do zapłaty: 413 213,14 zł, w tym odsetki: 229 774,14 zł. Informacje podano na podstawie reprezentatywnego przykładu z dnia 1.04.2025 r.

Wymagane zabezpieczenie hipoteką wierzytelności wynikającej z umowy oraz zawarcie umowy ubezpieczenia nieruchomości od ognia i innych zdarzeń losowych wraz z cesją wierzytelności na kredytodawcę. Oprocentowanie oparte o WIBOR 6M – zmiana stopy procentowej może nastąpić raz na 6 miesięcy. W przypadku wypłaty w transzach ustala się karencję w spłacie kapitału. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl efe16964bb

Hiszpania

Koniec dzikich lokatorów

Ponad 93 proc. Hiszpanów obawiało się o bezpieczeństwo swoich domów, domagając się od lewicowych władz wzmocnienia osłabionych w ostatnich latach prawnych gwarancji ochrony prywatnej własności. W wielu przypadkach odzyskanie nieruchomości zajmowało właścicielowi nawet rok. Co więcej, aby eksmitować nielegalnego lokatora, musiał on zapłacić za to z własnej kieszeni. Teraz ma się to zmienić.

Nie chodzi o włamania do domów na tle rabunkowym, lecz o nielegalne zajmowanie nieruchomości przez tzw. ocupas, czyli dzikich lokatorów. Zgodnie z dotychczasowym prawem po upływie 48 godzin od włamania bardzo trudno było usunąć z własnego mieszkania osoby, które wdarły się do niego nielegalnie. Dotyczyło to głównie tych mieszkań, które przez pewien były czas nieużytkowane.

Według danych hiszpańskiego MSW w ub.r. liczba takich włamań wzrosła w porównaniu z 2023 r. o 7,4 proc., a więc do prawie 16,5 tys. przypadków, i aż o blisko 35 proc. od 2018 r., a więc od kiedy lewicowy premier Pedro Sánchez doszedł do władzy. Najwyższy, bo przekraczający 7 tys. incydentów wskaźnik nielegalnych przejęć nieruchomości odnotowano w Katalonii, co stanowiło 42 proc. wszystkich tego rodzaju spraw. Statystyki nie obejmują jednak sytuacji, w których najemca przestaje płacić czynsz, a mimo to pozostaje w mieszkaniu, na co zezwala mu prawo.

Lewicowy rząd twierdził, że za kryzys związany ze wzrostem cen nieruchomości i ich mniejszą podażą odpowiedzialni są cudzoziemcy masowo kupujący mieszkania w Hiszpanii. Według analityków rynku i prawicowej opozycji takie tłumaczenie nie mogło być jednak usprawiedliwieniem dla pobłażliwości wobec nielegalnych lokatorów. Partia Vox od dawna postulowała zaostrzenie kar za naruszanie własności, zwiększenie uprawnień policji i przyspieszenie procesu eksmisji. Teraz część tych postulatów została spełniona.

Zgodnie z nowymi przepisami, które weszły w życie na początku kwietnia, lokator, który nie jest w stanie udowodnić, że zajmuje nieruchomość legalnie, będzie uznany za przestępcę. Nowe prawo przewiduje również, że dziki lokator musi pokryć wyrządzone szkody z własnej kieszeni. Policja podejmie działania także przeciwko osobom, które na podstawie fałszywych umów twierdzą, iż kupiły lub wynajęły nieruchomość. Z przepisów wyłączono osoby zalegające z czynszem oraz znajdujące się w trudnej sytuacji życiowej.

Nowe prawo jest przedstawiane jako powrót normalności. Lewicowe władze Hiszpanii potrzebowały wielu lat, aby to zrozumieć.

Maciej Walaszczyk

Fot. Shutterstock

Białoruś

Kontratak Łukaszenki

Reżim Aleksandra Łukaszenki zaostrza politykę zarówno wobec opozycji, jak i prorosyjskich aktywistów. W areszcie znalazła się blogerka Olga Bondariewa, którą aresztowano na 13 dni, najprawdopodobniej za krytykę Anny Sełuk – „carycy" białoruskiej estrady, a prywatnie byłej partnerki dyktatora, matki jego średniego syna Dmitrija.

W tym wypadku nie chodzi wyłącznie o osobistą zemstę, bo w tym samym czasie w areszcie w Witebsku znalazł się również Siergiej Łaszkow, współpracownik Elwiry Mirsalimowej, innej prorosyjskiej blogerki i aktywistki. Zdaniem komentatorów Łukaszenka, który bardzo dba o to, aby na Białorusi nie pojawiły się niezależne od władz siły opowiadające się za współpracą z Moskwą, wzmacnia w ten sposób swój monopol na kontakty ze wschodnim sąsiadem.

W ostatnich dniach Łukaszence i jego służbom udało się także po raz kolejny osłabić białoruską opozycję skupioną wokół Swiatłany Cichanouskiej. Ma to związek z tajemniczym zniknięciem dwa tygodnie temu Angeliki Mielnikowej, rzeczniczki opozycyjnej Rady Koordynacyjnej i twórczyni ruchu „cyberpartyzantów". Mieszkająca w Polsce Mielnikowa była ważną postacią białoruskiej opozycji. Odpowiadała bowiem za finanse i dysponowała bazą danych personalnych przeciwników reżimu. Jej były mąż wraz z dwójką dzieci odnalazł się właśnie na Białorusi, pojawiły się też doniesienia o tym, że logował się tam telefon Mielnikowej. Kobieta z pewnością nie przebywa na terenie Unii Europejskiej ani Wielkiej Brytanii, co potwierdziły tamtejsze służby.

Białoruś i Rosja nie zostały objęte podwyższonymi stawkami celnymi przez Donalda Trumpa, a wycofanie się Waszyngtonu z finansowania Radia Swoboda i innych niezależnych mediów dodatkowo komplikuje sytuację opozycji. Wydaje się, że w nowych realiach Łukaszenka postanowił przejść do kontrataku, osłabiając zarówno prorosyjskie, jak i prozachodnie siły polityczne. Podkreślanie „polskiego zagrożenia" również stanowi element tej strategii, której celem jest budowanie wizerunku Łukaszenki jako „jedynego gwaranta" stabilności Białorusi zarówno w Moskwie, jak i w Waszyngtonie.

Marek Budzisz

Fot. Drop of Light/Shutterstock.com

eprasa.pl efe16964bb

USA

Hamburger na raty

Według szacunków brytyjskiej organizacji Oxfam zaledwie 1 proc. najbogatszych posiada dziś więcej środków niż 95 proc. ludności świata. Na kim w takiej sytuacji będą zarabiać miliarderzy, skoro przeważającej części społeczeństwa – również w krajach rozwiniętych – zaczyna brakować pieniędzy?

Rozwiązaniem okazują się zakupy ratalne. Kiedyś zarezerwowane wyłącznie dla droższych produktów, dzisiaj stają się dostępne także w przypadku codziennej konsumpcji. DoorDash, amerykańska platforma zakupowa do zamawiania jedzenia online, ogłosiła właśnie, że uruchomi sprzedaż fastfoodów na raty. Już wkrótce będzie można w niej zamówić np. hamburgera z płatnością rozłożoną na cztery części.

Coś, co pozornie cieszy uboższych konsumentów, może się jednak okazać dla nich pułapką. Ktoś, kto nie jest w stanie zapewnić sobie stałych dochodów, naraża się bowiem na długi, które łatwo przerodzą się w spiralę zadłużenia. Wskazują na to badania rynku przeprowadzone w Ameryce w 2023 r. Zgodnie z nimi jedna czwarta zadłużonych nie była w stanie spłacić rat w ciągu ostatniego miesiąca, a kolejne 25 proc. musiało zapłacić karne odsetki za zwłokę. Przy czym, co może wydawać się najbardziej szokujące, w wielu przypadkach wcale nie chodziło o wysokie kwoty. W 2022 r. średnia wysokość pożyczki w Ameryce wyniosła bowiem zaledwie 100 dol. Wniosek z tego taki, że na zakupy ratalne coraz częściej decydują się ludzie, którzy nie są potem w stanie spłacić nawet niewielkich długów. W tej sytuacji rozciągnięcie systemu płatności ratalnej na drobną konsumpcję może doprowadzić do wielkiego zadłużenia uboższej części społeczeństwa.

Jest to tym bardziej niebezpieczne, że poziom zadłużenia amerykańskich gospodarstw domowych niepokojąco rośnie. W ostatnim kwartale 2024 r. łączny poziom długów w USA przekroczył 18 bln dol., a liczba osób zalegających z płatnościami przez ponad 90 dni osiągnęła najwyższy pułap od 14 lat. Pokazuje to, że coraz więcej Amerykanów popada w tarapaty finansowe i nie jest w stanie spłacić zaciągniętych kredytów. Jeśli ich liczba będzie rosnąć, może to doprowadzić do kryzysu porównywalnego z tym z 2008 r. Jednocześnie przez cały czas trwa transfer pieniędzy do kieszeni najbogatszych, których majątki – co pokazują statystyki – wzrosły w ostatnich latach niekiedy kilkakrotnie. Pewna ilość wolnego pieniądza, którym dysponują miliarderzy, jest teraz wypuszczana na rynek w postaci kredytów na cele konsumpcyjne. Ostatecznie jednak – jak ostrzegają eksperci – może to doprowadzić do wzrostu zadłużenia i niewypłacalności sporej części społeczeństwa, któremu zamiast lepszych zarobków oferuje się tylko pożyczki.

Konrad Kołodziejski

Fot. Andrzej Skwarczyński

Wielka Brytania

Tęczowy Lord Voldemort

J.K. Rowling

Brytyjskie ministerstwo edukacji zawiesiło w szkole publicznej (w tzw. reception class, czyli klasie przygotowawczej) trzyletniego chłopca z powodu „nadużycia związanego z orientacją seksualną i tożsamością płciową".

Wspomniany maluch to nie jedyne dziecko ukarane w Wielkiej Brytanii przez urzędników państwowych. Dziennik „The Telegraph" ujawnił, że w roku szkolnym 2022/2023 z powodu „transfobii" lub „homofobii" zawieszono lub wyrzucono 94 uczniów publicznych szkół podstawowych. Wśród nich było 10 dzieci z klas 1–2, gdzie maksymalny wiek wynosi 7 lat. Gazeta „Daily Mail" doniosła z kolei, że dyrekcja anglikańskiej szkoły na wyspie Wight ostrzegła rodziców 6-letniego chłopca, iż może zostać uznany za „transfoba" i relegowany, jeśli nadal będzie pytał innego ucznia, dlaczego ten nosi sukienkę.

Jedną z niewielu osób, która publicznie wyraziła protest przeciw tego rodzaju działaniom, jest znana pisarka J.K. Rowling. Nazwała ona postępowanie brytyjskich władz oświatowych „totalitarnym szaleństwem". Napisała: „Jeśli uważasz, że małe dzieci powinny być karane za to, że potrafią rozpoznawać płeć, jesteś niebezpiecznym fanatykiem, który nie powinien przebywać w pobliżu dzieci ani zajmować nad nimi kierowniczego stanowiska". Jej zdaniem dyrektorzy szkół i nauczyciele, którzy są zamieszani w ten proceder, powinni się wstydzić, że narzucają małym dzieciom szaleńczą ideologię. Stawianie interesów lobby LGBT+ ponad dobro dzieci uznała za niedopuszczalne.

Z powodu swoich poglądów pisarka spotyka się z pogróżkami i wyzwiskami ze strony środowisk genderowych. Nie zamierza jednak milczeć. Jak pisze: „Są w życiu chwile, gdy stajemy przed jasnymi wyborami moralnymi, gdy nie ma żadnego środka. Albo walczysz o wolność słowa i wyznania – tak, nawet do tego stopnia, że możesz kogoś urazić – albo kłaniasz się totalitarnej kulturze, która opiera swoje przetrwanie na zastraszaniu i groźbach". Dziś Lord Voldemort występuje pod sztandarami sześciobarwnej tęczy.

Grzegorz Górny

Fot. Fred Duval/Shutterstock.com

eprasa.pl efe16964bb

Tusk może się wykazać. Jeśli nie teraz, to kiedy?

Prezydent Trump zrobił dokładnie to, co zapowiadał. Rozpoczął twardą walkę o amerykański rynek, amerykańską gospodarkę i amerykańskie portfele. Europejscy urzędnicy są w szoku, bo nie mieści im się w głowie, że ktoś może spełniać obietnice wyborcze i zamiast traktować wyborców jak bezwolne narzędzie do zapewnienia sobie ciepłych posadek, amerykański prezydent traktuje ich poważnie i dotrzymuje słowa

Trump domaga się od Europy szacunku i uznania roli Stanów Zjednoczonych jako gwaranta bezpieczeństwa i najważniejszego unijnego partnera biznesowego. Polska ma przy tym szczególną pozycję. Nasze relacje gospodarcze z Ameryką są wyjątkowe – kupujemy od USA nowoczesne uzbrojenie, wydając na obronność najwięcej w Unii Europejskiej, wdrażamy wspólnie technologie jądrowe (duży atom i SMR), a amerykańscy giganci inwestują w Polsce miliardy. Odgrywamy też szczególną rolę geopolityczną jako główny filar istotnego dla USA Trójmorza i strażnik wschodniej flanki NATO.

Czy uśmiechnięta koalicja to wie? Pewnie tak. Czy wykorzystuje w rozmowach i negocjacjach? Niestety nie. Woli obrażać Amerykanów i ślepo dążyć za wytycznymi Ursuli von der Leyen i jej teamu, dla którego Polska nie jest priorytetem. Więc nasze szczególne relacje z USA zaraz mogą przestać być szczególne i zamiast wykorzystywać geopolityczne położenie chociażby do budowania polsko-amerykańskiego hubu gazowego dla całego regionu, zostaniemy sami na granicy Sojuszu Północnoatlantyckiego.

Przy okazji działania Trumpa doprowadziły do najniższych cen ropy od dawna. Koszt baryłki na światowych giełdach spadł poniżej 60 dol., co nie tylko może zmusić Rosję do negocjacji pokoju na Ukrainie daleko skuteczniej niż dziurawe sankcje unijne, lecz także powinno mieć wpływ na cenę paliw na naszych stacjach. Tymczasem na stacjach ceny ani drgną, choć w okresie świątecznym ich obniżka mogłaby być sporą ulgą dla wielu Polaków, zwłaszcza przy szalejącej drożyźnie. Gdy Tusk butnie wygłaszał swoje tyrady, że benzyna powinna być po 5,19 zł, gdyby był premierem, baryłka kosztowała ok. 120 dol. przy kursie 4,40 zł za 1 dol. Prosta matematyka wskazuje, że przy baryłce o połowę tańszej popularna dziewięćdziesiątka piątka powinna teraz kosztować nawet poniżej legendarnego już 5,19. Powiem więcej: powinniśmy za nią płacić ok. 4,80 zł. Tusk jak zwykle kłamał i będzie kłamać dalej, podobnie jak Bążur Trzaskowski.

Zbliżają się jednak wybory i najwyższy czas to zmienić. Wykorzystajmy więc świąteczny czas na konstruktywne rozmowy z rodziną i znajomymi. Jeśli ktoś ma jeszcze wątpliwości co do tego, że układ nie może się zamknąć, niech podjedzie na stację i zobaczy, czy tankuje po 5,19.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl efe16964bb

Głosujmy w obronie naszego prawa do samostanowienia

Marta Kaczyńska-Zielińska

Wślad za decyzją podjętą przez Adama Bodnara jako ministra sprawiedliwości, którą było złożenie wniosku o przystąpienie Polski do Prokuratury Europejskiej w ostatnim dniu marca br., otwarto Biuro Delegowanego Prokuratora Europejskiego przy Prokuraturze Regionalnej w Warszawie. W Polsce Prokuratura Europejska ma się zajmować wyłudzeniami środków z funduszy UE, oszustwami VAT o wartości ponad 10 mln euro oraz korupcją i praniem pieniędzy naruszającymi interesy finansowe Unii. Zdaniem ministra sprawiedliwości z chwilą przystąpienia do Prokuratury Europejskiej Polska stała się „częścią wspólnego europejskiego systemu ochrony praworządności".

Państwo polskie pod sterami koalicji 13 grudnia na naszych oczach przekazuje swoje suwerennościowe kompetencje na rzecz mającego powstać opresyjnego superpaństwa zarządzanego przez Berlin z udziałem Paryża.

Przy okazji uznania kompetencji unijnych biurokratów do prowadzenia postępowań karnych na terenie Polski warto przypomnieć rozwiązania kryjące się za reformą traktatów, którą możemy jeszcze wspólnie powstrzymać, głosując w wyborach na dr. Karola Nawrockiego, kandydata na urząd prezydenta RP, który będzie strażnikiem polskiej suwerenności, bezpieczeństwa i wolności.

W tysiąclecie koronacji Bolesława Chrobrego pozycjonującej Polskę jako środkowoeuropejskie mocarstwo reforma traktatów UE *de facto* likwiduje zdolność do samostanowienia państw członkowskich, sprowadzając je do roli ubezwłasnowolnionych regionów o statusie zależnym od ich wielkości, czyli zasadniczo traktowanych nierówno. Ma bowiem zostać zlikwidowana zasada jednomyślności (prawo weta państwa członkowskiego) i zastąpiona głosowaniem większością kwalifikowaną, co osłabia pozycję małych i średnich państw, zwiększając dominację Niemiec i Francji, które posiadają jedną trzecią ludności UE. Wspólna polityka zagraniczna i bezpieczeństwa, dotąd określana i realizowana przez Radę Europejską i Radę UE, teraz miałaby być rozstrzygana większością kwalifikowaną. Jej postanowienia miałyby podlegać ocenom TSUE. Tytułem przykładu – Polska będzie zmuszona przez UE do prowadzenia polityki zagranicznej zbieżnej z interesami Niemiec i Francji, które mają większość w Unii.

Wedle założeń nowelizacji traktatów kompetencje Brukseli miałyby wkroczyć w takie dziedziny, jak sprawy zagraniczne, bezpieczeństwo zewnętrzne i obronę, politykę dotyczącą granic zewnętrznych, zdrowie publiczne, przemysł, edukację, a także leśnictwo. Jeśli Berlin i Paryż tak zdecydują, czeka nas prywatyzacja lasów i służby zdrowia. Wszystkie dotychczasowe zapisy traktatowe mówiące o równości kobiet i mężczyzn zostaną zastąpione sformułowaniem o równouprawnieniu płci (gender equality). Wszelki opór wobec skrajnie lewicowego światopoglądu będzie traktowany jako naruszenie praworządności i karany.

Zwiększona zostanie rola organów ponadnarodowych (Komisja Europejska, Parlament Europejski, TSUE) kosztem międzyrządowych (Rada). Komisja ma zostać przekształcona w Europejski Organ Wykonawczy w składzie 15 sekretarzy – a zatem tylko 15 z 27 państw członkowskich będzie miało swoich przedstawicieli.

Narzędzia karania państw są w projekcie rozbudowane i usprawnione. W miejsce zapisu o możliwości karania zostaje wprowadzona kara bezwzględna i konkretna: „Rada [...] decyduje o przyjęciu odpowiednich środków budżetowych, które mogą obejmować zawieszenie zobowiązań i płatności z budżetu Unii [pojawia się więc traktatowa, do tej pory jednak bezprawna, możliwość szantażu finansowego w stosunku do państw członkowskich] lub o zawieszeniu niektórych praw etc.".

Projekt wprowadza euro jako jedyną walutę na obszarze UE.

Zmiany traktatów będą wchodziły w życie po ich ratyfikowaniu nie przez wszystkie, lecz jedynie przez 4/5 państw członkowskich – może zatem obowiązywać wbrew woli niektórych państw.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci

ŚP.

WOJCIECHA KOTOWSKIEGO

wybitnego publicysty i autora licznych publikacji prawniczych, od kilkudziesięciu lat związanego z prawniczymi czasopismami naukowymi, wieloletniego sekretarza redakcji „Prokuratury i Prawa"

Składam wyrazy współczucia Rodzinie i Bliskim

Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Bogdan Święczkowski

12/0425/F

eprasa.pl efe16964bb

Walizka ks. Piotra Waleńdzika

proboszcza parafii Wszystkich Świętych

Życie to podróż, podczas której nie wiemy, co nas spotka. Taką podróżą jest także powołanie, bo podajemy rękę Bogu prowadzącemu nas przez życie.

Moja droga tak jak każdego księdza jest związana z posyłaniem na parafie. Dużym zaskoczeniem była dla mnie nominacja na proboszcza w centrum stolicy – w parafii Wszystkich Świętych. To zaszczytna rola i zarazem trudne zadanie. Ale od początku. Przeżywając Święta Zmartwychwstania, obserwujemy nowe życie, które powstaje dzięki Bożemu tchnieniu. Nie inaczej jest, gdy patrzymy na historię Warszawy, która mimo rozkazu Adolfa Hitlera, żeby ją wymazać, też zmartwychwstała. Częścią tego miasta jest też kościół Wszystkich Świętych, który był tak zniszczony, że zastanawiano się, czy w ogóle podnosić go z gruzów. Udało się tego dokonać i w 1965 r. to, co odbudowano, wpisano do rejestru zabytków. Niestety ołtarze nie miały wyposażenia, były bez obrazów i rzeźb. Fronton też był w fatalnym stanie. Dlatego remont, który rozpoczął się w 2017 r. i doprowadzanie tej świątyni do stanu, gdy była w pełnym rozkwicie przed wybuchem II wojny światowej, uważam za małe zmartwychwstanie naszego kościoła. Ostatni sukces to przywrócenie rzeźb na frontonie, które ostatni raz stały tam w 1944 r. Miało to miejsce 7 grudnia 2024 r., kiedy Matka Boża Niepokalana przed uroczystością Niepokalanego Poczęcia wróciła na swoje miejsce obok figur św. Piotra i Pawła.

„WIADOMOŚCI PARAFII WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH"

Wróciliśmy do wydawania tego kwartalnika po tym, jak czynił to słynny proboszcz parafii Wszystkich Świętych ks. Godlewski. Tym samym tworzy się kronika parafialna, bo w gazetce opisujemy bieżące życie parafii, a także odnosimy się do aktualnych tematów w naszym codziennym życiu religijnym czy społecznym. Nakład 1,2 tys. egzemplarzy rozchodzi się w dwie niedziele.

eprasa.pl efe16964bb

PRZEWODNIK PO BIESZCZADACH

Najlepiej mi służy przewodnik oficyny wydawniczej Rewasz. Jest to obszerne i szczegółowe kompendium wiedzy o Bieszczadach podane w przystępnej i przejrzystej formie, bogato ilustrowane zdjęciami, mapkami i rysunkami dodatkowo z planami miejscowości. Sięgam też po inne książki związane z historią tych rejonów, np. „Bieszczady w PRL-u", która pokazuje, jak skomplikowana jest historia tych terenów i ludzi tam żyjących.

TREKKINGOWE OBUWIE

Z powodu mojej miłości do gór mocno schodziłem Tatry, Karkonosze, Beskidy, a od ponad 20 lat wybieram wspomniane Bieszczady.

TEATR W DOLNYM KOŚCIELE

Trudno go zabrać w podróż, ale stale jest w sercu. W naszym kościele na dole znajduje się kameralna scena teatralno-kinowa, na której goszczą różnego rodzaju aktorzy, m.in. Teatr Klasyki Polskiej. Jest to rodzaj ewangelizacji przez kulturę, a zarazem wychodzenie naprzeciw tym, którzy szukają sztuki teatralnej pokazanej w klasyczny sposób, prezentującej ponadczasowe wartości.

BUTY NARCIARSKIE

Kiedy mam możliwość, żeby się wyrwać, wybieram krajowe trasy. Kiedyś to był Kasprowy, teraz już niższe szczyty, m.in. w Bieszczadach. Z powodu natłoku obowiązków o nartach za granicą mogę zapomnieć.

MUZYKA

W wolnej chwili czas na muzykę to piękny relaks, także podczas jazdy samochodem. Lubię stare sprawdzone hity z mojej młodości, np. Genesis, Dire Straits, Cranberries, Budkę Suflera, a także muzykę elektroniczną, tj. Jean-Michela Jarre'a czy Vangelisa

NOTES

Nie mam szczególnej potrzeby, żeby elektronicznie załatwiać sprawy organizacyjne, dlatego wolę analogową wersję notatnika, czyli z papieru.

„MIŁOŚĆ DO ŚMIERCI"

Książka Pawła Zuchniewicza opowiada o Stanisławie Umińskiej, przedwojennej aktorce, która z miłości dokonała eutanazji, zabijając swojego umierającego narzeczonego. Ten dramatyczny akt stał się jednocześnie powodem nawrócenia i poszukiwania celu życia, którym okazała się miłość i pomaganie innym. W 1927 r. została przyjęta do Zgromadzenia Sióstr Benedyktynek Samarytanek Krzyża Chrystusowego. W czasie II wojny światowej ratowała żydowskie dziewczęta i współpracowała z konspiracją...

PODRÓŻE

Najczęściej są to pielgrzymki z parafianami w różne części Europy. Zauważyłem, że zupełnie inaczej przeżywa się święte miejsce razem ze wspólnotą Kościoła, a inaczej, gdy prywatnie jedzie się do sanktuarium. Odwiedzamy Fatimę w Portugalii, Santiago de Compostela oraz Oviedo w Hiszpanii i oczywiście Włochy, żeby zobaczyć m.in. Watykan, Całun Turyński czy sanktuarium w Lanciano. Gdy prezydent Chirac powiedział, że „Polska nie skorzystała z prawa do milczenia", kierunek francuski przestał być mi miły.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, prywatne archiwum ks. Piotra Walendzika

eprasa.pl efe16964bb

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Od Bolesława Chrobrego do Jana Pawła Świętego

Jan Pietrzak

Byłem na poruszającym spotkaniu z okazji 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 20-lecia śmierci św. Jana Pawła II. Profesorowie W. Polak, W. Roszkowski, redaktorzy J. Sosnowska, P. Lisicki, W. Reszczyński i aktorzy H. Łabonarska, J. Zelnik przedstawili coś na kształt monodramu w kilku odsłonach. Właśnie na to pragnę zwrócić uwagę – nie była to jedynie publicystyka historyczna czy rozbudowany wykład, lecz pełna dramatycznego napięcia opowieść Wernyhory o losie Polski. Opowieść rozpisana na głosy, w której rozległa wiedza i osobiste doświadczenia splatały się we wspólnym refrenie brzmiącym jak Te Deum śpiewane na gruzach kościoła. W powojennym gruzowisku pod nazwą Warszawa jako przerażone dziecko byłem świadkiem takiego wydarzenia. Do dzisiaj pamiętam tamten nastrój, rosnącą ufność, że Bóg jest z nami, że Polska podniesie się gruzów, a ja nie będę musiał wygrzebywać zgniłych kartofli z piwnicy sąsiadów, by coś zjeść. Sąsiedzi zostali wywiezieni przez Niemców „na roboty" i do dzisiaj nie wrócili. Dziękuję wydawnictwu Biały Kruk z Krakowa za organizację w Warszawie tego wydarzenia związanego z promocją dwóch książek „Pierwsze królestwo" W. Polaka i „Największy z rodu Polaków" A. Bujaka i J. Sosnowskiej.

Z przykrością myślę, że warszawskiego środowiska umysłowego (?) nie stać na tego rodzaju prezentację wysokiej kultury w tak interesującej formie. Warszawską kulturą zarządzają jakieś mutanty komuno-genderowego ładu, dla których polska prawda historyczna nie istnieje. Zajmują się falsyfikacją idei i wiedzy na potrzeby sponsorów w rodzaju Sorosa i licznych germańskich fundacji...

Degradacja edukacji i destrukcja kultury są fragmentami wielu zadań stojących przed obecnym rządem. Co w połączeniu z bezprawiem, upadkiem przedsiębiorczości itd. ma doprowadzić do zrujnowania państwa polskiego. Wmawiana nam przez prusactwo „polnische Wirtschaft" jest w zasięgu możliwości berlińskiego państwa. Mają u nas tylu przećwiczonych agentów, że stać ich na wiele. Chyba że Polacy wydobędą się z fetoru zdrady i oparów niewolnictwa. To jeszcze nie jest niemożliwe.

W naszej historii mamy wiele takich chwil. Chociażby 45 lat temu. Wokoło był brud, smród i ubóstwo „ze Związkiem Radzieckim na czele". Znikąd nadziei. Nieoczekiwanie objawia się nam i światu, *urbi et orbi*, niemający precedensu papież Polak, na jego wezwanie rodzi się 100-mln ruch Solidarności, upada imperium zła i zaczyna się nowa epoka... Tak było! Tylko przez 16 miesięcy... ale wojska okupacyjne się wyniosły, prezydent Reagan przeprosił za Jałtę. „Kumitet Cyntralny" przekształcił się w giełdę. Młodziutki student Andrzej Nowak zaczął gromadzić materiały do 10 tomów polskich dziejów. Jesteśmy fragmentem niesamowitej opowieści.

Prawdziwa debata już trwa

Samuel Pereira

Kampania wyborcza, a szczególnie prezydencka, bez debaty o debacie to kampania stracona. Tym razem nabrała ona jednak wyjątkowo kuriozalnego charakteru, gdy zaproszony na starcie przez Karola Nawrockiego Rafał Trzaskowski postanowił zrobić wszystko, żeby się z nim nie zmierzyć. Czy to się udało, będziemy wiedzieli w momencie publikacji tego felietonu, ale już teraz jest jasne, że jedna strona stawia na dialog i gdy trzeba – dyskusję, a druga w ramach „tolerancji" i „otwartości" zamyka (*nomen omen*) się na inne zdanie, a nawet zwalcza inaczej myślących.

Władza, działając ze złamaniem obowiązującego w Polsce prawa, robi to na dużą skalę, okradając największą partię opozycyjną z należnych pieniędzy, działa tak (z pomocą sędziów z zaprzyjaźnionej organizacji politycznej Iustitia) wobec mediów, które patrzą rządzącym na ręce, dlatego należy im odebrać koncesję. Co tam wola milionów Polaków, którzy nie kupują propagandy TVN i telewizji rządowej w fikcyjnej likwidacji. Liczy się wola polityczna Donalda Tuska, która dziś stoi nawet ponad prawem, bo to „oko premiera" jest decydujące i ważniejsze od np. uchwał PKW, a minister finansów ma się stosować do woli wodza.

To, jaki jest realny stan demokracji, widać także po tym, że nawet istotny (pod kątem liczby posłów) członek koalicji rządzącej, jakim jest Szymon Hołownia, przyznaje, że jest niesprawiedliwie traktowany przez TVP, które przecież sam pomógł przejąć.

To jest prawdziwa debata, która trwa i musi zostać rozstrzygnięta, bo na naszych oczach zmienia się system i dzieje się to poza konstytucją, za plecami obywateli, ze złamaniem standardów państwa prawa i dobrych obyczajów. Może realizuje się transformacja ustrojowa, która może być bardziej trwała, niż nam się wydaje. I to nie tylko w Polsce, lecz także w innych krajach europejskich, czego przykład widzieliśmy ostatnio nad Sekwaną. Demokracja, jaką do tej pory znaliśmy, odchodzi do lamusa? Dla „demokratów" na pewno.

eprasa.pl efe16964bb

Historia jeszcze się nie kończy

Powstała koalicja, jakiej jeszcze nie widziano – międzynarodowy sojusz przeciwko suwerennej Polsce. Przed wyborami w 2023 r. w jednym szeregu, choć z pozoru ideowo odlegli, stanęli liberałowie z Brukseli, socjaliści z Berlina, demokraci z Waszyngtonu i dyktator z Moskwy. Sojusz ten łączył jeden cel: zniszczyć siłę polityczną, która uczyniła z Polski państwo podmiotowe, samodzielne, prowadzące własną politykę zagraniczną.

Dlaczego tak bardzo przeszkadzaliśmy? Bo rząd PiS zmienił bieg pieniędzy: z kieszeni „elit" do portfeli zwykłych Polaków. Zamiast drenować budżet przez mafie VAT-owskie i szemrane koncerny, zaczęliśmy inwestować w rodziny, seniorów, rozwój Polski powiatowej. Polacy odczuli to bezpośrednio – wzrosło ich poczucie godności, bezpieczeństwa i znaczenia. Po raz pierwszy od dekad zwykły obywatel miał poczucie, że państwo jest po jego stronie.

Ale to był niewybaczalny grzech. Bo od czasów Bretton Woods świat funkcjonował w układzie, w którym pewnym państwom wyznaczono rolę wykonawców, a innym decydentów. Polska, która zaczęła myśleć samodzielnie, mówić „nie" i realizować własne interesy, stała się solą w oku globalnych graczy. Nie tolerują oni zbyt ambitnych narodów w środku Europy.

Dlatego uruchomiono wobec nas potężne mechanizmy nacisku: finansowanie „właściwych" środowisk, wpływy medialne, szantaż instytucjonalny, kampanie dezinformacyjne. Wszystko po to, by doprowadzić do zmiany władzy. Tak się stało. Dziś Polską znów rządzą ci, którzy pytają w Berlinie i Brukseli, zanim podejmą decyzje w Warszawie.

Ale historia jeszcze się nie kończy. Przed nami wybory prezydenckie i to w nich może się rozstrzygnąć przyszłość tej Polski, której chcą się pozbyć siły zewnętrzne. Karol Nawrocki staje dziś jako kandydat obozu niepodległościowego, reprezentując Polskę silną, godną i wierną swoim wartościom. Nie waha się mówić prawdy o historii, nie ugina się przed poprawnością, nie klęka przed zagranicznym dyktatem. Jest gwarantem, że polski majątek nie będzie znów rozkradany, a ciężko wypracowane przez Polaków pieniądze nie popłyną do szarej strefy i zagranicznych decydentów, dla których nasz kraj to jedynie rynek do drenowania i źródło łatwego zysku.

W tym starciu jest nadzieja dla Polski prawdziwie suwerennej. Jeszcze nie wszystko stracone. Jeszcze Polska może być Polską.

Arkadiusz Mularczyk

Tym, co zapamiętałem, był ból

Z aktorem Kamilem Przystałem rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Nie każdemu aktorowi dane jest wcielić się w postać Chrystusa, i to jeszcze w scenach tak dramatycznych oraz poruszająco zaaranżowanych. Jak pan je odbierał?

Kamil Przystał: Tym, co zapamiętałem z planu, był ból. Powodowało go już samo podwieszenie na krzyżu, bez gwoździ wbijanych w ciało, ale przez kilka godzin.

Czy i jak zmieniło się pana postrzeganie postaci Chrystusa po tej roli?

Dzięki fabularyzowanemu dokumentowi w reżyserii Michała Kondrata zobaczyłem w Jezusie więcej człowieka niż Boga i dzięki temu stał mi się bliższy.

Czy inspirowaliście się jakimiś konkretnymi wizerunkami, dziełami sztuki, realizacjami?

Nie planowaliśmy żadnych nawiązań, ale kiedy zostałem ucharakteryzowany, pierwszym, co mi się nasunęło, było: „Wow, Mel Gibson, »Pasja«". Z tym że tam było bardziej dramatycznie, wręcz naturalistycznie.

Kto z rodziny najmocniej zareagował na wieść, jaką postać pan zagra?

Mama, która jest bardzo wierzącą osobą. Ale i dla niej rola ta nie była nowością. Pierwszy raz zagrałem Jezusa na deskach Teatru Narodowego u Jerzego Jarockiego w spektaklu „Sprawa". Miałem 24 lata, debiutowałem i bardzo starałem się pogłębić moje granie duchowo, choć reżyser chciał, żeby było proste. Teraz jestem o dekadę starszy i rozumiem, że Jezus był też człowiekiem. Takim jak my wszyscy.

Gdzie poza ekranem można pana zobaczyć?

Jestem związany z krakowskim Teatrem STU. Gram m.in. w „Biesach" Dostojewskiego. Ale można mnie też wynająć jako mima czy szczudlarza. To pasja, dzięki której stałem się zawodowym aktorem i która przy mnie została.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl efe16964bb

Polscy Aborygeni

Jak większość chłopców dorastających w PRL, swą wiedzę o świecie czerpałem z książek Alfreda Szklarskiego. Gdy po wielu latach zawitałem wreszcie do Australii, patrzyłem na nią przez pryzmat „Tomka w krainie kangurów", konfrontując moje dawne wyobrażenia ze stanem faktycznym. Okazało się, że Aborygenów przestano traktować jako miejscową faunę całkiem niedawno, prawa wyborcze otrzymali dopiero w 1965 r. Cóż, tubylcy nie wymyślili koła ni łuku, ale fenomen bumerangu i didgeridoo (drewniany instrument dęty) mocno zaistniał w międzynarodowej świadomości. Niestety genialne zdolności tubylców do przetrwania w buszu zanikły w zderzeniu z cywilizacją białego człowieka. Nie przełożyło się to na awans społeczny Aborygenów i ich spektakularne kariery. Potomkowie legendarnych tropicieli dogorywają dziś na obrzeżach wielkich miast, trwoniąc rządowe zasiłki na alkohol i narkotyki.

Odnoszę wrażenie, że nasza młodzież jest równie nieprzystosowana do przeżycia w nowej rzeczywistości. Podobnie jak Aborygeni nie widzi ona związku aktu seksualnego z narodzinami dziecka, stąd wokół tyle aborcji. Ale mieszkańcy buszu intuicyjnie dbali o swoje plemię, chroniąc zwłaszcza tych najbardziej bezbronnych – dzieci i starców. U nas bachory określa się jako „udrękę", a staruchów „leczy" pavulonem. Nałogiem ostatniego pokolenia białych stała się wirtualna nirwana, która odbiera zdolność do racjonalnego myślenia i działania w grupie: jako rodzina, wspólnota, naród. Pewnie dlatego określenie „ostatnie pokolenie" brzmi tak apokaliptycznie.

Potomkowie króla Sobieskiego nie protestują, gdy ściąga się tutaj hordy ludów afrykańskich, wyraźnie dominujących w miejskiej dżungli w walce o przetrwanie. Wyobraźnia młodych pięknoduchów nie sięga poza tu i teraz. Jakże przygnębiająco będą wyglądały za pół wieku getta starych, samotnych, zakolczykowanych i wytatuowanych białych tubylców wegetujących na obrzeżach kalifatów wielkich miast...

Lech Makowiecki

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, MAŁGORZATA WOŁCZYK, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: HERITAGE ART/BE&W, ANDRZEJ WIKTOR, KPR ANNA WOLSKA/MON.GOV.PL, ARCHIWUM DOKUMENTACJI MECHANICZNEJ, SHUTTERSTOCK/STILLFX, GAROMANJKIAN

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl efe16964bb

OGNIEM NA WPROST

Kitajec i ruski mir

Andrzej Rafał Potocki

Na wojnie zdarzają się też śmieszne sytuacje. Tryzuby złapali na froncie Chinola, który sądząc po mundurze, udawał Moskala. Podczas przesłuchania okazało się, że Kitajec wstąpił do ruskiej armii przez pośrednika. Mało tego, że się zaciągnął, to jeszcze za to zapłacił. 300 tys. rubli, co jest odpowiednikiem 15 tys. zł. Do tej pory to państwo prowadzące wojnę płaciło najemnikom, ale widać czasy się zmieniają i dzieje się odwrotnie. Ten swoisty fenomen wytłumaczył śledczym pojmany Chińczyk, który twierdzi, że dał kasę Kacapom i poszedł na front w zamian za obywatelstwo krainy mlekiem i miodem płynącej nad Wołgą i Obem. Człowiek zawsze myślał, że to w prężnie rozwijającym się Państwie Środka jest lepiej niż w kraju rządzonym przez Putina. Zamordyzm niby ten sam, ale Pekin lepiej stoi gospodarczo. A tu się okazuje, że niekoniecznie. Wersję pierwszego potwierdził drugi złapany Chinol. Teraz HUR (wywiad wojskowy Kijowa) ma zagwozdkę. Jak będą sprytni, skasują Kitajców na następne 15 tys. zł i wyślą na front z ukraińskim paszportem. Może to sposób na uzupełnienie braków kadrowych w ukraińskiej armii, a i parę hrywien wpadnie do kasy Kijowa?

Wracamy na front. O sytuacji w obwodach kurskim i biełogrodzkim już pisaliśmy. Wołczańsk – pauza operacyjna. Większość sił moskiewskich prawdopodobnie pognała pod Demidowkę. Kupiańsk–Dworiczna – stabilizacja. Na południe od Kupiańska Moskale nie posunęli się do przodu od tygodnia. Ukraińcy kontratakowali pod miejscowością Raihorodok, zajmując 2,5 km². Ciężko powiedzieć, co z tego ma wynikać. Nawis od północy nad pozycjami ukraińskimi raczej nie rokuje dobrze jakiejś poważniejszej operacji w tym rejonie. Jednak akcję wykonała Trójka Azow (3. Brygada), która działa w ramach 3. Korpusu Armijnego Azow, więc może jednak coś tu rzeźbią. W każdym razie odbicie tego terenu, który Moskale zajmowali przez dwa miesiące kosztem trzech pułków, zajęło Trójce 30 godzin. Koło zalewu na Żerebcu Moskale zajęli Terny i starają się obejść Jampolówkę. Poszerzają przy tym przyczółek na zachodnim brzegu Żerebca. Toreck jest przekleństwem Moskali. Niby go zdobyli, ale ciągle nie zajęli. Codziennie szarpią się tu obie strony, a Moskalom coraz częściej zdarza się oddawać pole. Pokrowsk to już w ogóle pełna klapa wojsk Kremla. Po nieudanych próbach zajęcia węzła komunikacyjnego Koniczynka (tak nazywają to skrzyżowanie Ukraińcy) bojcy odpuścili i próbują obejść ukraińskie pozycje od wschodu. Widać, że trwający od ponad pół roku rosyjski impet na tym kierunku wyczerpał się, a inicjatywa zaczyna przechodzić w ręce ukraińskie. Jedyny w tym rejonie kierunek, gdzie Moskale idą do przodu (powoli, ale idą), to natarcie korytem rzeki Mokre Jały na północ. Siły rosyjskie dotarły tu do wsi Wesołe. Jeśli dojdą do Przebudowy, cały wysiłek na innych odcinkach będzie zmarnowany. Trwa też rosyjskie natarcie w rejonie Zaporoża. Wciąż jest to walka na przedpolu i do pierwszej ukraińskiej linii nadal daleko. Jak widać, sytuacja wojskowa nie jest szczególnie korzystna dla Rosjan. Także w kontekście negocjacji. Można domagać się oddania terytoriów, kiedy się idzie do przodu, a nie gdy się utknęło lub się cofa.

Tymczasem negocjacje się ślimaczą i cała ta fanfaronada prezydenta Donalda Trumpa oraz jego dyplomatyczne podchody zdają się na niewiele. Moskwa tkwi w uporze i wszystko dzieje się zgodnie z przewidywanym scenariuszem, według którego jeśli Putin nie dostanie jeszcze kilka razy po mordzie (oczywiście na froncie), to dalej będzie kluczył i kombinował, ale zawieszenia broni, a już tym bardziej pokoju z tego nie będzie. Wydaje się, że negocjatorzy Waszyngtonu nie rozumieją podstawowej, mentalnościowej kwestii, która uniemożliwia skuteczne negocjacje. Dał temu wyraz Steve Witkoff, przedstawiciel prezydenta Trumpa na Rosję, w wywiadzie. Wychodzi na to, że w jego głowie nie mieszczą się dwie kwestie. Pierwsza – że Kreml może w pełni kontrolować dany kraj wyłącznie siłami swojej agentury, formalnie zachowując pozory jego niezależności. Nie musi zatem zajmować kraju, żeby stanowił część ruskiego miru.

Druga – że dla Moskwy koszty ludzkie nie mają znaczenia i że potrafi ona robić to, czego nie umie żadne społeczeństwo zachodnie – walczyć przez pokolenia. Niestety ani wojna w Wietnamie, ani dziesięcioletnia okupacja przez Rosję Afganistanu niczego nie nauczyły Zachodu. Witkoff patrzy na Moskwę oczami człowieka Zachodu, który wojnę zaczyna po to, żeby coś uzyskać, a nie po to, żeby... mieć wojnę. Istotą systemu Kacapów jest wojna i podbój, a nie budowanie relacji. To mentalność osiedlowego osiłka, który codziennie musi komuś spuścić łomot, bo inaczej źle się czuje. Dla Witkoffa to coś, co przekracza jego zdolność pojmowania. Oby nie dla samego Donalda Trumpa. Im szybciej to zrozumieją, tym lepiej dla sprawy.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efe16964bb

Świadkowie Męki Chrystusa

Kim byli ludzie, którzy uczestniczyli w wydarzeniach związanych z procesem i egzekucją Jezusa? Jakie postawy reprezentowali? Co dziś mówi nam ich postępowanie?

GRZEGORZ GÓRNY

Ich imiona znane są milionom chrześcijan na całym świecie. W świadomości wiernych pojawiają się zazwyczaj tylko raz w roku – w okresie wielkanocnym. Dzieje tych postaci na zawsze zostały bowiem splecione z wydarzeniami, do których doszło 2 tys. lat temu w Jerozolimie: sądem, męką i śmiercią Jezusa z Nazaretu. Poza tym ich losy pozostają zupełnie nieznane większości ludzi.

A przecież każdy z nich reprezentuje inną postawę wobec prawdy objawiającej się w człowieku, z którym mieli okazję się spotkać. Przyjrzyjmy się zatem z bliska owej osobliwej galerii postaci.

Fot. Galleria d'Arte Moderna

eprasa.pl efe16964bb

Obraz Antonio Ciseriego „Ecce Homo”

Renesansowy fresk przedstawiający św. Piotra uderzającego Malchosa przed aresztowaniem Jezusa

Malchos: *niewdzięczny strażnik*

Gdy Jezus został pojmany w Ogrójcu, św. Piotr, broniąc swojego mistrza, uderzył jednego ze sług arcykapłana Kajfasza i odciął mu prawe ucho. Często można spotkać się z twierdzeniem, że apostoł dobył miecza, jednak w rzeczywistości bardziej prawdopodobna wydaje się wersja, że posłużył się długim tasakiem, jakiego używali w tamtych czasach rybacy z Galilei. Św. Łukasz pisze w swej ewangelii, że Chrystus dotknął ucha sługi Kajfasza i uzdrowił go. Zapewne odcięta część ciała zwisała, trzymając się głowy na kawałku skóry, jednak dotyk Jezusa sprawił, że przyrosła na nowo. Był to ostatni cud uczyniony przez niego podczas ziemskiej misji.

Św. Jan pisze, że poszkodowany miał na imię Malchos. Jest on wspominany łącznie pięć razy w czterech ewangeliach. Nie pojawia się jednak później w żadnym z pism wczesnochrześcijańskich. Gdyby został wyznawcą Chrystusa, zapewne napomknąłby o tym któryś z ówczesnych historyków lub Ojców Kościoła. Tradycja nie zostawiła nam jednak o nim żadnej, nawet najmniejszej wzmianki. Wiele wskazuje więc na to, że się nie nawrócił.

Według biblistów przykład Malchosa pokazuje, że można doświadczyć nadprzyrodzonej łaski, nawet ewidentnego cudu fizycznego, a mimo to pozostać głuchym duchowo i obojętnym na działanie Boga w swoim życiu.

Annasz i Kajfasz: *niewierni arcykapłani*

Annasz był najbardziej wpływowym Żydem w Izraelu w czasach Jezusa. Pełnił funkcję arcykapłana w świątyni jerozolimskiej od 6 do 15 r. po Chrystusie. Utorował drogę do tego stanowiska pięciu swoim synom. Z jego córką ożenił się Kajfasz, który dzięki temu małżeństwu został arcykapłanem. Piastował tę godność w latach 18–36 i to on jako przewodniczący Sanhedrynu prowadził proces przeciwko Jezusowi. Z powodu swej zależności od teścia był mu całkowicie posłuszny i spełnił jego wolę. Arcykapłan mógł być tylko jeden. Jeżeli więc ewangeliści używają liczby mnogiej – „arcykapłani”, mają na myśli zarówno Annasza, jak i Kajfasza.

Annasz jako pierwszy przesłuchiwał Jezusa w swoim pałacu, choć nie pełnił wówczas żadnego oficjalnego urzędu. To jego sługa spoliczkował wówczas Chrystusa, uznając, że aresztant obraził sędziwego kapłana swą odpowiedzią. Ten ostatni odesłał potem skrępowanego więźnia do swego zięcia.

Według św. Jana to właśnie Kajfasz jako pierwszy zaproponował zabicie Jezusa. Stało się to po wskrzeszeniu Łazarza, gdy wielu Żydów uwierzyło w mesjańską misję Galilejczyka. Oświadczył wówczas członkom Sanhedrynu, że „lepiej jest dla was, gdy jeden człowiek umrze za lud, niż miałby zginąć cały naród”. Nawet tak wielki cud jak wskrzeszenie zmarłego nie był w stanie sprawić, by arcykapłan dostrzegł w tym wydarzeniu dzieło Boże. Co więcej, to jeszcze bardziej zmotywowało go do walki z Chrystusem.

Kajfasz odegrał pierwszoplanową rolę w skazaniu Jezusa. To on zawarł zdradziecki układ z Judaszem, wysłał uzbrojonych strażników do Ogrójca z rozkazem pojmania Nazarejczyka, szukał fałszywego świadectwa przeciw podsądnemu, wydał wyrok w imieniu Sanhedrynu, oskarżał więźnia przed Piłatem, podburzał tłum przeciw Chrystusowi, a w końcu drwił z niego na Golgocie pod krzyżem. Z pewnością był wykonawcą woli Annasza, jednak działał niezwykle aktywnie i był zaangażowany emocjonalnie w zwalczanie Jezusa z całych sił.

Fot. jorisvo/Shutterstock.com

eprasa.pl efe16964bb

Przykład obu dostojników to ostrzeżenie aktualne także we współczesnych czasach. Pokazuje, że ludzie, którzy z racji swego urzędu są powołani, by reprezentować Boga, mogą się sprzeniewierzyć swojej misji. Nawet najwyższy arcykapłan może zdradzić Chrystusa.

Poncjusz Piłat: *koniunkturalny namiestnik*

Poncjusz Piłat był rzymskim prefektem Judei, a więc namiestnikiem cesarza w tej krainie. Zachowało się o nim wiele informacji w różnych źródłach historycznych, m.in. w dziełach Józefa Flawiusza. Był znany ze swej niechęci wobec Żydów, często popadał z nimi w konflikty, zwłaszcza na tle religijnym. Wydał np. rozkaz masakry galilejskich pątników, którzy pielgrzymowali do Jerozolimy, o czym wspomina św. Łukasz w swej ewangelii.

To właśnie przed jego oblicze przyprowadzono Jezusa, by skazał go na śmierć, ponieważ tylko on jako najwyższy przedstawiciel cesarza mógł wydać taki wyrok. Wrogo usposobiony do judaizmu rzymski namiestnik był ciekaw tego, co ma do powiedzenia człowiek, którego elity religijne Izraela uznały za największe niebezpieczeństwo. Podczas przesłuchania szybko odkrył, że podsądny z Nazaretu jest niewinny. Robił wiele, by uratować Chrystusa, skazując go jedynie na karę chłosty lub proponując wypuszczenie na wolność z okazji Paschy.

Faryzeusze i uczeni w Piśmie pozostawali jednak nieugięci, wykazując niezwykłą determinację, by posłać więźnia na śmierć. Kajfasz posunął się nawet do szantażowania prefekta, zarzucając mu nielojalność wobec imperatora. W końcu Piłat uległ i kazał ukrzyżować Jezusa. Publicznie umył ręce, dając znać tym gestem, że to nie on jest winny śmierci skazańca.

Nie znamy jego późniejszych losów. Według niektórych przekazów miał popełnić samobójstwo, według innych zostać skazanym na śmierć przez kolejnego z cesarzy, według kolejnych nawrócić się dzięki żonie i przejść na chrześcijaństwo.

Rzymski urzędnik symbolizuje tych, którzy są w stanie rozpoznać prawdę (w tym przypadku niewinność Chrystusa), a jednak postępują wbrew niej, godząc się na krzywdzenie innych (nawet posłanie niewinnej osoby na śmierć).

„Wiadomość od żony Piłata", obraz Jamesa Tissota

Dlaczego to uczynił? Egzegeci wskazują wiele przyczyn. Może z powodu tchórzostwa (bał się popadnięcia w niełaskę cesarza), może pragnienia spokoju (stracenie więźnia odsuwało widmo buntu społecznego), a może kalkulacji politycznej (wyrok śmierci cementował sojusz z wrogim mu dotychczas środowiskiem). Niezależnie od motywów skutek był ten sam: poświęcenie prawdy na ołtarzu własnych korzyści. Nic zatem dziwnego, że życiową dewizą relatywistów moralnych mogą być słowa Piłata: „Cóż to jest prawda?".

Klaudia Prokula: *niespokojna małżonka*

Św. Mateusz w swej ewangelii wspomina o żonie Piłata, nie podając jednak jej imienia. Małżonka prefekta Judei miała niezwykły sen, w którym widziała Jezusa. Wstrząsnęło nią to tak mocno, że próbowała nakłonić męża, by nie skazywał więźnia na śmierć. W czasie przesłuchania Chrystusa posłała do małżonka informację: „Nie miej nic do czynienia z tym sprawiedliwym, bo dzisiaj we śnie wiele nacierpiałam się z jego powodu". Nazywając Jezusa sprawiedliwym, uznawała jego niewinność. Jej starania nie przyniosły jednak skutku: wyrok zapadł.

Jej postać pojawia się w apokryfach pisanych w pierwszych wiekach chrześcijaństwa, które obdarzają ją imieniem Klaudii Prokuli. Wspomniana Rzymianka wpisuje się w długi ciąg biblijnych postaci mających prorocze sny. Byłby to jednak jedyny w Piśmie Świętym sen zesłany przez Boga na kobietę.

Według wczesnochrześcijańskiej tradycji żona Piłata miała się później nawrócić. Do dziś jest czczona jako święta w Kościele Grecji i Etiopskim Kościele Ortodoksyjnym. Jej postawa uczy, by stawać w obronie niesłusznie oskarżanych i prześladowanych. Obojętność i milczenie wobec otaczającego nas zła oznaczają bowiem współwinę.

Herod Antypas: *czarny charakter*

Herod Antypas był drugim synem Heroda Wielkiego – tego, który rozbudował świątynię jerozolimską i dokonał rzezi niewiniątek w Betlejem. Po śmierci ojca został tetrarchą Galilei i Perei, a więc za-

Fot. brooklynmuseum.org

eprasa.pl efe16964bb

rządzał obydwiema krainami z nadania Rzymu. W tym czasie poślubił swoją bratową Herodiadę, co wywołało wzburzenie wśród Żydów. Za sprawą intryg żony i córki kazał ściąć Jana Chrzciciela, który krytykował ten kazirodczy związek. Choć sam cenił, a nawet bronił proroka, to jednak posłał go na śmierć. Był człowiekiem ambitnym, pysznym i rozwiązłym, a zarazem chwiejnym i podatnym na wpływy.

Jezus niepochlebnie wypowiadał się o Antypasie. Nazywał go lisem, co oznaczało człowieka niecnego i chytrego. Napominał też swych uczniów, by strzegli się „kwasu Heroda". Wiadomo, że nawet odrobina kwasu może zepsuć ciasto. Jeden człowiek i jego postawa mogą więc zatruć całą społeczność zawiścią, zazdrością, gniewem i agresją. Nawet dziś są na świecie przywódcy, którzy potrafią świadomie mobilizować najniższe instynkty ludu i czynić zbiorowość ludzką gorszą, niszcząc w niej pozytywne odruchy dobroci i szlachetności.

Podczas procesu Jezusa tetrarcha przebywał w Jerozolimie. Piłat polecił odesłać do niego więźnia, ponieważ Nazarejczyk pochodził z Galilei, a więc podlegał władzy Heroda. Być może rzymski namiestnik chciał w ten sposób pozbyć się kłopotliwego ciężaru, a może zjednać sobie Antypasa, który pozostawał w dobrych relacjach z cesarzem Tyberiuszem.

Jak pisze św. Łukasz: „Na widok Jezusa Herod bardzo się ucieszył. Od dawna bowiem chciał Go ujrzeć, ponieważ słyszał o Nim i spodziewał się, że zobaczy jaki znak, zdziałany przez Niego. Zasypał Go też wieloma pytaniami, lecz Jezus nic mu nie odpowiedział. Arcykapłani zaś i uczeni w Piśmie stali i gwałtownie Go oskarżali. Wówczas wzgardził Nim Herod wraz ze swoją strażą; na pośmiewisko kazał ubrać Go w lśniący płaszcz i odesłał do Piłata".

Antypas oczekiwał spektaklu, a Chrystus nigdy nie wykonywał niczego na pokaz. Wiedział, iż żaden znak nie przekona tetrarchy, tak jak wcześniej nie przemówiły do niego napomnienia Jana Chrzciciela. Dlatego milczał, co wywoływało tylko wzgardę władcy.

Fot. Alamy Stock Photo/BE&W, domena publiczna

Jezus przed Herodem Antypasem, obraz z kościoła w Saint-Fargeau

- **Przykład Malchosa** pokazuje, że można doświadczyć nadprzyrodzonej łaski, nawet ewidentnego cudu fizycznego, a mimo to pozostać głuchym duchowo i obojętnym na działanie Boga w swoim życiu.
- **Przykład Annasza i Kajfasza** to ostrzeżenie aktualne także we współczesnych czasach. Pokazuje, że ludzie, którzy z racji swego urzędu są powołani, by reprezentować Boga, mogą się sprzeniewierzyć swojej misji. Nawet najwyższy arcykapłan może zdradzić Chrystusa.
- **Piłat** symbolizuje tych, którzy są w stanie rozpoznać prawdę, a jednak postępują wbrew niej, godząc się na krzywdzenie innych dla własnych korzyści. Nic zatem dziwnego, że życiową dewizą relatywistów moralnych mogą być słowa Piłata: „Cóż to jest prawda?".
- **Postawa żony Piłata** uczy, by stawać w obronie niesłusznie oskarżanych i prześladowanych. Obojętność i milczenie wobec otaczającego nas zła oznaczają bowiem współwinę.
- **Herod** reprezentuje wszystkich, którzy wyszydzają prawdę i wyśmiewają dobro, ponieważ najważniejsze są dla nich władza, bogactwo i osobiste korzyści.
- **Dyzma** stał się „robotnikiem ostatniej godziny", pokazując, że na nawrócenie nigdy nie jest za późno. Można bluźnić Najwyższemu jeszcze trzy godziny przed śmiercią, a odchodzić z tego świata pojednanym z Bogiem. To przesłanie nadziei dla każdego grzesznika.

Herod reprezentuje zatem wszystkich, którzy wyszydzają prawdę i wyśmiewają dobro, gdyż najważniejsze są dla nich władza, bogactwo i osobiste korzyści. Nie uratowało go to jednak przed smutnym końcem: popadł w niełaskę kolejnego cesarza Kaliguli, został skazany na banicję i zmarł zgorzkniały na wygnaniu w Galii.

Uwolnienie Barabasza, rycina z 1910 r.

Barabasz: *bojownik o niepodległość*

Poncjusz Piłat sądził, że uratuje Jezusa, jeśli da Żydom do wyboru, kogo powinien ułaskawić z okazji święta Paschy, jak przewidywało ówczesne prawo: czy „króla żydowskiego" z Nazaretu, czy może Barabasza. Ten ostatni był więźniem skazanym na śmierć w tym samym czasie co Chrystus. Według św. Marka został aresztowany za bunt i zabójstwo. Św. Mateusz nazywa go znacznym więźniem, a św. Jan zbrodniarzem. Zdaniem większości egzegetów mógł być jednym z przywódców antyrzymskiego powstania. Jako lider ruchu oporu reprezentował dominujące w społeczeństwie żydowskim przekonanie, że idea mesjańska wiąże się z wyzwoleniem Izraela spod jarzma Rzymian. W tym sensie swoiste referendum, do którego doszło w pretorium Piłata, oznaczało wybór między dwiema odmiennymi formami mesjanizmu: politycznym, uosobionym przez Barabasza, oraz duchowym, wskazywanym przez Jezusa.

Benedykt XVI uwypuklił tę alternatywę, przypominając, że niektóre z wczesnych rękopisów Ewangelii nazywały więźnia Jezusem Barabaszem. Jeśli weźmiemy pod uwagę, że jego imię pochodziło od słów „bar Abbas", które oznaczały „syna ojca", otrzymamy – jak pisał papież – „pewien rodzaj przeciwfigury Jezusa". Reprezentował on polityczne dążenia

eprasa.pl efe16964bb

Szymon Cyrenejczyk pomaga Jezusowi nieść krzyż, fresk w atrium kościoła Església de la Concepció z XIX. w.

narodu żydowskiego, obiecując zbrojne wywalczenie niepodległości, w odróżnieniu od tajemniczego mistrza z Nazaretu, który głosił wyzwolenie od grzechu, przepowiadając własną śmierć. W tej sytuacji nie może dziwić fakt, że większość Żydów zebranych przed tronem Piłata wolała widzieć na wolności Barabasza niż Jezusa. Wiele razy w historii ludzie stawali przed podobnym wyborem: wizją szukania zbawienia w doczesności lub obietnicą znalezienia go w życiu wiecznym.

Szymon Cyrenejczyk: *mimowolny pomocnik*

Szymon pochodził z Cyreny, czyli miasta położonego nad Morzem Śródziemnym na terenie dzisiejszej Libii. Najprawdopodobniej był Żydem z diaspory, który przybył do Jerozolimy na święto Paschy. Jako przypadkowy przechodzień został zmuszony przez rzymskich żołnierzy, by pomóc dźwigać krzyż wycieńczonemu Jezusowi. Tym samym oprawcy upokorzyli Szymona, ponieważ drzewo, które kazali mu nieść, było rytualnie „nieczyste", uniemożliwiało mu zatem spożycie paschy tego samego dnia. On, który przywędrował z tak daleka do Jerozolimy, został wykluczony z ceremonialnej wieczerzy, która była najważniejszym momentem całego święta.

Cyrenejczyk stracił z powodu Chrystusa bardzo wiele, jednak zyskał znacznie więcej. Jego rodzina weszła do Kościoła i należała do pierwszych wyznawców Jezusa. Według źródeł wczesnochrześcijańskich dwaj synowie Szymona Aleksander i Rufus poświęcili się ewangelizacji i ponieśli męczeńską śmierć. Obaj są czczeni jako święci w Kościołach katolickim, prawosławnym i ormiańskim.

Dyzma i Gestas: *skazani złoczyńcy*

Razem z Jezusem na Golgocie ukrzyżowano dwóch złoczyńców. Ewangeliści Mateusz i Marek piszą, że obaj skazańcy znieważali Jezusa wiszącego obok nich na krzyżu. Z kolei według relacji św. Łukasza jeden urągał Chrystusowi, natomiast drugi skarcił swego towarzysza niedoli, mówiąc: „Czy ty nie boisz się Boga, chociaż jesteś pod tym samym wyrokiem? I słusznie, bo odbieramy należną zapłatę za nasze uczynki. Ale ten człowiek nic złego nie uczynił". Po czym dodał: „Jezu, wspomnij na mnie, gdy przyjdziesz do swego królestwa". W odpowiedzi usłyszał od Chrystusa: „Zaprawdę, powiadam ci: dziś ze mną będziesz w raju".

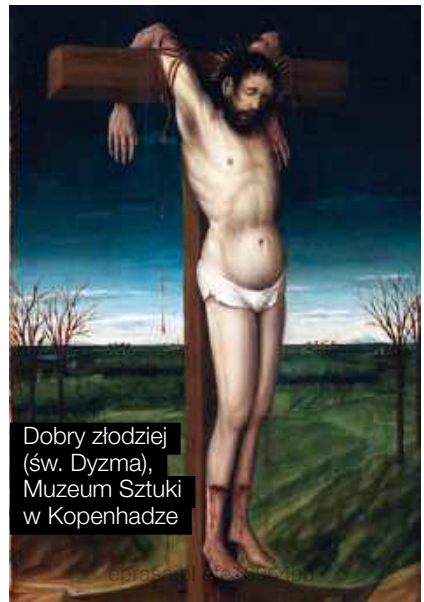

Dobry złodziej (św. Dyzma), Muzeum Sztuki w Kopenhadze

Prawdopodobnie drugi ze złoczyńców przeszedł więc podczas ukrzyżowania przemianę: najpierw bluźnił Jezusowi, by potem uznać w nim swojego pana. Wyraził akt głębokiej skruchy i żalu za grzechy, wyznał własne winy i dokonał braterskiego upomnienia swojego kompana. Uznał nie tylko niewinność Jezusa, lecz także jego królewską godność, i to w momencie największego poniżenia Chrystusa. Coś w zachowaniu Jezusa musiało zatem głęboko poruszyć serce przestępcy, skoro tak radykalnie zmienił zdanie. Być może przekonały go skierowane do oprawców słowa, które w tej sytuacji byłyby niemożliwe w ustach żadnego człowieka: „Ojcze, wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią".

Ewangeliści nie przekazali nam imion obu skazańców. Jako pierwsza wymieniła je dopiero apokryficzna Ewangelia Nikodema, która dobrego łotra nazwała Dyzmą, a złego Gestasem. Ten ostatni został przedstawiony jako pozbawiony skrupułów rozbójnik napadający na podróżnych i mordujący ich bez litości.

Kolejny apokryf, czyli pochodząca z V–VI w. Ewangelia Dzieciństwa Arabska, nadał zbójom inne imiona: dobry to Tytus, a zły to Dymach. W tej opowieści obaj zamierzali napaść na Świętą Rodzinę uciekającą przed Herodem do Egiptu, jednak pierwszy ofiarował drugiemu 40 drachm za puszczenie zbiegów wolno.

Dobry łotr był pierwszym świętym w historii, a kanonizował go osobiście sam Chrystus. Nie zadecydowały o tym uczynki skazańca, które przemawiały raczej przeciwko niemu. Decydujące okazały się skrucha, pokora i ufność w nieskończone miłosierdzie Boże okazane w obliczu śmierci. Dyzma stał się więc „robotnikiem ostatniej godziny", pokazując, że na nawrócenie nigdy nie jest za późno. Można bluźnić Najwyższemu jeszcze trzy godziny przed śmiercią, a odchodzić z tego świata pojednanym z Bogiem. To przesłanie nadziei dla każdego grzesznika.

Fot. Renata Sedmakova/Shutterstock.com, smk.dk

Rehabilitacja volksdeutscha?

Nie ma nic zaskakującego w tym, że Łukasz Kohut próbuje promować zdrajcę i kolaboranta Wilimowskiego. Bardziej zastanawia uznanie, jakim Kohut cieszy się w oczach Donalda Tuska. Być może obaj panowie mają zbliżone poglądy na Polskę i jej relacje z Niemcami. Jeśli rzeczywiście tak jest, czekają nas naprawdę mroczne czasy

KONRAD KOŁODZIEJSKI

O miejscu, w którym znalazła się dzisiaj Polska, najlepiej chyba mówi rezygnacja z oficjalnych obchodów 1000-lecia koronacji Bolesława Chrobrego i 500-lecia hołdu pruskiego. Nie będziemy świętować tych rocznic, aby nie psuć polsko-niemieckich relacji.

Nie wiem, czy Niemcom rzeczywiście tak bardzo wadzą wydarzenia sprzed tylu wieków i w gruncie rzeczy niewiele nas to powinno obchodzić. Jednak ich przemilczenie przez obecny reżim jest jak wywieszenie białej flagi. Kapitulacja jest zaś wyraźnym sygnałem, że realnego suwerena należy dziś szukać poza granicami kraju.

Takie momenty to najlepszy sprawdzian z polskości i lojalności wobec własnej wspólnoty. Doskonale ilustrują go losy dwóch ludzi: Józefa Unruga i Ernesta Wilimowskiego, których zupełnie różne postawy symbolizują dwie Polski, które istnieją do dziś. Polskę patriotyczną i kolaboracyjną.

DWA ŻYCIORYSY

Pierwszy z nich urodził się w Brandenburgu pod Berlinem jako Joseph von Unruh. Już w młodości było jasne, że zostanie żołnierzem, był w końcu synem pruskiego oficera. Ponieważ wychowywał się w epoce ekspansji kolonialnej, zafascynowała go marynarka wojenna, a szczególnie najnowsza broń – okręty podwodne. To właśnie na pokładach U-Bootów rozwinęła się jego kariera, której zwieńczeniem było stanowisko dowódcy niemieckiej flotylli podwodnej.

Po I wojnie światowej wskutek różnych okoliczności nieoczekiwanie odnalazł się w odrodzonej Polsce i właśnie z nią związał resztę swojego życia. Już jako Józef Unrug został współtwórcą polskiej Marynarki Wojennej i z racji swojego doświadczenia wojskowego promotorem rozwoju floty podwodnej.

Po wybuchu II wojny światowej kontradm. Unrug dowodził obroną wybrzeża na Helu. Miasteczko przeszło do historii jako jeden z najdłużej bronionych punktów oporu w Polsce. Odcięty od reszty świata Hel skapitulował dopiero po miesiącu zaciekłych walk – 1 października. Unrug, który trafił wtedy do niewoli, odmówił przejścia na stronę niemiecką i odrzucił proponowane mu przez hitlerowców wysokie stanowisko w Kriegsmarine. Do rangi symbolu urósł fakt, że choć był Niemcem, podczas rozmów z okupantami zawsze korzystał z tłumacza. „1 września zapomniałem, jak się mówi po niemiecku" – wyjaśniał.

Unrug nie wrócił już do kraju. Po wojnie podzielił los innych polskich generałów, którzy zupełnie zapomniani musieli zarabiać na życie, wykonując najprostsze prace fizyczne. Był m.in. magazynierem i kierowcą ciężarówki.

eprasa.pl efe169

W swoim testamencie napisał, że jego prochy mogą wrócić do Polski dopiero wtedy, gdy będzie wolna. Ten testament wypełnił prezydent Duda w 2018 r., gdy szczątki admirała i jego żony Zofii spoczęły w Gdyni.

I teraz drugi życiorys. Ernest Wilimowski urodzony jako Ernst Pradella w Katowicach. Utalentowany piłkarz chorzowskiego Ruchu, z którym przed wojną czterokrotnie zdobył tytuł mistrza Polski. Jako ligowy król strzelców szybko stał się podporą polskiej reprezentacji, kimś w rodzaju ówczesnego Roberta Lewandowskiego. Zagrał w ostatnim meczu rozegranym przez reprezentację przed wybuchem wojny, popisując się w spotkaniu z Węgrami 27 sierpnia 1939 r. efektownym hat trickiem. Publiczność go uwielbiała.

Jednak podczas wojny Wilimowski brutalnie zawiódł swoich kibiców. Wpisał się na volkslistę i jak gdyby nigdy nic dalej strzelał gole, tym razem dla reprezentacji Trzeciej Rzeszy, zamieniając orzełka na swastykę. Grał też w niemieckich klubach, najpierw na terenie okupowanej Polski, a potem w głębi Rzeszy. Po wojnie jako kolaborant pozostał w Niemczech, kontynuując karierę piłkarską, a później pracując w urzędzie. Zmarł w 1997 r. w Karlsruhe. Żegnała go rodzina, znajomi i niemieccy działacze piłkarscy. Nie było nikogo z Polski.

EUROPOSEŁ OD TUSKA

Te dwa życiorysy są różne i zarazem podobne. Tym, co je łączy, jest podwójna tożsamość: polska i niemiecka. Ale cała reszta to już przepaść, i to na każdym poziomie: moralnym, etycznym, historycznym. Unrug, choć był Niemcem, z wyboru został Polakiem i się tego trzymał mimo smutnych i trudnych konsekwencji. Wilimowski przeciwnie – w najtrudniejszej chwili zdezerterował, zdradził i przeszedł na stronę wroga, choć wszystko, co osiągnął, zawdzięczał Polsce. Ilustrował najgorszy stereotyp volksdeutscha, człowieka nielojalnego i tchórzliwego, który wybiera swoją tożsamość, kierując się wyłącznie osobistą korzyścią.

Wydawałoby się, że w dzisiejszej Polsce nikt nie powinien mieć wątpliwości, która z tych dwóch postaci zasługuje na pamięć i szacunek. Okazuje się jednak – i to jest obraz kondycji, w jakiej znalazło się nasze społeczeństwo – że nie jest to wcale takie oczywiste.

Oto Łukasz Kohut, europoseł Koalicji Obywatelskiej, postać politycznie dość odrażająca, upomniał się niedawno o Ernesta Wilimowskiego. „Wilimowski – najlepszy piłkarz w historii Śląska, najpewniej najlepszy napastnik w historii reprezentacji Polski, celowo zapomniany i wygumkowany, bo po 1939 roku grał dla Niemiec" – napisał na platformie X Kohut. „Nie można pozwolić, by nie miał godnego miejsca pochówku. Dzisiaj odwiedziłem cmentarz w Karlsruhe, gdzie spoczywa, i spotkałem się z przedstawicielami ratusza w tej sprawie. To było dobre, prawie dwugodzinne spotkanie. Interweniujemy także w PZPN i DFB [...]. Ten moment warto wykorzystać, aby tak polski, jak i niemiecki związek stanęły na wysokości zadania i sypnęły groszem na ekshumację i godne upamiętnienie LEGENDY".

> Czas kolaborantów pojawia się zawsze wtedy, gdy państwo przestaje normalnie funkcjonować. Nie przypadkiem zbiegło się to z powrotem do władzy Donalda Tuska i jego formacji

Kohut to człowiek, który zanim trafił pod skrzydła Tuska, był palikociarzem, a potem przetoczył się przez kilka nieciekawych stowarzyszeń promujących separatyzm śląski. „Mam obywatelstwo polskie. Nie jestem Polakiem. Jestem Ślązakiem" – deklarował w 2022 r. Nie ma więc nic zaskakującego w tym, że ktoś taki jak on próbuje promować zdrajcę i kolaboranta Wilimowskiego. Bardziej zastanawia fakt, że Kohut znalazł tyle uznania w oczach Donalda Tuska, że ten wpuścił go na listy swojej formacji do Parlamentu Europejskiego. Być może obaj panowie mają zbliżone poglądy na Polskę i jej relacje z Niemcami. Jeśli rzeczywiście tak jest, czekają nas naprawdę mroczne czasy.

CZAS KOLABORANTÓW

Każdy, kto choć trochę zna historię PRL, musi wiedzieć o poczuciu upokorzenia, jakie towarzyszyło wielu Polakom żyjącym w tamtych czasach. Nie chodziło tylko o codzienne życie, bo odzieranie ludzi z godności odbywało się również na wielu innych poziomach. W pierwszym okresie komunizmu władzę oddano otwartym zdrajcom, których później wymienili ośliźli oportuniści. To był naprawdę gorszy sort Polaków – żeby użyć określenia Jarosława Kaczyńskiego. Ci ludzie – najpierw opętani zbrodniczą ideologią, a potem już tylko uzależnieni od przywilejów – cynicznie pluli na własne państwo, jego historię i bohaterów, byleby tylko utrzymać się u władzy i zasłużyć na pochwały moskiewskiego protektora.

Wydawałoby się, że ten gatunek ludzi i ten sposób robienia publicznej kariery został doszczętnie skompromitowany i już nigdy nie powróci. Nic z tych rzeczy. Dziś ze zgrozą można dostrzec, że dawne postawy przetrwały i powracają w świetnej formie. Zmienił się jedynie kierunek wiatru, który kiedyś wiał ze wschodu, a teraz wieje z przeciwnej strony.

Zresztą na tym zachodnim – a konkretnie niemieckim – odcinku podczas wojny również nie brakowało różnych szmaciarzy lub kolaborantów pokroju wspomnianego Wilimowskiego. To, że dzisiaj ludzie tacy jak on są publicznie wskazywani jako bohaterowie i że dochodzi do publicznej rehabilitacji volksdeutschów, świadczy o fatalnym stanie, w jakim znalazł się nasz kraj. Czas kolaborantów pojawia się bowiem zawsze wtedy, gdy państwo przestaje normalnie funkcjonować. Nie przypadkiem zbiegło się to z powrotem do władzy Donalda Tuska i jego formacji.

POLITYCZNY JURGIELT

Nie ma sensu opisywać tutaj tłumienia polskich aspiracji przez obecną władzę i jej zależność od obcych protektorów. Na łamach tygodnika „Sieci" poświęcamy polityce Tuska wystarczająco dużo miejsca. Rzadziej jednak zauważamy, że ta polityka nie tkwi w próżni i że premier pozostaje patronem oraz ojcem

Autopromocja

eprasa.pl efe16964bb

duchowym różnych środowisk, których stosunek do polskości jest – najłagodniej rzecz ujmując – bardzo letni.

To polityka Tuska sprawiła, że w dzisiejszej Polsce promuje się takie postawy. Zadziwiająca jest też polityka kadrowa obecnej władzy. W 2024 r. dyrektorem Instytutu Pileckiego został Krzysztof Ruchniewicz, wcześniej szef Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Brandta Uniwersytetu Wrocławskiego. Sprzeciwiał się on reparacjom ze strony Niemiec („Polska się ich zrzekła") i zasłynął pomysłem, aby polski podatnik sfinansował raport na temat niemieckiego mienia pozostawionego po wojnie na naszym terytorium. Dziś ten człowiek odpowiada za politykę historyczną naszego państwa.

Karierowicze i oportuniści w mig wychwytują tego rodzaju niuanse. „Wszystko mi jedno, czy będę pracował dla Polaka czy dla Niemca" – wyznał mi niedawno jeden z poznanych lemingów, pracownik dużej korporacji. Dla części ludzi, którzy wspierają Platformę, istnienie własnego państwa nie jest żadną wartością. Oni czują się obywatelami fikcyjnego tworu, jakim jest Unia Europejska, są – jak to ktoś kiedyś ładnie ujął – unijczykami. Zbieramy w ten sposób owoce wieloletniej liberalnej propagandy, której celem była promocja antywspólnotowych i egoistycznych postaw. Pogarda wobec otoczenia i współobywateli zamienia się dzisiaj w odrzucenie własnego państwa.

Nie brakuje też jurgieltników, którzy za pieniądze i granty od obcych fundacji przez całe lata mieszali z błotem własny kraj i dziś oczekują za to nagrody. Ileż to tysięcy dolarów i euro poszło na „naukowe" opracowania mające udowodnić udział Polaków w mordowaniu Żydów, ile ton papieru zapisano bredniami o pisowskiej dyktaturze i jej rzekomych związkach z Putinem, ile gardeł zdarto podczas protestów w obronie demokracji?

Niedawno w Instytucie Polskim w Berlinie odbyła się impreza promująca „polską prezydencję w Unii". Jej głównym punktem była projekcja „Zielonej granicy" z udziałem reżyserki Agnieszki Holland. Ten film doskonale wpisuje się w rozpowszechniane stereotypy Polaków jako dzikiej hordy rasistów, lecząc w ten sposób niemieckiego kaca po zbrodniach II wojny światowej. Najwyraźniej organizatorzy pokazu intuicyjnie wyczuli, że dziś prawdziwy suweren nie siedzi już w Warszawie, ale w Berlinie. I to on ma być zadowolony.

Z podobnego założenia wyszedł zapewne szef ambasady RP w Berlinie, który – jak piszą niemieckie media – nie ma nic przeciwko temu, aby Polskę odwiedziła skrajnie prorosyjska Manuela Schwesig stojąca na czele lokalnego rządu w Meklemburgii. To ona wspierała budowę gazociągu Nord Stream 2 i sprzeciwiała się polskim inwestycjom strategicznym na Pomorzu Zachodnim. Okazuje się, że teraz jest u nas mile widziana.

Powiedzieć, że w Polsce zmieniła się władza, to za mało. Wraz z nią do naszego kraju wraca dawne upokorzenie i upodlenie. Nastają za to złote czasy dla oportunistów i różnej maści zaprzańców. Bo skoro zwyciężył Wilimowski, to Józef Unrug musiał przegrać.

Robisz świąteczne zakupy?

Wrzuć do koszyka tygodnik SIECI

Biedronka
Codziennie niskie ceny

Tygodnik Sieci kupisz w sklepach Biedronka

eprasa.pl efe16964bb

Wojna u Trzaskowskiego

Donald Tusk uważa, że kampania jest zła, ale Rafał Trzaskowski i jego sztab jej bronią

STANISŁAW JANECKI

Jest świetnie, ale nie beznadziejnie – tak najkrócej można opisać nastroje w sztabie Rafała Trzaskowskiego kandydującego na prezydenta RP z ramienia Koalicji Obywatelskiej.

W najważniejszej fazie kampanii prezydenckiej w sztabie i na zapleczu Trzaskowskiego zaczęła się wojna między zwolennikami kontynuacji dotychczasowej strategii (to głównie sam kandydat i szefowa sztabu Wioletta Paprocka), a tymi, którzy uznają, że jest ona zła i powinna zostać całkowicie przebudowana. Tak uważa m.in. premier Donald Tusk, choć publicznie mówi co innego, ale przecież u tego polityka to codzienność. On tylko dzieli zadania i ustawia się w roli arbitra.

Główny zarzut polityków obsadzonych przez Tuska w rolach krytyków jest taki, że kampania błędnie zakłada, iż najważniejsze jest, by nie szkodzić przed pierwszą turą i jak najwięcej „zarobić" od przegranych kandydatów przed drugą. Przez to kampania jest miałka i bojaźliwa. Krytycy oceniają dotychczasowe podróże wyborcze Rafała Trzaskowskiego jako turystykę wyborczą, a nie kampanię. Twierdzą, że nic nie da to, że kandydat spotka się osobiście choćby ze 100 tys. osób, skoro do zwycięstwa potrzebne jest 8 mln, a może nawet ponad 10 mln. Zarzucają też dotychczasowej kampanii, że potwierdza wszelkie stereotypy na temat Trzaskowskiego, głównie ten, iż kandydat nie ma żadnych własnych poglądów i tłucze się od ściany do ściany. Np. spotkanie z Zenkiem Martyniukiem i demonstrowanie przyjaźni z nim to szczyty „bajeru", bo prezydent Warszawy jest synem jazzmana i wszyscy wiedzą, iż nie cierpi muzyki Martyniuka. Błędem ma być to, że dotychczas sztab i Trzaskowski tylko czekali na wpadki przeciwników, podczas gdy sami powinni być ofensywni, w nieustannym ataku, narzucać narrację.

Tusk uważa, że kandydat KO i jego sztab są śmiertelnie zmęczeni, a przynajmniej na takich wyglądają, w momencie, kiedy kampania dopiero wchodzi w decydującą fazę. Że przez to zmęczenie prezydent Warszawy w kółko powtarza te same grepsy, co sceptycznie nastawia do niego wyborców spoza kręgów sympatyków Koalicji Obywatelskiej.

Trzaskowski się odgryza i chce, żeby Tusk trzymał się od jego kampanii jak najdalej, bo im bardziej jest widoczny, tym bardziej kampania i wybory przekształcają się w plebiscyt na temat oceny jego rządów. A te są coraz gorsze.

Tusk z kolei uważa, że bez niego Trzaskowski sobie nie poradzi, stąd pomysł marszu 11 maja 2025 r., szybko poprawiony na 25 maja, bo 11 mógłby się okazać kompletnie nieskuteczny. I wokół marszu doszło wręcz do kłótni między Tuskiem a Trzaskowskim, bo wprawdzie premier przyznał rację kandydatowi, ale nienawidzi, gdy ktoś mu wytyka, że się myli.

ZABAWA W „TU WISIAŁ…"

Tusk nie chwali wprost nawet dobrych sondażowych wyników swego wybrańca, tłumacząc je np. poczynaniami Jarosława Kaczyńskiego. „Genialna strategia prezesa zaczyna przynosić namacalne korzyści" – ćwierknął przewodniczący Platformy Obywatelskiej 8 kwietnia 2025 r. na platformie X, załączając grafikę z badania preferencji prezydenckich dla Wirtualnej Polski. Grafikę ukradzioną właścicielowi, co potem wywołało awanturkę, bo Paweł Kapusta, redaktor naczelny WP, napisał: „Pomijam fakt samego sondażu dla WP, ale wczoraj tę grafikę robił nasz grafik, a Pan premier obciął z niej źródło i opubliko-

Fot. Rafał Trzaskowski/X.com

eprasa.pl efe16964bb

wał jak swoją. Jak dla mnie – nieładnie wobec grafika". Donald Tusk nie chciał pochwalić sztabu i Trzaskowskiego, tylko dokopać liderowi opozycyjnego Prawa i Sprawiedliwości, mimo że jego kandydat miał w tym badaniu 38,3 proc. wskazań (wzrost o 5,1 pkt. proc.), a Karol Nawrocki 20,1 proc. (spadek o 5,2 pkt. proc.). W drugiej turze spośród zdecydowanych wyborców na Trzaskowskiego zagłosowałoby 56,1 proc. ankietowanych, z kolei na Nawrockiego – 33,6 proc. (10,3 proc. się waha). Tusk desperacko chciał komuś dokopać, bo przecież rozumie, że korzystny wynik można sobie zamówić w dowolnym sklepiku z sondażami. Tym bardziej na obecnym etapie kampanii, gdzie chodzi wyłącznie o wykreowanie trendu. Tusk dobrze to wie, bo gdy sam startował na prezydenta w 2005 r., na takim samym etapie kampanii miał notowania w przedziale 42–50 proc. I pierwszą turę wygrał z Lechem Kaczyńskim, choć nie „sondażową" różnicą 10–12 pkt. proc., a 3 pkt. proc. (36,3 do 33,1 proc.). Za to drugą turę wyraźnie przegrał, bo w stosunku 54,04 proc. do 45,96 proc. I teraz się obawia, że taka sytuacja może się powtórzyć w konfrontacji Rafała Trzaskowskiego z Karolem Nawrockim.

Pod wpływem krytyki Tuska sztab Trzaskowskiego zachowuje się desperacko. 8 kwietnia 2025 r. jego szefowa Wioletta Paprocka zamieściła na platformie X zdjęcie płachty z napisem: „Tu wisiał plakat Rafała Trzaskowskiego, zanim prawdziwi Polacy go zdarli. A plakaty Nawrockiego i Mentzena wiszą. Bo wyborcy Rafała nie niszczą czudzej własności i szanują rywali" („czudzej" w oryginale). Sztabowcy będą się pewnie zaklinać, że to autentyczny obrazek, ale to stara sztuczka stosowana w wielu wyborach i wielu krajach. Plakaty z nadrukiem (nie napisem, ale właśnie nadrukiem): „Tu wisiał..." niczego nie zastępują, tylko są „oryginałami" mającymi pokazać zawiść konkurencji, jej złe intencje i strach przed porażką. Ponadto gotowce „Tu wisiał..." znacznie bardziej przyciągają uwagę niż zwyczajne banery i plakaty z wizerunkiem kandydata, gdyż mają podwójne znaczenie (prezentacja oraz dodatkowa narracja o zawiści). W takich przypadkach wszystko jest inscenizacją. Spontaniczne oburzenie domniemanym zerwaniem plakatu Trzaskowskiego ma wyrażać określenie „prawdziwi Polacy". A jeszcze bardziej (i dodatkowo zdenerwowanie) błąd w jednym słowie („czudzej" zamiast cudzej). Taki błąd nadrukowuje się spontanicznie. Takie sztuczki świadczą nie tylko o desperacji, lecz także o pilnej potrzebie uzyskania efektów. Żeby kierownik Tusk się nie denerwował. Tyle że on i tak się denerwuje, bo emocjonalne rozchwianie sztabu to stały element jego strategii. Podobnie jak podtrzymywanie wojennego napięcia.

> Tusk uważa, że bez niego Trzaskowski sobie nie poradzi, stąd pomysł marszu 11 maja 2025 r., szybko poprawiony na 25 maja, bo 11 mógłby się okazać kompletnie nieskuteczny. I zawsze musi mieć ostatnie słowo – w końcu to on jest „kierownikiem"

Tylko najbliżsi, jak Igor Ostachowicz, wiedzą, że Tuskowi z założenia nic się nie podoba, bo to jego sposób na zarządzanie. Podobnie jak tworzenie nastroju, żeby wszyscy czuli się winni, a gdy nadejdzie sukces, tylko jedna osoba będzie jego ojcem. Oczywiście Donald Tusk.

OSTATNIE ZDANIE KIEROWNIKA

Zwolennicy takiej kampanii Trzaskowskiego, jaką dotychczas można było obserwować, twierdzą, że Tusk zakazał im wymyślenia i promowania jakiejś wielkiej idei, choć z badań wynika, że wyborcy oczekują czegoś takiego. Ale skoro Tusk kiedyś powiedział, że „jak polityk ma wizję, to niech idzie do lekarza", to wielką ideę może mieć tylko on. Gdyby ktoś mu przypomniał ten cytat, bez mrugnięcia okiem się go wyprze.

Mamy więc zapętlenie, gdyż Tusk wymaga od Trzaskowskiego idei na miarę 500+, ale jednocześnie chce więcej konkretów (sam miał ich 100), czyli nie tylko priorytetu. Trzaskowski nieśmiało promuje odrodzenie Centralnego Ośrodka Przemysłowego, ale Tusk uważa to za stratę czasu, bo nie ma w tym nic nowego i przełomowego. Mimo że premier do dziś przeżywa traumę z powodu porażki z Lechem Kaczyńskim w 2005 r., a potem przez lata wręcz nienawidził prezydenta, chciałby, żeby Trzaskowski zaprezentował jakiś odpowiednik jego polityki zagranicznej. Problemem jest to, że ani szef rządu, ani kandydat KO nie są w stanie skopiować prezydenta Kaczyńskiego, więc premier tylko sieje zamęt w sztabie. A tam nie wiedzą, czego on właściwie oczekuje. Sam Trzaskowski też tego nie wie, dlatego unika bezpośrednich spotkań z Tuskiem. Obawia się, że byłyby o nich przecieki, nawet inspirowane przez premiera, i to by mu nie pomagało. Wyszłoby bowiem na to, że bez szefa ani rusz, czyli że kandydat jest niesamodzielny i w pełni zależny.

Tusk się wścieka, że Trzaskowski „ubzdurał sobie", iż musi demonstrować, że nie potrzebuje pomocy, gdyż złe oceny premiera mu zaszkodzą. Szef rządu nigdy nie zaakceptował takiej taktyki, żeby Trzaskowski się od niego odcinał, a wręcz się wścieka, gdy ktoś mu mówi, że byłoby to korzystne dla kandydata. Tusk zmusza go do zmiany kampanii, bo najważniejsze ma być jej ostatnie pięć tygodni. No i druga tura. A za początek zmiany premier uznał debatę Trzaskowskiego z Nawrockim w Końskich, przedstawiając ją jako „podjęcie ryzyka mimo wyraźnej przewagi w sondażach". I zapominając, że Karol Nawrocki zapraszał do takiej debaty już 27 marca 2025 r. i wtedy spotkał się z odmową, bo niby debatować powinni wszyscy kandydaci.

Wyraźnie widać grę Trzaskowskiego z Paprocką, żeby jakoś zneutralizować żądania i pretensje Tuska, ale w sztabie nie ma nadziei, że ktoś się poważnie przeciwstawi „kierownikowi", nawet gdyby jego pomysły nie były ani mądre, ani skuteczne.

eprasa.pl efe16964bb

Tak zabito Felka

Śmiertelny zastrzyk trucizny w serce dziecka na chwilę przed jego narodzinami – ta historia wydarzyła się naprawdę. Czy aborcja w 37. tygodniu ciąży w szpitalu w Oleśnicy zmieni nastawienie polskiego społeczeństwa do zabijania nienarodzonych?

GORAN ANDRIJANIĆ

„Chlorek potasu jako dożylny zastrzyk / W fazie rozkurczu zatrzymuje serce / Przez czterdzieści lat ponad miliard skazanych / Tylko trzema słowami »nie chcę cię«" – to fragment tekstu „Shoah", piosenki zespołu Luxtorpeda, w której śpiewa o złu aborcji, porównując ją z Holokaustem. Zastrzyk chlorku potasu w serce dziecka w łonie matki jest jedną z częstych metod późnych aborcji.

Jak wyjaśniają eksperci, po wystrzyknięciu trucizny dziecko dostaje zawału i umiera w bólu. Następnie jego martwe ciało jest wydobywane z łona matki. Ten sam chlorek potasu jest wykorzystany do produkcji soli drogowej, którą zimą posypuje się ulice. Dlatego Luxtorpeda śpiewa o „śmierci białej jak śnieg i bezsilności".

ŚMERĆ Z RĘKI LEKARZA

Organizacje antyaborcyjne już od dłuższego czasu ostrzegają, że w polskich szpitalach aborcja za pomocą zastrzyku z chlorku potasu wciąż jest praktykowana. Najczęściej te ostrzeżenia były ignorowane. Dyskusja o tej metodzie zabijania nienarodzonych dzieci natychmiast przenosi nas do obozów koncentracyjnych, w których zastrzykiem z fenolu byli mordowani najsłabsi, w tym niepełnosprawne dzieci, w ramach diabolicznej operacji T4. Dziś ta praktyka wraca, jak miało to miejsce w szpitalu w Oleśnicy.

Fot. Fundacja Życie i Rodzina

To tam został zabity Felek, który mógł się normalnie urodzić. O aborcji w 37. tygodniu ciąży opinię publiczną poinformowała Fundacja Pro-Prawo do Życia po artykule „Gazety Wyborczej", w którym cała sprawa jest opisana szczegółowo i z oczekiwanym cynizmem wobec życia dziecka.

„Wedle informacji medialnych u Felka podejrzewano wrodzoną łamliwość kości. Jego mama trafiła do szpitala w Łodzi, gdzie chciano zakończyć ciążę, ale nie chciano zabijać Felka. Planowano wykonać cesarskie cięcie (w tej sytuacji ta metoda byłaby najlepsza zarówno dla mamy, jak i dla dziecka), a następnie udzielić Felkowi i jego mamie pomocy w postaci specjalistycznego leczenia pediatrycznego i terapii pourodzeniowej. Jednak za namową aktywistów aborcyjnych mama Felka pojechała do Oleśnicy – największego w Polsce ośrodka aborcyjnego. Tam w 37. tygodniu

ciąży (9 miesiąc) gotowemu już do porodu Felkowi wbito w serce igłę i zabito go zastrzykiem z chlorku potasu. Wedle relacji »Gazety Wyborczej« dokonała tego osobiście wicedyrektor szpitala Gizela Jagielska, która w przeszłości publicznie chwaliła się robieniem takich zastrzyków w serca dzieci" – przekazała Fundacja Pro-Prawo do Życia.

TO PRZESTĘPSTWO

Cała historia doskonale oddaje grozę tzw. late term abortion, czyli aborcji wykonywanych w zaawansowanej ciąży. Mówiono o niej także w USA podczas ostatniej kampanii prezydenckiej, kiedy Donald Trump zaatakował tę metodę. Wtedy wyszła na jaw prawda, że aż 12 amerykańskich stanów dopuszcza aborcję przez cały okres ciąży.

Pojawia się pytanie, jak to jest możliwe w Polsce, państwie, które zakazuje aborcji na życzenie, także eugenicznej – właśnie takiej, jaka miała miejsce w tym przypadku.

Konserwatywni intelektualiści i aktywiści pro-life, z którymi rozmawialiśmy, wskazują na dwa problemy.

Po pierwsze, w przepisach zakazujących aborcji niektóre sprawy nie są do końca zdefiniowane, co jest wykorzystywane przez proaborcyjnych aktywistów. Drugim problemem jest zdecydowana obojętność rządu Donalda Tuska na łamanie prawa. Wygląda na to, że obóz lewicowo-liberalny postanowił dać wolną rękę zwolennikom zabijania nienarodzonych dzieci.

– To, co się stało w szpitalu w Oleśnicy, można jak najbardziej traktować jako przestępstwo – mówi nam Katarzyna Gęsiak, prawnik Instytutu Ordo Iuris. I tłumaczy: – Wynika to z przepisu w art. 152 Kodeksu karnego, zgodnie z którym przestępstwo popełnia ten, kto za zgodą kobiety przerywa jej ciążę z naruszeniem przepisów ustawy. Przewidzianą karą za to przestępstwo jest pozbawienie wolności do lat 3. Jednakże surowszą sankcję przewiduje Kodeks karny w sytuacji, gdy dziecko poczęte osiągnęło zdolność do samodzielnego życia poza organizmem kobiety ciężarnej. Jest to kara pozbawiania wolności od 6 miesięcy do 8 lat. W szpitalu w Oleśnicy zabite dziecko było w wieku umożliwiającym mu życie poza organizmem matki. Chłopiec był tak naprawdę w wieku, w którym dzieci normalnie się rodzą (czy naturalnie, czy przez cesarskie cięcie), w związku z czym należałoby przyjąć nawet kwalifikację, że czyn lekarza w takiej sytuacji stanowi zabójstwo zagrożone karą więzienia minimum 10 lat.

Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, prawniczka i działaczka pro-life, mówi nam, że śmierć małego Felka nie jest pierwszym tego typu przypadkiem.

– Lekarze ze szpitala w Oleśnicy wykorzystują bierność organów ścigania i przyzwolenie rządzących do tego, żeby manipulować prawem i stosować faktycznie aborcję na życzenie. Zabijanie dzieci z powodu podejrzenia u nich np. zespołu Downa nie jest już legalne, dlatego aborterzy naginają obowiązujące prawo i pod pozorem troski o zdrowie psychiczne matki zabijają jej dziecko. A że przesłanka aborcyjna dotycząca zagrożenia zdrowia nie ma limitu czasowego, to dokonuje się okrutnych aborcji także w trzecim trymestrze ciąży. Ostatnia sprawa pokazuje, że aborterom chodzi wprost o zabijanie. Gdyby tak nie było, to pozwoliliby żyć dziecku, które zostało tam zabite w czasie, w jakim rodzą się donoszone noworodki! To okrucieństwo i kpina z konstytucji, która zobowiązuje do poszanowania godności każdego człowieka – mówi Korzekwa-Kaliszuk.

ZATRZYMAĆ BARBARZYŃSTWO

Każdy, kto przeczyta relację o całej sprawie w „Gazecie Wyborczej", zauważy jeden ważny szczegół. Zeznania matki pokazują, jak walczyła o uratowanie życia swojego dziecka. Ale nagle do akcji wkraczają aktywiści aborcyjnej organizacji FEDERA i namawiają kobietę na aborcję, po czym kierują ja do szpitala w Oleśnicy, gdzie pracuje lekarka, która już wcześniej chwaliła się wykonywaniem aborcji w zaawansowanej ciąży. Nieskrępowana działalność takich organizacji potwierdza tezę, że polski rząd nie ma zamiaru walczyć z bezprawiem w sferze aborcji. Dowodem na to są też wytyczne opracowane przez minister zdrowia Izabelę Leszczynę i wysłane w sierpniu ub.r. do polskich szpitali, które mają wzmocnić faktyczną dostępność aborcji.

– Przedstawiciele rządu wielokrotnie otwarcie opowiadali się za aborcją, minister zdrowia wydała wytyczne dla lekarzy, które mają „nakierowywać" ich na podejmowanie decyzji o aborcji, bo w przeciwnym razie na szpital zostanie nałożona kara przez NFZ, wytyczne dla prokuratorów wydał też prokurator generalny. Widać wyraźnie, że obecna administracja rządząca jest nastawiona skrajnie proaborcyjnie i wprowadza w życie oficjalnymi kanałami, a jednocześnie z pogwałceniem zasady praworządności, postulaty garstki aktywistek aborcyjnych – mówi Katarzyna Gęsiek z Ordo Iuris.

Kiedy piszę te słowa, wiemy, że Prokuratura Rejonowa w Oleśnicy wszczęła śledztwo w sprawie śmierci Felka. Nie wiadomo, jaki będzie jego wynik. Wiemy jednak, że szpital w Oleśnicy jest przekonany, iż działał zgodnie z prawem.

Czy istnieje szansa, że to, co się wydarzyło, będzie punktem zwrotnym w podejściu do aborcji w Polsce? Lobby proaborcyjne jest w ofensywie od października 2020 r., kiedy zareagowało na konstytucyjny zakaz aborcji eugenicznej, organizując protesty. Oczywiście zostały one politycznie wykorzystane przez Donalda Tuska, który teraz spłaca dług wobec tych środowisk, nie robiąc nic, aby powstrzymać nielegalne zabijanie nienarodzonych dzieci. Czy brutalność wydarzenia w Oleśnicy to zmieni?

– Aborterzy rozzuchwalili się chyba jednak za bardzo, skoro za aborcję w trzecim trymestrze ciąży są krytykowani także przez osoby, które aborcję akceptują. Widząc oburzenie zabiciem dziecka tuż przed porodem, mam nadzieję, że Polacy się obudzą i zaczną myśleć oraz protestować przeciwko takiemu okrucieństwu – stwierdza Magdalena Korzekwa-Kaliszuk.

Zabicie dziecka, które mogło żyć i dla którego egzystencji istniało rozwiązanie, jest nowym krokiem, jaki Polska podjęła w kierunku całkowitego barbarzyństwa cywilizacji śmierci. Jednak walka o godność każdego człowieka trwa i być może nadszedł czas na kontrofensywę wszystkich sił, które chcą bronić życia – największej wartości, jaką posiadamy jako społeczeństwo.

Zaplanowany chaos, czyli Trump cli świat

Ameryka stanęła u progu bankructwa. By pokryć straty, anulować długi, najlepiej wywołać wojnę

DARIUSZ MATUSZAK

Dwie godziny po tym, jak 2 kwietnia prezydent Donald Trump w ogrodach Białego Domu triumfalnie ogłosił „Liberation day", otwierająca się właśnie giełda w Sydney zaczęła spływać krwią. „Dzień wyzwolenia" płynnie przeszedł w poranek rzezi. Strach jak pandemia rozszerzał się na Dalekim Wschodzie, potem w Europie, aż zatoczył koło i dotarł do Stanów Zjednoczonych, na nowojorską giełdę, z której w ciągu kilku godzin handlu „wyparowało" kilka bilionów dolarów. Jeszcze dzień wcześniej światowi przywódcy, przedsiębiorcy, a nawet zwykli obywatele mieli nadzieję, że prezydent Ameryki tylko blefuje, że to element negocjacji, nacisków, typowa dla niego fanfaronada i nie odważy się. A jednak to zrobił i tuż po swym wystąpieniu zaczął podpisywać akty wykonawcze. Trump nakładał cła na świat – na towary importowane z 76 krajów. Od podstawowej stawki 10 proc. po maksymalną 36 proc.

DO PIEKŁA I Z POWROTEM

To było jak w scenariuszu Hitchcocka: na początku filmu wybuch czy trzęsienie ziemi, a potem napięcie już tylko rośnie. Nowe taryfy zaczęły się kumulować, aż po kilku dniach w przypadku Chin doszły do poziomu 104 proc. Panika giełdowa zdążyła kilka razy okrążyć świat. W poniedziałek 7 kwietnia na godzinę został zawieszony nawet handel na warszawskiej GPW i kiedy to wszystko opisujemy, nie wiemy nawet, czy aby strach i szok nie zaczynają się dopiero rozpędzać.

Dokładnie w chwili, kiedy powstaje ten tekst, Trump ogłasza 125-proc. stawki na Chiny i zawieszenie ceł na 90 dni dla pozostałych 75 krajów. Jak oświadcza, to łaska za podjęcie negocjacji ze Stanami Zjednoczonymi. Dzień wcześniej mówił na imprezie charytatywnej republikanów, że wszystkie kraje wydzwaniają do niego i „całują go w tyłek", byle tylko się dogadać. Sekretarz skarbu Scott Bessent ogłosił językiem biblijnym: „Nie stosujcie odwetu, a będziecie nagrodzeni". Giełdy i rynki finansowe szaleją więc coraz bardziej – w ciągu minut z piekła do nieba i w drugą stronę – nowojorski indeks zmienności VIX zwany indeksem strachu skacze po kilkadziesiąt procent to w górę, to w dół.

Nikt, być może nawet pomarańczowy szaleniec, nie ma pojęcia, co się wydarzy do czasu, kiedy będą państwo czytać ten tekst. Może cła wyniosą po 11 tys. proc., a może nie będzie ich wcale – króluje chaos, więc ewentualne pretensje nie do nas, tylko na adres: 1600 Pennsylvania Avenue, NW Washington D.C., 20500 USA.

Wiadomo jedno – jak obwieszcza Trump, ów „dzień wyzwolenia", zrzucenia więzów amerykańskiej gospodarki, zerwania z niesprawiedliwymi zasadami w międzynarodowym handlu, był też dniem, w którym świat zwątpił w racjonalność amerykańskiego przywódcy i zrozumiał, że rozpętał on światową wojnę handlową. Nie brakowało opinii – także wśród jego wyznawców – że nie wie, co czyni, że zwariował. Okaże się, czy ów „dzień wyzwolenia"

Fot. White House

eprasa.pl efe16964bb

będzie dniem oczyszczenia, czy też pogrążenia świata w chaosie i kryzysie gospodarczym. Na razie wszystko, czego się dotknie Trump – czy to geopolityka od Grenlandii przez Panamę po Gazę i Ukrainę, czy sprawy gospodarcze, jak wojna handlowa najpierw z Meksykiem i Kanadą, a teraz z całym globem –zaczyna wpadać w drgania, taki stan naprężeń, że zdaje się, iż lada moment może wybuchnąć.

Na razie jednak wszystko działa. Niezależnie od tego, jak oceniać postępowanie administracji Trumpa, z pewnością nie jest to zestaw chaotycznych ruchów. Wszystko wydaje

się przemyślane, zaplanowane i można powtórzyć za Poloniuszem z Hamleta: „W tym szaleństwie jest metoda". Czy skuteczna – to się okaże. Być może to właśnie chaos, szaleństwo na giełdach są najważniejszym celem tej celnej operacji.

Dlaczego Trump wprawił w drgawki świat i samą Amerykę? Powodów jest wiele i składają się one na historię gospodarczą świata ostatnich kilkudziesięciu lat. Globalizacja, otwarty handel dosłownie wyssały produkcję z krajów, które były potęgami gospodarczymi. Przemysł przeniósł się tam, gdzie tania siła robocza, nikt się pracownikami nie przejmuje, z administracją łatwo się dogadać za łapówki. Produkowane w Azji proste towary nieprzebraną masą płynęły do Ameryki, która mając praktycznie monopol na walutę świata, płaciła zadrukowanym przez siebie papierem, a właściwie bawełną, bo z niej produkowane są dolary.

Sprawy zaczęły się komplikować, gdy okazało się, że Azja nie tylko składa, lecz także sama wymyśla i konstruuje produkty, które mogą konkurować z amerykańskimi i europejskimi. Drukarskie prasy załatwiały sprawę, ale do czasu. Roczny deficyt handlowy Stanów Zjednoczonych sięgnął 1 bln dol. rocznie. Dług urósł do 36 bln dol., a roczne koszty jego obsługi to o 200 mld dol. – więcej niż budżet Pentagonu czy wszystkie wydatki na edukację. Co więcej, w tym roku trzeba spłacić co najmniej 7 bln dol. owego długu. To jedna czwarta amerykańskiego PKB i tyle, ile wynosi roczny budżet federalny. Ameryka stanęła u progu bankructwa.

PO CO TA WOJNA?

By ukryć/pokryć straty, anulować długi, najlepiej wywołać wojnę. Jest nawet teoria, iż to minister obrony Rosji Siergiej Szojgu przekonał Putina do napaści na Ukrainę, by ukryć kradzież kilkudziesięciu miliardów dolarów. Trump zaś wywołał wojnę handlową, a przynajmniej panikę na rynkach. Notowania jeżdżą jak po kolejce górskiej, nikt nie wie, w co i jak inwestować, wycofywać pieniądze, sprzedawać, co się da, czy przeczekać burzę. W takich warunkach niepewności, rozedrgania wielcy inwestorzy, a także mniejsi, szukają przystani – bezpiecznych aktywów, a te zamierza im podsunąć administracja Trumpa. Sprzedać obligacje, nawet stuletnie, by na lepszych warunkach pożyczyć pieniądze na to, co trzeba spłacić w tym roku. Inaczej mówiąc, w warunkach szaleństwa mamy do czynienia z klasyczną operacją refinansowania długów, tyle że w skali bilionów. W tle niedopowiedziana, a rozpisana przez będącą zapleczem intelektualnym ekipy Trumpa Heritage Fundation propozycja ponownego oparcia dolara na parytecie złota.

To nie są nasze mniemania i spekulacje. Wrzucenie granatów na rynki finansowe tak tłumaczą ludzie Trumpa i wielu inwestorów. Można się nie zgadzać z tą teorią, twierdzić, że zagranie się nie uda, ale trudno przypuszczać, że sekretarz skarbu Scott Besset, który zarządzał miliardowymi funduszami, który pracując dla Sorosa, niszczył brytyjskiego funta, nie jest fachowcem i nie wie, jak grać. Odrzućmy więc brednie, jakich pełno w polskich i światowych mediach, że Trump jest jak dziecko, że obudził się pewnego ranka, coś mu strzeliło do łba i wywołał chaos na świecie.

Pozostałe powody wywołania wojny handlowej są znacznie bardziej oczywiste. Od 1994 r., kiedy wszedł w życie Północnoamerykański Pak Handlowy NAFTA podpisany pomiędzy Meksykiem, Kanadą a USA, Ameryka straciła 90 tys. firm. Chodzi więc o ściąganie produkcji do Stanów Zjednoczonych, tworzenie miejsc pracy. Produkcja też ma wracać z Azji. Apple zapowiedział warte 500 mld dol. inwestycje w Ameryce, tajwański TSMC, największy producent chipów na świecie, potwierdza 100 mld, Hyundai kolejne kilkadziesiąt.

UNIJNE CŁA I PODATKI NA PODATKI

No i na koniec chodzi o przywrócenie równowagi handlowej, symetrii w relacjach gospodarczych. Donald Trump twierdzi, że państwa świata, utrzymując wysokie cła na amerykańskie towary, wykorzystują USA dokładnie tak, jak robią to członkowie NATO. To Ameryka płaci za utrzymywanie zdolności bojowej Sojuszu Północnoatlantyckiego, a sojusznicy uważają, że mają darmowego ochroniarza. W Ameryce cła na europejskie towary są śladowe, natomiast Unia cli amerykańskie, ile wlezie.

Bruksela do naszego ostatniego grosza i centa będzie walczyć o to, by amerykańskie samochody nie robiły w Europie konkurencji niemieckim. I dlatego nakłada na nie 10-proc. cła od

eprasa.pl efe16964bb

wartości powiększonej o koszt transportu i ubezpieczenia. Potem od tego wszystkiego nalicza się akcyzę – różną w różnych krajach, ale ok. 20 proc. przy silniku powyżej 2 l. A na koniec wieńczący wszystko VAT liczony od wartości samochodu powiększonej o wszystkie wcześniejsze opłaty. Inaczej mówiąc, płacimy podatek VAT nawet od cła i podatku akcyzowego. Razem uzbierało się ponad 50 proc. opłat. Administracja Trumpa wyliczyła średnią wysokość barier handlowych nakładanych przez UE na amerykańskie towary na 39 proc. Tymczasem niemieckie samochody sprzedają się w Ameryce jak świeże bułeczki z 2,5 proc. czystego cła.

Unia cli jak wściekła wszystko, czego wartość przekracza 150 euro, przy czym owo cło to tylko składnik haraczu. Jak wygląda mechanizm, łatwo zrozumieć na przykładzie importu indywidualnego. Powiedzmy, że kupujemy w USA jakieś ciuchy. Wartość paczki – 300 euro. Do tego doliczone są koszty transportu i ubezpieczenia, tak jak w przypadku samochodów kupowanych od dealera. Sumujemy to wszystko i naliczamy od tego cło – 12 proc., jak akurat kupiliśmy sobie spodnie wycieruchy. Jak kosmetyki – dolicza jeszcze akcyzę. Po nałożeniu cła na scenę wchodzi VAT – w przypadku Polski 23 proc., który płacimy od wszystkiego. Do tego opłaty za odprawę – ok. 15 euro. Ba, zapłacimy ten VAT nawet za paczkę z prezentem, który przyśle nam ciotka z Ameryki. Ciotka skąpa – prezent warty mniej niż 150 euro, więc nie jest clony, ale haracz VAT będzie naliczony.

W drugą stronę – do Ameryki – nie ma żadnych opłat do wartości 800 dol. Ciotka co tydzień ściąga skrzynki wina i włoskie ciuchy. Ilekroć widzimy więc porównanie ceł w Unii i Ameryce, mamy do czynienia z manipulacją, a właściwie z kłamstwem. Cło to tylko jeden z wielu haraczy.

NA STRAŻY NIEMIECKIEGO PRZEMYSŁU I UNIJNYCH KONT

Kiedy Trump ogłosił wprowadzenie 20-proc. ceł na towary z UE, przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen zapowiedziała srogi rewanż i cła odwetowe. Nie wiemy, czy całowała Trumpa w tyłek, ale do 9 kwietnia praktycznie nic się nie wydarzyło, więc prezydent łaskawie zawiesił cła na 90 dni.

Reakcja eurokracji na amerykańskie posunięcia była histeryczna i infantylna. Von der Leyen jak zwykle mówiła coś o silnej, zjednoczonej Europie, Tusk zrobił to, co potrafi – nagrał filmik na platformie X, ale już prezydent Macron i minister gospodarki Éric Lombard wezwali francuskich przedsiębiorców, by nie inwestowali w USA. Wedle „Le Figaro" ci odpowiedzieli im, by szli się czesać pod most. „Niektórzy z nas spadli z krzeseł" – mówił jeden z szefów firm zaproszonych do Pałacu Elizejskiego, aby omówić francuską odpowiedź na amerykańskie cła. „Nie żyjemy w gospodarce zarządzanej – wściekał się inny w rozmowie z gazetą. – Nie obchodzi mnie, co mówi Macron. Prowadzimy działalność w Stanach Zjednoczonych. Nie ma mowy o ich porzuceniu".

> To nie Trump zwariował, to eurokracja zwariowała. Doznała wzmożenia większego niż po wybuchu wojny na Ukrainie. Bruksela roi o sojuszu z komunistycznymi Chinami przeciwko Ameryce

Christine Lagarde, skazana aferzystka i szefowa Europejskiego Banku Centralnego, zapowiada w rewanżu odejście od amerykańskich kart i systemów płatniczych Visa, Mastercard, PayPal i zastąpienie ich europejskimi. Jakimi, pytam. Polska poradzi sobie chociaż blikiem.

To nie Trump zwariował, to eurokracja zwariowała. Doznała wzmożenia większego niż po wybuchu wojny na Ukrainie. Bruksela roi o sojuszu z komunistycznymi Chinami przeciwko Ameryce i nurza wszystko w propagandowych bredniach powtarzanych przez bezmyślne media.

Ot, choćby to, że Trump, agent Putina, nie nałożył nowych ceł na towary z Rosji. I co z tego? Już teraz stawki sięgają 200 proc., a eksport z Rosji do USA jest śladowy – 10 razy mniejszy niż przed wojną i wynosi ledwie 3 mld dol. Za to w Berlinie faksy (oni wciąż się nimi posługują) aż furczą od ruskich kontraktów. W 2024 r. Niemcy oficjalnie kupiły w Rosji towary za 12 mld euro, 4 razy więcej niż USA, a jeśli wziąć pod uwagę wielkość gospodarek – amerykańska jest 6 razy większa od niemieckiej – to proporcje wynoszą 1 do 24. Gdy porównamy liczby mieszkańców, okaże się, że Niemiec kupił od Rusków średnio 16 razy więcej niż Amerykanin.

Dlaczego Bruksela reaguje histerycznie? Eurokraci, piewcy wolnego handlu, swobód gospodarczych i globalizmu mogliby przecież ulżyć naszej doli i sprawić, by Europa nie była najdroższym kontynentem. Można by było obniżyć cła i taryfy do poziomów amerykańskich. Ot, Ford Mustang wjeżdżałby do Odrzywołów z 2,5 proc. cła jak beemka (BMW) do Los Angeles. To jednak niemożliwe, bo jaśniepaństwo z Brukseli straciliby pieniądze.

Unijne cła mają służyć nie tylko ochronie niemieckiej gospodarki, lecz także unijnej kasty. 75 proc. wpływów z ceł wędruje wprost na konta Brukseli. Cła stanowią dochody własne UE. Do unijnej kasy trafia rocznie ok. 20 mld euro z ceł, co stanowi ok. 15 proc. jej budżetu. Do tego VAT od towarów z importu. Komisarze i brukselscy urzędnicy muszą mieć co rozdzielać pomiędzy potulnych poddanych, więc polscy eksporterzy do USA – producenci turbin gazowych, sprzętu ortopedycznego, akumulatorów, kosmetyków, żywności – muszą za to zapłacić swymi kontraktami.

W ciągu trzech miesięcy przekonamy się, czy Unia skorzysta z okazji, by ustanowić zdrowsze relacje gospodarcze ze swym największym partnerem i sojusznikiem. 90 dni to nie tak długo, krócej niż trwał biblijny potop – wody zaczęły ustępować dopiero po 150 dniach.

eprasa.pl efe16964bb

Nie ma ucieczki od poboru

Jeśli Amerykanie wycofają swoje siły zbrojne ze Starego Kontynentu, to wobec rosyjskiego zagrożenia trzeba je będzie zastąpić europejskimi żołnierzami. A to nie takie proste. Co zrobi Polska? Jak wzmocni swoje bezpieczeństwo? Czy polityków stać na niepopularne decyzje?

MAREK BUDZISZ

Decyzja Pentagonu o wycofaniu sił amerykańskich z rzeszowskiej Jasionki uruchomiła falę spekulacji na temat obecności wojskowej Stanów Zjednoczonych w Europie. Media cytują słowa gen. Christophera Donahue dowodzącego amerykańskim kontyngentem w Europie i Afryce, który powiedział, że redukując swe zaangażowanie pod Rzeszowem, „oszczędzamy dziesiątki milionów dolarów pieniędzy podatników", co może być odebrane jako zapowiedź kolejnych idących w tym kierunku ruchów. Przypomniano też słowa Mike'a Hegsetha, który w czasie swej lutowej podróży powiedział, iż Europejczycy „nie mogą zakładać", że „nasza obecność będzie trwać wiecznie" i pewnego dnia w związku z wyzwaniami w innych częściach świata nadejdzie jej kres. Marco Rubio, szef Departamentu Stanu, w czasie niedawnego spotkania w Brukseli zapewniał o trwałości amerykańskich zobowiązań sojuszniczych, ale jednocześnie podkreślał konieczność wypracowania realistycznego scenariusza zastępowania przez siły europejskie zdolności, które dziś są gwarantowane przez obecnych na Starym Kontynencie Amerykanów.

BEZ ŻOŁNIERZY

W takim ujęciu debata toczona w NATO nie dotyczy już redukcji zaangażowania Stanów Zjednoczonych, bo to postanowiono, ale tego, co zrobić, aby mieć do czynienia z zaplanowanym, a nie chaotycznym procesem osiągania przez Europę „suwerenności strategicznej".

Alexandr Burilkov i Guntram Wolff, eksperci Kiel Institute of World Economy, oszacowali, że ewentualne wycofanie amerykańskich sił zbrojnych z Europy wymusi wystawienie przez członków NATO dodatkowych sił lądowych o liczebności co najmniej 300 tys. ludzi i będzie kosztować co najmniej 250 mld euro. Te wyliczenia są związane z planami Sojuszu Północnoatlantyckiego zatwierdzonymi w czasie jego dwóch ostatnich szczytów, które przewidują, że w związku z narastającym zagrożeniem ze strony Federacji Rosyjskiej musi wzrosnąć siła odstraszania NATO. SACEUR, czyli naczelny dowódca sił sojuszniczych stacjonujący w Casteau koło Mons w Belgii ma dysponować 100 tys. żołnierzy Sojuszu Północnoatlantyckiego, którzy powinni dotrzeć w rejon zagrożenia do 7 dni od wydania rozkazów, kolejne 200 tys. ma być mobilizowane i wysłane do 30 dnia, a następne 500 tys. do 180 dni od podjęcia decyzji. Amerykański wkład jest obecnie szacowny przez Burilkova i Wolffa na 300 tys. żołnierzy, a to oznacza, że tylu musiałyby wystawić państwa europejskie, jeśli chciałyby zastąpić siły sojusznika. Co więcej, ich zdaniem z wojskowego punktu widzenia potencjał tego kontyngentu jest większy niż ewentualny wkład Europejczyków, bo zakładano, iż Amerykanie „przybędą w dużych, spójnych jednostkach wielkości korpusu z jednolitym dowództwem", co powoduje, że ich wartość bojowa jest zdecydowanie większa niż mozaikowych sił europejskich członków NATO.

Jeszcze w ub.r. dziennik „The Financial Times", powołując się na źródła w Kwaterze Głównej NATO w Brukseli,

Fot. st. kpr. Sławomir Kozioł/18. Dywizja Zmechanizowana

eprasa.pl efe16964bb

informował, że co prawda państwa naszego kontynentu mają w swych siłach zbrojnych 1,47 mln ludzi, ale jeśli chodzi o potencjał zdolny do natychmiastowego działania – a rosyjskie zagrożenie może narastać szybko – to z trudem udałoby się im wygospodarować 300 tys. żołnierzy. Problemy kadrowe ujawniły się też w toku dyskusji na temat kształtu ewentualnego kontyngentu stabilizacyjnego, który miałby zostać wysłany na Ukrainę. Po pierwszych, bardzo optymistycznych deklaracjach szybko się okazało, że państwa z zachodniej części naszego kontyngentu miałyby wielki problem ze zmobilizowaniem dziewięciu brygad, które mogłyby pojechać na wschód. Według najbardziej optymistycznych rachunków brygada to 5 tys. żołnierzy. Gdyby nie brać pod uwagę potencjału państw wschodniej flanki, Europa jest obecnie w stanie wystawić jedną piątą sił, które powinny docelowo zastąpić wkład amerykański.

Problem staje się jeszcze poważniejszy, jeśli zaczniemy analizować szczegóły, a nie zadowolimy się ogólnymi szacunkami. Na wschodniej flance już jest 100 tys. żołnierzy NATO, bo to związki wyznaczone przez państwa członkowskie graniczące z Federacją lub zagrożone rosyjskim atakiem. Amerykanie i sojusznicy mieliby znacząco wzmocnić siły drugiego i trzeciego rzutu. Jeśli będą z tym kłopoty albo czas potrzebny na dotarcie będzie się przedłużał, to zaatakowane państwa będą musiały dłużej walczyć z agresorem samodzielnie, a także wzrośnie ryzyko konfliktu, bo Putin może uznać, że jest w stanie wygrać „krótką wojnę" na wschodnich lub północnych krańcach NATO.

BEZ WSPARCIA

Gen. Ben Hodges, były dowódca amerykańskich sił lądowych w Europie, a obecnie główny doradca w Kwaterze Głównej w sprawach logistyki wojskowej, wprawił w osłupienie Litwinów, mówiąc im w ub.r., że z jego szacunków wynika, iż jeśli Rosjanie zdecydują się zaatakować, przez 10 dni, a może nawet przez 2 tygodnie będą musieli walczyć sami. Na dodatek siły państw wschodniej flanki NATO nie będą mogły przyjść sobie z odsieczą. Finowie, którzy lubią podkreślać swój potencjał, deklarując, że nie są, jak powiedział ostatnio prezydent Stubb, „biorcą bezpieczeństwa", oparli swe siły zbrojne na zdolności do mobilizacji obywateli. W ciągu 30 dni mogą powołać pod broń niemal 300 tys. osób, bo mają dużą przeszkoloną rezerwę, zapasy broni i amunicji. W świetle obowiązującego prawa ich armia złożona z rezerwistów – bo żołnierzy zawodowych mają kilka tysięcy – nie może jednak walczyć poza terytorium Finlandii. Zresztą obrona długiej, liczącej ponad 1,2 tys. km granicy wymaga znacznego potencjału i nie pozwala na wygospodarowanie rezerw, które mogłyby zostać rzucone na inne kierunki. Podobna sytuacja ma miejsce w innych państwach skandynawskich, z których wszystkie (prócz Islandii) przywróciły już pobór powszechny. Duńczycy podobnie jak Norwegowie zdecydowali się nawet objąć obowiązkowym szkoleniem kobiety, ale zdaniem ekspertów ta decyzja została wymuszona bardziej kryzysem demograficznym i rosnącą liczbą „niezdolnych do służby" mężczyzn niż dążeniem do rozbudowy sił zbrojnych.

BEZ NIEMCÓW

A jak to jest w przypadku innych państw? Carsten Breuer, inspektor generalny Bundeswehry, mówi, że w ciągu najbliższych 5 lat Niemcy muszą powołać do służby i przeszkolić dodatkowo 100 tys. ludzi. Inaczej nie będą w stanie zrealizować planów NATO mówiących o tym, że mają oni wystawić 465 tys. żołnierzy i rezerwistów. Niemiecka armia od lat nie może zrealizować planów mówiących o osiągnięciu pułapu 200 tys. żołnierzy zawodowych (obecnie jest ich 180 tys.) oraz 160 tys. przeszkolonych i regularnie ćwiczących rezerwistów. A plany te nie zakładają zastąpienia wycofujących się z Europy Amerykanów. Jednym z elementów negocjowanej właśnie w Niemczech umowy koalicyjnej ma być kwestia przywrócenia poboru powszechnego. Ze względu na braki kadrowe w Bundeswehrze decyzja ta wydaje się nieuchronna, tym bardziej że w Berlinie przegłosowano już skokowy, szacowany nawet na 500 mld euro wzrost wydatków wojskowych do 2030 r.

Tym, o czym dziś dyskutują chadecy i socjaldemokraci, są bardziej kwestie techniczne niż pytanie o to, czy przywracać pobór. Jeszcze w ub.r. minister obrony Pistorius opowiedział się za „modelem szwedzkim" zakładającym szkolenie wojskowe ochotników i jednoczesne skierowanie tych, którzy nie chcą nosić munduru, do prac społecznych w szpitalach, domach pomocy czy do opieki nad seniorami. W takim ujęciu podobnie jak w niektórych krajach skandynawskich pobór byłby prawnie obowiązkowy, ale w siłach zbrojnych byliby szkoleni ochotnicy.

BEZ KOSZAR

Europejczycy dyskutujący o przywróceniu poboru myślą o relatywnie krótkim szkoleniu. Chorwaci, którzy od stycznia przywrócili pobór mężczyzn, szkolą ich przez 2 miesiące, Austriacy, którzy nigdy nie zrezygnowali z poboru powszechnego, powołują do służby na 6 miesięcy, Duńczycy na 4, a Szwajcarzy na 245 dni. Ci ostatni – podobne rozwiązania wdrożyli też Estończycy – umożliwiają przeszkolenie w kilku turach w toku zajęć w szkołach, w trakcie obozów wakacyjnych czy na studiach. Nie chodzi o to, aby zamknąć poborowych w koszarach, ale zbudować nowoczesny, możliwie elastyczny i nieuciążliwy system. Estończycy mogą indywidualnie decydować, kiedy chcą odbyć służbę – przed, w toku czy po studiach, a na Łotwie przyjęto zasadę, że obywatele są szkoleni możliwie blisko miejsca zamieszkania, bo po co po zajęciach mają zajmować miejsce w koszarach, których budowa i utrzymanie przecież kosztuje?

Nie wszystkie obowiązki związane z poborem i szkoleniem realizują siły zbrojne. W Wielkiej Brytanii za rekrutację odpowiada prywatna firma, a nie wojskowe komendy uzupełnień, szkolenie (np. w zakresie pilotowania systemów bezzałogowych) też może być realizowane przez firmy komercyjne.

CO ZROBI POLSKA?

Czy Polska też będzie musiała pójść tą samą drogą co inne państwa wschodniej flanki? Wydaje się to nieuchronne.

09/0425/F

eprasa.pl efe16964bb

Nasze plany przewidują sformowanie do 2035 r. 6 dywizji w siłach lądowych i dodatkowo 50 tys. żołnierzy WOT. Litwini, mając 14 razy mniejszy potencjał demograficzny, do 2030 r. chcą mieć jedną dywizję. Łotysze obecnie mają 10 tys. wyszkolonych i aktywnych rezerwistów w siłach terytorialnych, a w 2027 r. chcą ich mieć 12 tys. Gdybyśmy mieli podobne ambicje, z naszym potencjałem demograficznym winniśmy posiadać w WOT 250 tys. żołnierzy.

Jak deklarował niedawno gen. Kukuła, dziś mamy plany w zakresie wyszkolenia 150 tys. żołnierzy „aktywnej rezerwy", ale naszych działań w tym zakresie z pewnością nie możemy uznać za energiczne, bo w ub.r. liczba przydzielonych do tego celu etatów wynosiła 20 tys. Posłużmy się znów przykładem Łotwy, która chce szkolić 5 tys. rezerwistów rocznie. Stosując tę samą miarę, winniśmy myśleć o co najmniej 100 tys. szkolonych w każdym roku. Gdybyśmy zaczęli 3 lata temu, kiedy wybuchła wojna na Ukrainie, obecnie mielibyśmy już 300 tys. przeszkolonych rezerwistów, i to nie takich jak piszący te słowa, którzy służyli w wojsku na początku lat 90. ub.w. i w większości przekroczyli lub zbliżają się do 60 roku życia. W świetle przydziału mobilizacyjnego mam dowodzić kompanią na pierwszej linii. Tacy „rezerwiści" jak ja dobrze wyglądają w statystykach i ułatwiają naszym sztabowcom składanie deklaracji, że sytuacja nie jest zła, jednak rzeczywiste zdolności i umiejętności takiego „wojska" są raczej teoretyczne.

Na to nakładają się niedobory kadrowe we wszystkich polskich służbach mundurowych i kryzys demograficzny. Już obecnie mamy 40 tys. wakatów w policji, a przecież skala wyzwań w związku z niekontrolowanym napływem migrantów wyrzucanych przez Niemców na pewno wzrośnie. Zakończenie wojny na Ukrainie też nie przyczyni się do wzrostu bezpieczeństwa, bo w świetle oficjalnych danych nielegalny rynek broni u naszego wschodniego sąsiada to 1–5 mln sztuk. Wraz z demobilizacją czeka nas fala, na którą musimy być przygotowani. Straż Graniczna ma zbyt mały potencjał, aby pilnować bariery na granicy z Białorusią i musi być wspierana przez siły zbrojne, co zmniejsza nasze możliwości obrony przed agresją wojskową. Prowizorka w tym zakresie trwa już czwarty rok.

Gdybyśmy dziś nie mieli wakatów, to w służbach mundurowych byłoby 2 proc. czynnych zawodowo mężczyzn. Według prognoz, chcąc mieć 250-tys. armię i ukompletowane inne służby mundurowe w 2040 r., musielibyśmy zaangażować 9 proc. mężczyzn w wieku produkcyjnym. Czy w obecnych realiach społecznych, demograficznych i zdrowotnych uważamy, że powiększenie, i to 4,5 raza, liczby ochotników chcących przywdziać mundur to realistyczny scenariusz? A kto zastąpi chcących wycofać się z Europy Amerykanów?

Wojskowi lubią mówić – i mają rację – że współczesne pole walki to domena specjalistów o wysokich kwalifikacjach, które trudno nabyć w toku kilkumiesięcznego szkolenia. Doskonale rozumieją to władze Tajwanu, który zamieszkuje 22 mln ludzi, czyli znacznie mniej niż Polskę. Z tego powodu na tej zagrożonej agresją wyspie nie tylko funkcjonuje system powszechnego szkolenia wojskowego, którego czas ostatnio przedłużono, lecz także zbudowano dwie armie. Zawodowa ma walczyć na pierwszej linii, a rezerwowa osłaniać tyły i gwarantować uzupełnienie walczących sił. Pierwsza ma mieć 180 tys. ludzi pod bronią, druga nawet 200 tys., nie licząc rezerwistów, którzy będą powołani pod broń, jeśli wojna będzie się przedłużać.

Już niedługo Polska może być jedynym państwem wschodniej flanki NATO bez powszechnego szkolenia wojskowego. Politycy boją się podejmować trudne decyzje, bo zawsze są jakieś wybory i można stracić kilka punktów w sondażach, głosząc niepopularne poglądy, a wojskowi przez lata przywykli do roli „heroldów dobrych nowin". W ich świetle jesteśmy nie tylko silni i przygotowani, lecz także możemy liczyć na sojuszników. Dobrego samopoczucia nie psują kolejne informacje sugerujące, że sytuacja nie wygląda tak różowo.

REKLAMA

Radosnego Alleluja!

Życzymy Państwu spokojnych i pełnych miłości Świąt Wielkiej Nocy.
By każdy z Państwa spędził ten wyjątkowy czas w gronie najbliższych!

KASA KRAJOWA

Kwiecień 2025

Hospicjum to też Życie
Fundacja Hospicyjna

Kartka charytatywna Fundacji Hospicyjnej
1,5% KRS 0000 201 002

Grafika świąteczna przygotowana przez Mikołaja lat 18, wolontariusza Fundacji Hospicyjnej

eprasa.pl efe16964bb

wPolsce 24

WESPRZYJ patriotyczne media

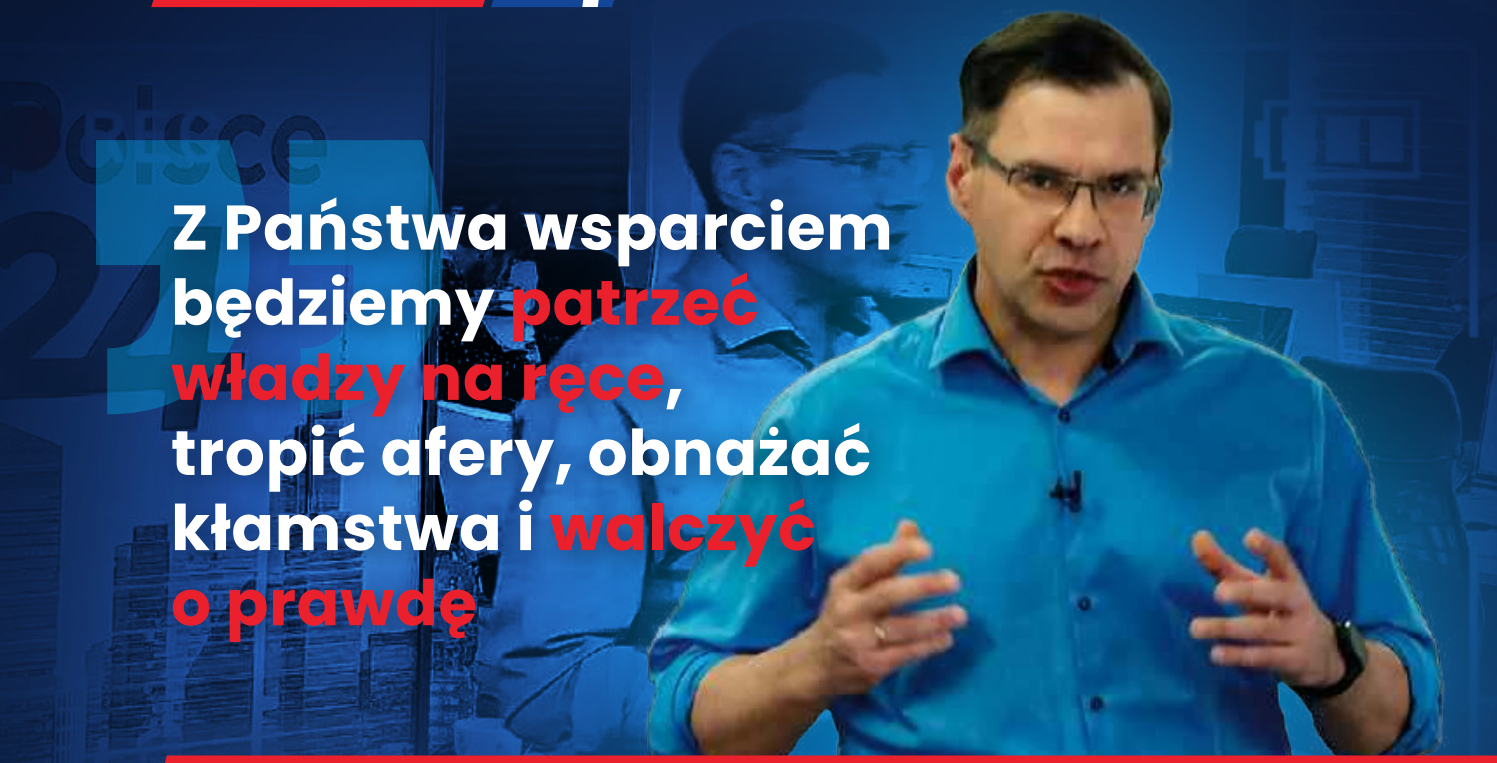

Z Państwa wsparciem będziemy patrzeć władzy na ręce, tropić afery, obnażać kłamstwa i walczyć o prawdę

Zbieramy na dziennikarstwo śledcze FUNDAMENT WOLNYCH MEDIÓW

NUMER KONTA:

69 1020 4900 0000 8202 3036 2577

TYTUŁ WPŁATY: **DAROWIZNA**

wesprzyj.wpolsce24.tv

Twoje dane osobowe będą przetwarzane zgodnie z polityką RODO

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459	631
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea	TOYA

Autopromocja

eprasa.pl efe16964bb

Magazyn Wielkanocny

SIECI

Zdarzyło się 1000 lat temu. Tajemnice koronacji Chrobrego str. 40

Kto i po co kręci nową „Lalkę”? str. 49

Kosmiczna historia Elona Muska str. 53

Kawiarnia dla chrześcijańskich singli str. 64

Szanujmy jajka jak kiedyś str. 75

eprasa.pl efe16964bb

Obraz Jana Matejki „Koronacja pierwszego króla R.P. 1001”

Koronacja Bolesława. Zagadka dla historyków

Koronacja w 1025 r. była zapewne spóźnionym o 25 lat marzeniem księcia Bolesława. Może o tym świadczyć choćby fakt używania na monetach bitych przez jego mennicę po 1000 r. tytułu królewskiego (*Boleslaus Rex*)

Z Jakubem Magrianem, adiunktem działu naukowego Muzeum Początków Państwa Polskiego w Gnieźnie, rozmawia Piotr Słabek

Można powiedzieć, że do koronacji Bolesława w 1025 r. prowadziła długa droga.

Jakub Magrian: W świetle dostępnych źródeł pisanych można śmiało założyć, że myśl o zdobyciu tytułu królewskiego zaświtała Bolesławowi w związku z wydarzeniami zjazdu gnieźnieńskiego w 1000 r.

Jak wszystko, co wiązało się z chrześcijaństwem, akt sakry królewskiej w polityce doby wczesnopiastowskiej był nowym zjawiskiem. Wczesne państwo piastowskie stanowiło monarchię patrymonialną (od łacińskiego słowa *patrimonium* – ojcowizna, majątek dziedziczny). Oznaczało to dzie-

Fot. Muzeum Narodowego w Warszawie; screen Muzea Wielkopolski

eprasa.pl efe103364bb

dziczne sprawowanie władzy absolutnej przez księcia. Każdy z przedstawicieli dynastii miał prawo do objęcia władzy po poprzedniku, a o kolejności przejęcia tronu teoretycznie powinna decydować zasada starszeństwa. W praktyce często wola samego panującego przesądzała o jego obsadzie, niekoniecznie przez najstarszego z synów.

Dążenie do zdobycia korony królewskiej było raczej wyrazem rosnących ambicji samego władcy, ewentualnie chęcią pozostawienia wzmocnionego organizmu państwowego swemu następcy. Według zapisu Galla Anonima na kartach „Kroniki polskiej" w czasie zjazdu gnieźnieńskiego cesarz Otton III w uznaniu zasług Bolesława w budowaniu potęgi jego państwa zdjął z własnej głowy diadem cesarski i uwieńczył nim Piasta.

Czy przedstawiona scena naprawdę miała miejsce?

Trudno o pewność w tej kwestii. Na ogół Gall pozostaje dość wiarygodnym dziejopisem, mimo iż tworzył swoją kronikę 100 lat po panowaniu Bolesława, w XII w., na dworze Bolesława Krzywoustego – praprawnuka pierwszego króla. Nie wspomina o tym wydarzeniu często nieprzychylny Bolesławowi (i Piastom w ogóle), ale równocześnie bardzo skrupulatny w kwestii faktografii bp Merseburga Thietmar w swojej kronice z lat 1012–1018. Nie jest to jednak powód do zanegowania przekazu Galla, ponieważ niemiecki dziejopis z wielu powodów mógł przemilczeć to wydarzenie, np. potraktować jako nieistotny szczegół, choć tak sumienny kronikarz powinien raczej zapisać, że Otton III nazwał Bolesława „przyjacielem cesarstwa" i „sprzymierzeńcem narodu rzymskiego".

Dlaczego polskie źródła bardziej akcentują zjazd gnieźnieński z 1000 r., a niewiele piszą o koronacji z 1025 r., natomiast zagraniczne odwrotnie?

Dla Galla – podobnie jak dla późniejszych polskich kronikarzy, Wincentego Kadłubka i jego następców – odczytanie gestu Ottona dokonanego w czasie pielgrzymki do grobu św. Wojciecha połączonej z wizytą dyplomatyczną na dworze Bolesława było jednoznaczne: cesarz koronował księcia. Aby uwiarygodnić swoją relację, autor „Kroniki polskiej" przedstawia wizytę cesarza w Gnieźnie jako w pierwszym rzędzie pielgrzymkę do grobu męczennika – św. Wojciecha (którą w istocie była), podkreślając, że władca Rzeszy przybył dla „modlitwy i pojednania, a zarazem w celu poznania sławnego Bolesława, jak o tym można dokładniej wyczytać w księdze o męczeństwie świętego". Natomiast po opisie domniemanej „koronacji" przez Ottona i nadania zarówno Bolesławowi, jak i jego następcom pełnego prawa inwestytury (nadawania duchownym godności kościelnych), które oprócz papieża i cesarza lokalnie przysługiwało tylko koronowanym władcom poszczególnych krajów, Gall twierdzi, iż postanowienia układu między władcami zatwierdził sam „papież Sylwester [II] przywilejem Świętego Rzymskiego Kościoła".

Cesarz Otton III

Niemieccy historiografowie przemilczają wydarzenie z 1000 r., ale wszyscy zgodnie potwierdzają fakt koronacji z 1025 r., skądinąd bardzo dla nich niewygodny. Autor Roczników korbejskich odnotowując pod wspomnianą datą roczną samo wydarzenie oraz rychły zgon króla, jak i dziejopisowie interpretujący oba fakty w kategoriach przyczyny i następstwa (autor Roczników kwedlinburskich i Wipo, biograf cesarza Konrada II), uważali akt koronacji jako przejaw pychy polskiego władcy oraz uzurpację nienależnego mu, ich zdaniem, tytułu królewskiego dokonany w momencie wakatu na tronie cesarskim, a niewiele późniejszą śmierć Bolesława jako karę od Boga za ów „grzech". Jeśli pominąć ich stanowisko ideologiczne, zgodne z typową dla epoki zasadą spisywania dziejów dla chwały własnego państwa i dynastii,

Fot. Meister der Reichenauer Schule

epfrasa.pl efe16954bb

otrzymujemy dostateczną liczbę dowodów źródłowych pozwalających wskazać rok pierwszej sakry królewskiej na ziemiach polskich. Jednocześnie owe zapisy stanowią potwierdzenie tego, że w oczach ówczesnej Europy Zachodniej dopiero pełny akt, łączący świecki i religijny wymiar uroczystości, mający świadczyć o tym, że monarcha otrzymał koronę jako pomazaniec boży, uczynił Bolesława królem.

Na dworze piastowskim, gdzie tytuł królewski był nowością i nie rozumiano jeszcze zasad rządzących jego nadawaniem kolejnym następcom tronu, za rzeczywistą koronację uznano wywyższenie księcia przez Ottona III na zjeździe w 1000 r., będące raczej jej zapowiedzią i przyzwoleniem cesarza na nią.

Skutkiem tego przekonania, jak i późniejszych wydarzeń (lata 30. XI w. i kilkuletni okres przejściowy do czasu uregulowania sytuacji w kraju przez Kazimierza Odnowiciela, spisanie wczesnych dziejów dynastii dopiero w pierwszej połowie XII w.), zatarła się w pamięci wczesnośredniowiecznych polskich elit pamięć o właściwym akcie. Do tego stopnia, że Gall pominął ją w swojej kronice.

Jakie były okoliczności i miejsce tego wydarzenia?

Z punktu widzenia polskiego księcia moment koronacji został wybrany idealnie. Po śmierci jego wieloletniego przeciwnika, cesarza Henryka II, ostatniego z dynastii Ludolfingów, 13 lipca 1024 r. nastąpił wakat na tronie cesarskim, którego nie zakończył wybór Konrada II na króla Niemiec 4 września tego roku ani jego późniejsza o cztery dni koronacja. Tytuł cesarski uzyskał bowiem dopiero w 1027 r., wcześniej nie mógł więc odgrywać roli szafarza korony wobec żadnego europejskiego władcy. Mógł nim być wówczas jedynie papież Jan XIX i historycy uznają, że to on zezwolił abp. gnieźnieńskiemu Hipolitowi namaścić Bolesława na króla.

Decyzja o koronacji w 1025 r. była zapewne spóźnionym o 25 lat marzeniem Chrobrego. Może o tym świadczyć choćby fakt używania na monetach bitych przez jego mennicę po 1000 r. tytułu królewskiego (*Boleslaus Rex*).

Zjazd gnieźnieński. Spotkanie cesarza Ottona III z księciem Bolesławem

Była zapewne także próbą utwierdzenia władzy dziedzicznej Mieszka II – jego syna z małżeństwa z ukochaną (przemawiają za tym relacje źródłowe) żoną Emnildą. Chrobry mógł upatrywać pewniejszego zabezpieczenia dla sukcesji syna w koronie królewskiej niż w jakichkolwiek, nawet najbardziej uroczystych, pisemnych deklaracjach. Być może dlatego postarał się o uzyskanie zgody na koronację najpierw dla siebie, a na przyszłość również dla Mieszka, gdy tylko obejmie po nim władzę.

Miejsca ani daty koronacji nie wymienia żadne źródło. Późniejsze koronacje kolejnych królów w gnieźnieńskiej katedrze (po jej odbudowie i ponownej konsekracji w 1064 r.) dokonywane przez abp. gnieźnieńskiego pozwalają z dużym prawdopodobieństwem zakładać, że w 1025 r. miejscem sakry królewskiej było Gniezno. Sam przywilej koronacji króla i królowej Polski, przysługujący metropolitom gnieźnieńskim, nigdy wcześniej nie spisany, a jednak w tradycji polskiego Kościoła katolickiego respektowany bez zastrzeżeń, doczekał się formalnego potwierdzenia w 1461 r. przez Kazimierza Jagiellończyka.

Nie znamy daty pierwszej koronacji w dziejach Polski, znamy natomiast datę śmierci pierwszego króla Polski: 17 czerwca 1025 r. Ponieważ koronacji królewskich z reguły dokonywano w ważne święta kościelne, najbardziej właściwym momentem dla niej między styczniem a majem 1025 r. jest Wielkanoc, wypadająca według ówczesnego kalendarza liturgicznego 18 kwietnia. Brane jest także pod uwagę święto św. Wojciecha (23 kwietnia), w ostateczności, choć jako najmniej prawdopodobne ze względu na wyjątkowo późny termin wobec rychłej daty zgonu, Święto Zesłania Ducha Świętego (6 czerwca). Ale prof. Kazimierz Jasiński dopuszcza możliwość przyjęcia korony przez Bolesława w każdą z niedziel poprzedzającą kres jego życia.

Kogo w tamtych czasach zapraszano na taką uroczystość?

Z pewnością brał w niej udział piastowski dwór z najwyższymi państwowymi dostojnikami książęcymi i kościelnymi, a więc oprócz arcybiskupa jego sufragani, z racji bliskości stolicy diecezji, jak i jej starszeństwa (oczywiście według daty powstania, a nie w hierarchii kościelnej), biskup poznański, zapewne krakowski, być może wrocławski, jeśli zdołał na czas dotrzeć do Wielkopolski. Poza urzędnikami państwowymi z bezpośredniego otoczenia władcy komes gnieźnieński (jako zarządca grodu i okręgu) i być może poznański. Ponadto rodziny dostojników świeckich, damy dworu księżnej Ody.

Wśród obecnych nie było delegata z Rzymu. Pierwsza nuncjatura apostolska pojawiła się w 1500 r. w Wenecji. Wcześniej nie istniała funkcja stałego legata papieskiego rezydującego w danym państwie w sposób ciągły. Papież wysyłał legatów z konkretnymi zadaniami – oprócz dyplomatycznych przede wszystkim w celu zwalczania herezji. Pierwszy poświadczony pobyt przedstawicieli Stolicy Apostolskiej w państwie polskim (poza biskupami misyjnymi) to wizyta legatów Grzegorza VII w 1075 r. w celu odnowienia archidiecezji gnieźnieńskiej, diecezji poznańskiej i ustanowienia płockiej po wydarzeniach lat 30. XI w.

Fot. Muzeum Historii Polski, depozyt Skarbu Państwa – Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl efe10364bb

W owych czasach nie istniały też żadne odpowiedniki świeckich ambasadorów innych królów czy książąt. W zwyczaju epoki nie leżało zresztą zapraszanie cudzoziemskich władców i ich dyplomatów na lokalne koronacje.

Jak mógł wyglądać uroczysty orszak?

Musiała to być piesza procesja. Nie tylko z powodów pragmatycznych, chociaż biorąc pod uwagę odległość dzielącą ówczesny gnieźnieński kościół grodowy – poprzednika obecnej archikatedry i miejsce w północnej części Góry Lecha, zajmowane w początkach XI w. przez książęcą część grodu, gdzie mieściło się palatium pierwszych władców Polski – orszak konny na tak mizernym dystansie wyglądałby zdecydowanie niepoważnie. Ważniejszy jest tu jednak aspekt duchowy: koronacja była aktem o podwójnym charakterze. Z jednej strony świeckim, politycznym – podniesienie władcy do godności królewskiej, a w krajach, gdzie tytuł króla był już stały, samo objęcie panowania po poprzedniku. Z drugiej sakralnym, religijnym – namaszczeniem monarchy na króla przez najwyższej rangi duchownego w całym miejscowym Kościele dokonanym w imieniu Boga. Orszak musiał mieć zatem formę procesji, a nie triumfalnego przejazdu, choć był też okazją do ukazania splendoru panującego.

W jakich szatach wystąpił król?

Nie dysponujemy żadnym opisem polskiej koronacji aż do czasów Władysława Warneńczyka, choć nawet w tym przypadku nie jest to relacja kronikarska z uroczystości, która miała miejsce 17 lipca 1440 r., ale *ordo coronandi* – rodzaj scenariusza, według którego powinna ona przebiegać, ułożonego zapewne w oczekiwaniu na koronację drugiego Jagiellona na polskim tronie. Mimo że jesteśmy zdani na tak późne źródło rodzime, pewne elementy głównego aktu ceremonii o charakterze religijnym i politycznym należy uznać za stałe i niezmienne, a w dodatku uniwersalne dla monarchii całej średniowiecznej Europy od pierwszej koronacji cesarskiej w 800 r.

Według tego źródła król idąc do świątyni i uczestnicząc tam w ceremoniale, nosił częściowe szaty kapłańskie: sandały, rękawice, humerał (chusta okrywająca szyję i ramiona), albę i dalmatykę. Kolor purpury wydaje się zastrzeżony dla władców, jednak nie mamy żadnych źródeł pisanych precyzujących zasady, według których w państwie pierwszych Piastów jakieś konkretne barwy były zastrzeżone tylko dla monarchy.

Kto nakładał koronę?

Aktu koronacji z pewnością dokonał jakiś przedstawiciel polskiego episkopatu. Osoby koronatora pierwszego króla należałoby upatrywać w najwyższym wówczas dostojniku stojącym na czele polskiej prowincji kościelnej, czyli ówczesnym abp. gnieźnieńskim Hipolicie. Według wspomnianego XV-wiecznego ordo koronę nakładał królowi arcybiskup gnieźnieński (w epoce jagiellońskiej mający już zresztą rangę prymasa), ale trzymając ją wspólnie z dwoma towarzyszącymi mu biskupami (jednym z nich był biskup krakowski). Natomiast odpowiednią dla tej chwili formułę: *Accipe coronam regini...* („Przyjmij koronę królestwa...") wypowiadał wyłącznie arcybiskup, co wyraźnie wskazuje na jego funkcję sprawczą jako koronatora w całym bogatym obrzędzie. On także następnie wręczał królowi jabłko i berło. Czy tzw. włócznia św. Maurycego, dar cesarski z 1000 r. stanowiący replikę włóczni cesarzy rzymskich, symbolu ich władzy, pojawiała się podczas wczesnych polskich koronacji? Jeśli tak, to wzorem przeniesionym z dworu w Akwizgranie była trzymana przez stojącego w pobliżu włócznika.

Miejsca ani daty koronacji nie wymienia żadne źródło. Wiele wskazuje jednak na to, że miejscem sakry królewskiej było Gniezno. A kiedy nastąpiła? Być może w Wielkanoc 1025 r., czyli 18 kwietnia

A jak wyglądała korona?

Jedyny dokładny wizerunek polskiego władcy z I połowy XI w. to zaginiona dziś, ale znana z kompletnego, XIX-wiecznego reprintu tej księgi miniatura z kodeksu Matyldy Szwabskiej przechowywanego w Bibliotece Uniwersytetu w Düsseldorfie jako depozyt Biblioteki Krajowej w tym samym mieście. Jak wspomniałem, karta z miniaturą się nie zachowała, ale znana była jeszcze w XIX w., kiedy w Niemczech wydano drukowane wznowienie rękopisu. Dziś jeden z drukowanych egzemplarzy posiada w swoich zbiorach Biblioteka PAN w Kórniku. Dzięki temu możemy obecnie natknąć się na jej reprodukcje w licznych publikacjach. Księga – kodeks modlitewny – była darem księżnej Szwabii Matyldy dla króla Mieszka II. Na miniaturze

Włócznia św. Maurycego wręczona księciu Bolesławowi przez Ottona III w Gnieźnie

Fot. Anna Makarewicz/Wikipedia, Polona.pl

eprasa.pl efe16954bb

wręcza ją ona tronującemu królowi. Korona, którą nosi Mieszko, jest wyraźnie wzorowana na tych, które zdobią głowy cesarzy na miniaturach w znanych księgach religijnych z dworu Ludolfingów, choćby na słynnym wizerunku z Ewangeliarza Ottona III. Ilustrując kodeks, iluminator malował króla z wyobraźni, insygnia natomiast wzorował na znanych mu symbolach władzy z dworów niemieckich. Nie sposób powiedzieć, czy koronę Bolesława wykonano na ich wzór. Mógł nim być diadem ofiarowany przez Ottona w 1000 r., ale on sam na pewno nie służył do koronacji. Koronę na taką uroczystość przygotowywano specjalnie i po ceremonii spoczywała ona w skarbcu, czekając na następcę. Mogła mieć też inny, bardziej popularny kształt, zbliżony do znanego nam z XIX-wiecznych portretów króla. Natomiast z pewnością miała jeszcze wówczas formę korony otwartej, w odróżnieniu od korony zamkniętej (*corona clausa*), zwieńczonej symbolem krzyża opartym na wieńczących ją kabłąkach. Do połowy XIII w. korona zamknięta przysługiwała jedynie cesarzowi, a w Polsce została wprowadzona dopiero na przełomie XV i XVI w.

„Kronika polska" Galla Anonima

Korona Bolesława mogła być wykonana ze szczerego złota. Nie sądzę natomiast, by zdobiły ją klejnoty, wówczas był to jeszcze zbyt duży luksus

Czy była ze złota, srebra i drogich kamieni?

Na podstawie opisu z inwentarza katedry krakowskiej z ok. 1110 r., gdzie w skarbcu znajdowały się korona złota i dwie srebrne, zawieszone, identyfikowane jako koronacyjna (wykonana na uroczystość nadania tytułu króla Bolesławowi Szczodremu w 1076 r.) oraz dwie pomocnicze, możemy zakładać, że mimo wysokiej ceny i większej niż później unikatowości złota rzecz tak unikalna, jak główne insygnium królewskie, przekazywane w dodatku potomnym z myślą jedynie o kolejnych ceremoniach z udziałem następców tronu, mogła być wykonana z czystego złota. Inaczej niż korony pomocnicze, których używano podczas udzielania audiencji, sprawowania procesów sądowych czy udziału w pozostałych uroczystościach. Mogły być one srebrne, ewentualnie pozłacane lub nawet odlane z brązu i pokryte złotem – jak insygnia pogrzebowe odnalezione w grobowcu Kazimierza Wielkiego, zresztą wcześniej stanowiące prywatny zestaw władcy, z którym podróżował po kraju. Nie sądzę natomiast, by zdobiły ją klejnoty, wówczas był to jeszcze zbyt duży luksus.

Czy obraz Jana Matejki „Koronacja pierwszego króla R.P. 1001" nawiązuje do historycznych realiów epoki?

To fikcja stanowiąca wyłącznie artystyczną wizję słynnego malarza. Ukazane na płótnie wnętrza bazyliki mają romanizujący wystrój, na pewno nie pochodzą z początków XI w. Misiurki jazdy pancernej noszone przez bolesławowych wojów są XVII-wieczne zamiast wczesnośredniowiecznych hełmów stożkowych. Podobnie jest ze zbroją Chrobrego czy nowożytnymi szatami dworzan. Na obrazie Matejki Bolesław jest koronowany jednocześnie przez Ottona III i biskupa, w którym można domyślać się pierwszego abp. gnieźnieńskiego Radzima Gaudentego, brata św. Wojciecha. Z pewnością Matejko, idąc za relacją „Kroniki polskiej", kojarzył moment koronacji ze zjazdem gnieźnieńskim. Świadczy o tym zawarta w tytule data: 1001, stanowiąca zresztą błąd rzeczowy, bo zjazd miał przecież miejsce rok wcześniej.

Poza gestem cesarskim – włożeniem diademu na głowę księcia – Gall nie wspomina o udziale w tym wydarzeniu ani nowo mianowanego arcybiskupa gnieźnieńskiego, ani biskupa misyjnego Ungera, ani żadnego niemieckiego dostojnika kościelnego, który towarzyszyłby cesarzowi. Obecność bliżej niezidentyfikowanego duchownego wyższej rangi koronującego wspólnie z cesarzem polskiego władcę może być alegorią współdziałania cesarstwa i papieża nie tylko przy utworzeniu polskiej prowincji kościelnej, lecz także nadaniu mu władzy królewskiej.

Atrybuty władzy Bolesława użyte podczas koronacji to już czysta fantazja. Korona zamknięta (*corona clausa*) przysługiwała wówczas jedynie cesarzowi. Trzymana przez nowego króla kopia cesarskiej świętej włóczni – dar Ottona – nawet jeśli pojawiłaby się w trakcie uroczystości, to wzorem dworu cesarskiego w ręku trzymającego ją włócznika stojącego obok króla, a nie samego władcy, który jako insygnia do rąk własnych przyjmowałby raczej najpierw miecz, a następnie, tuż przed włożeniem korony, jabłko i berło.

Fot. Polona.pl

eprasa.pl efe10364bb

Włodzimierz Cimoszewicz

Anna Jarucka

Czarna teczka dziadka z Wehrmachtu

Największe skandale prezydenckich kampanii wyborczych w III Rzeczypospolitej

Od pierwszych powszechnych wyborów prezydenckich w 1990 r. kampanie wyborcze obfitowały w skandale. Ale chyba największy wydarzył się u progu nowej Polski, gdy 19 lipca 1989 r. Zgromadzenie Narodowe wybrało Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta PRL (przez co krótko sprawował on tę funkcję). Żeby przedłużyć działanie okrągłostołowej zmowy elit, a ich postkomunistyczna część przeszła suchą stopą w nowy ustrój. Doszło więc do szwindlu z udziałem posłów i senatorów wybranych z list Solidarności, by zapewnić

STANISŁAW JANECKI

Jaruzelskiemu większość: 34 z nich w różny, czasem groteskowy sposób zrobiło wszystko, żeby nie wziąć udziału w głosowaniu.

Ten grzech pierworodny był zresztą przypominany podczas pierwszych powszechnych wyborów w 1990 r. i w jakimś sensie skorzystał na tym dżoker tamtej elekcji – Stanisław Tymiński. Podczas kampanii towarzyszyła mu czarna teczka, która jednych intrygowała, a innych przerażała – jako „bomba" z PRL, czyli być może akta sprawy agenta „Bolka". Uznano to za wiszącą nad wyborami prowokację, efekt istnienia i oddziaływania długiego ramienia bezpieki.

Tajne służby jeszcze dwukrotnie wyraźnie zaistniały w wyborach prezydenckich: w 1995 r. i 2010 r. Ludzie służb kręcili się także przy innych wyborach, lecz wybuchające wtedy skandale przebiegały bez ich znaczącej „pomocy".

Fot. TRICOLORS/East News, MACIEJ MACIERZYNSKI/REPORTER

eprasa.pl efe16954bb

Czarna teczka Tymińskiego

Skandalem pierwszych wyborów powszechnych (w 1990 r.) był sam uczestnik drugiej tury (przeciwko Lechowi Wałęsie) Stanisław Tymiński. W 1969 r. jako 21-latek wyjechał do Szwecji. Stamtąd z fińską żoną Pulmu popłynął do Kanady, gdzie otworzył firmę elektroniczno-komputerową. Został jednym z liderów Libertariańskiej Partii Kanady. Następnie wyruszył do Peru, osiadł w Iquitos nad Amazonką, gdzie założył telewizję, sieć restauracji, a potem firmy internetowe i komputerowe. I znalazł drugą żonę, Peruwiankę Myrnę Gracielę Pérez Velasco.

W czasie pierwszej i jedynej telewizyjnej konfrontacji z Wałęsą Tymiński pokazał czarną teczkę, w której miały się znajdować materiały kompromitujące rywala. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, czy teczka była pusta, czy leżały w niej kwity na „Bolka". W każdym razie wokół Tymińskiego pojawili się oficerowie służb PRL.

Na „czarną teczkę" Tymińskiego zareagowali pomocnicy Wałęsy ze służb: w TVP pojawił się dokument sugerujący, że Tymiński bije żonę i głodzi dzieci. Insynuowano także jego powiązania z terrorystami (Libia) oraz mafią narkotykową (Kolumbia). Akcja przeciw Tymińskiemu dała efekt: w drugiej turze Wałęsa otrzymał 74,25 proc. głosów i zmiażdżył rywala. Ale za skandal uznano to, że przybysz z Peru pokonał m.in. Tadeusza Mazowieckiego, Włodzimierza Cimoszewicza, Leszka Moczulskiego i Romana Bartoszcze.

Stanisław Tymiński z czarną teczką

Nogą w Kwaśniewskiego

W 1995 r. w wyborach prezydenckich (pierwsza tura 5 listopada 1995 r.) urzędujący prezydent Lech Wałęsa mierzył się z Aleksandrem Kwaśniewskim. Aby ożywić kampanię, przed finałem zorganizowano telewizyjną debatę (12 listopada). Urzędujący prezydent zdenerwował się, gdyż jego rywal wszedł do studia spóźniony, umyślnie przywitał się ze wszystkimi, tylko nie z nim.

Kulisy rozgrywki zdradził doradzający Kwaśniewskiemu Francuz Jacques Séguéla. Podsunął Kwaśniewskiemu, żeby nie spieszył się do studia i poczekał do ostatniej chwili na pobliskiej ulicy. Swoim spóźnieniem miał zasiać panikę u przeciwnika. Widząc, że Kwaśniewski nie przychodzi, Wałęsa był zakłopotany i stracił pewność siebie. Chwilę przed rozpoczęciem debaty rozpromieniony Kwaśniewski wkroczył do studia i zgodnie z planem wzbudził agresję u Wałęsy. Wzmógł ją jeszcze oskarżeniami o zaatakowanie żony Jolanty (w kwestiach podatkowych). Wedle słów Séguéli gdy Kwaśniewski skończył mówić, „wstał i pospieszył podać rękę upadłemu adwersarzowi, tak jak w tenisie triumfator wyciąga przez siatkę rękę do pokonanego. Z medialnego punktu widzenia był to gest zamykający. Lech Wałęsa, wbity w siedzenie, z uciekającym spojrzeniem przegranego, niczym powalony ranny żubr. [...] siedział, przełykał gorycz porażki i popełnił swój ostateczny podwójny błąd. Podczas transmisji na żywo odmówił podania ręki i odburknął: »Panu to ja mogę co najwyżej nogę podać«. Obelga ta zszokowała Polskę i przypieczętowała los Wałęsy".

Kampania w 1995 r. miała też inną aferę. Kwaśniewski wszędzie podawał, że ma wyższe wykształcenie. Tymczasem został skreślony z piątego roku studiów Uniwersytetu Gdańskiego. W dodatku w 1995 r. Sąd Najwyższy wydał uchwałę, że wyższe wykształcenie ma tylko osoba z obroniona pracą magisterską. Przed wyborami Kwaśniewski zapewniał, że ukończył studia, napisał i obronił pracę magisterską. Jego żona Jolanta twierdziła, że widziała dyplom magisterski męża. Zaklinała, iż w dzień obrony pracy magisterskiej czekała na niego pod drzwiami sali egzaminacyjnej.

Na temat swojego wykształcenia Kwaśniewski skłamał zresztą wcześniej: w wydanym przez Wydawnictwo Sejmowe „Informatorze o Sejmie II ka-

Fot. PAP/Cezary Słomiński

eprasa.pl efe16964bb

dencji" (1993–1997) w jego biogramie zaznaczono: „wykształcenie wyższe, magister ekonomii". A biogramy posłów opracowano na podstawie danych z ich własnych kwestionariuszy. Po zwycięstwie nad Wałęsą w drugiej turze do Sądu Najwyższego wpłynęło prawie 550 tys. protestów, w których żądano unieważnienia wyborów z powodu fałszywej informacji dotyczącej wykształcenia Kwaśniewskiego. 9 grudnia 1995 r. SN orzekł, że Aleksander Kwaśniewski może zostać prezydentem (5 na 17 sędziów zgłosiło *votum separatum*). Wszyscy sędziowie uznali jednak, że podanie przez Kwaśniewskiego kłamliwej informacji o wykształceniu było naruszeniem ordynacji wyborczej.

Aleksander Kwaśniewski i Lech Wałęsa

Fot. PAP

Spisek służb przeciw Cimoszewiczowi

W 2005 r. kampanię prezydencką zdominowała afera z kandydatem Włodzimierzem Cimoszewiczem, ówczesnym marszałkiem Sejmu. Problemy zaczęły się, gdy Anna Jarucka, jego asystentka z czasów, kiedy był szefem MSZ, zeznając przed komisją śledczą ds. Orlenu, przekazała, że jej szef kłamał podczas zeznań przed komisją, mówiąc, iż pomylił się, nie wpisując akcji Orlenu do oświadczeń majątkowych. Cimoszewicz zeznał, że w lipcu 2000 r. kupił akcje Orlenu za pieniądze córki i zięcia, którzy mieszkają w USA, oraz za kredyt. Gdy jesienią 2001 r. został szefem MSZ w rządzie Leszka Millera, postanowił pozbyć się akcji, by „nie stwarzać żadnych dwuznaczności". Sprzedał je jednak dopiero w styczniu 2002 r. Cimoszewicz powiedział posłom z komisji, że wpisał akcje do oświadczenia majątkowego, które wypełnił na początku kadencji Sejmu, ale nie zrobił tego w oświadczeniu za cały 2001 r., bo się pomylił. To zeznanie podważyła Anna Jarucka, mówiąc, że na prośbę szefa zmieniła jego deklarację majątkową i usunęła informację o akcjach Orlenu.

ABW potwierdziła, że przeszukując mieszkanie Jaruckiej (podejrzewała ją o wynoszenie tajnych depesz dyplomatycznych z MSZ), znalazła oświadczenie Cimoszewicza, ale bez wpisanych akcji Orlenu. Jarucka przedstawiła też upoważnienie do podmiany oświadczeń, które wystawił jej Cimoszewicz. Komisja powiadomiła prokuraturę o składaniu przez polityka fałszywych zeznań. Prokuratura stwierdziła, że upoważnienie ujawnione przez Jarucką było fałszywe.

Dziwny był już sposób, w jaki kobieta dotarła przed komisję śledczą. Zwierzyła się ze sprawy swojemu ginekologowi, który skontaktował ją z byłym funkcjonariuszem UOP, a wówczas doradcą szefa ABW Wojciechem Brochwiczem. Ten z kolei poznał ją z Konstantym Miodowiczem, członkiem komisji orlenowskiej i politykiem PO, także byłym oficerem wywiadu. Ten pomógł Jaruckiej spisać oświadczenie dla komisji. Cimoszewicz stwierdził, że było to działanie służb mające go zdyskredytować. Mimo że polityk został oczyszczony z zarzutów, a Jarucka zdyskredytowana, 14 września 2005 r. wycofał się z wyborów prezydenckich. Powszechnie uznano, że Cimoszewicza „obaliły" tajne służby, inscenizując całą aferę.

Dziadek Tuska z Wehrmachtu

Finał kampanii prezydenckiej w 2005 r. to także afera „dziadka Tuska z Wehrmachtu". W rozmowie z tygodnikiem „Angora" Jacek Kurski, członek sztabu Lecha Kaczyńskiego, powiedział: „Poważne źródła na Pomorzu mówią, że dziadek Tuska zgłosił się na ochotnika do Wehrmachtu". Konsekwencją tych słów było wykluczenie Kurskiego z grona współpracowników kandydata Prawa i Sprawiedliwości. „Muszę pana przeprosić za ten element czarnej kampanii" – powiedział Lech Kaczyński do Donalda Tuska w trakcie debaty na antenie TVN.

Początkowo lider Platformy Obywatelskiej zapewniał, że jego dziadek nie miał związków z Wehrmachtem. Gdy media dowiodły, że miał, Tusk przekonywał, że nic o tym nie wiedział. „To dla mnie osobista próba" – mówił. A z „dziadkiem z Wehrmachtu" było tak, że w 1939 r. Józef Tusk najpierw się ukrywał, a potem zgłosił na policję i został zatrzymany. Ale wyszedł z aresztu i następnie pracował jako robotnik rolny. Potem znalazł pracę w fabryce Schatza, u którego była już zatrudniona jego żona. 2 sierpnia 1944 r. Józef Tusk został wcielony do 328. zapasowego batalionu szkoleniowego grenadierów, czyli jednostki Wehrmachtu. We wrześniu 1944 r. został on przekształcony w 328. Grenadier-Ersatz-und Ausbildungs-Bataillon. W życiorysie z 1948 r. przechowywanym w gdańskim

epraasa.pl efe16954bb

oddziale Polskiego Związku Byłych Więźniów Politycznych Józef Tusk napisał: „25 sierpnia 1944 r. Niemcy wysłali mnie do Niemiec na roboty przy budowie okopów i pracowałem przy budowie bunkrów, rowów przeciwpancernych itd.”.

Eleonora Gurkowska, córka Józefa Tuska, w sierpniu 2006 r. opowiadała dziennikarce Barbarze Szczepule, że ojca „wysłano chyba na front wschodni, do Kurlandii, bo jeszcze z Nowego Portu mama dostała od niego wiadomość, że takie pogłoski krążą wśród nowo powołanych”. A „z tej Kurlandii przerzucono ojca statkiem do Danii i tam gdzieś – gdzie, nie wiadomo – zaraz dostał się do niewoli angielskiej czy amerykańskiej”.

W lipcu 2006 r. rodzina Tusków otrzymała z archiwum brytyjskiego Ministerstwa Obrony informację, że „Józef Tusk, urodzony 23 marca 1907 roku w Gdańsku, syn Józefa, nie figuruje w żadnym wykazie”, co oznaczało, że nie trafił do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, choć wcześniej członkowie rodziny twierdzili co innego. Ewa Tusk, matka Donalda, mówiła Romanowi Daszczyńskiemu (w wywiadzie z 23 marca 2008 r. w „Gazecie Wyborczej”): „Teść uciekł z Wehrmachtu do polskiego wojska”. Nie uciekł, tylko najpewniej był niemieckim jeńcem wojennym w brytyjskiej niewoli. Do Sopotu wrócił dopiero w październiku 1945 r. Donald Tusk twierdził potem, że sprawa dziadka z Wehrmachtu przyczyniła się do jego przegranej.

WSI za plecami Komorowskiego

W kampanii w 2010 r. skandalem stały się już prawybory w Platformie Obywatelskiej między Bronisławem Komorowskim i Radosławem Sikorskim. Wygrał Komorowski (68,5 proc. głosujących). Głównie dlatego, że pracował na niego cały aparat partii. Sikorski otwarcie powiedział, że prawybory były „ustawione”. Tak jak „ustawione” było samo kandydowanie Bronisława Komorowskiego po katastrofie smoleńskiej.

Ówczesny marszałek Sejmu sam się zgłosił do partyjnych prawyborów kandydata na prezydenta. Spieszył się do przejęcia obowiązków głowy państwa, zanim oficjalnie stwierdzono zgon prezydenta Lecha Kaczyńskiego, a właściwie do raportu z likwidacji WSI oraz aneksu do tego dokumentu. Raport i aneks wskazywały na zaplecze czy też „promotorów” Bronisława Komorowskiego. Odsłaniały jego uwikłania w interesy z ludźmi tajnych służb oraz zależności między nimi. Z dokumentów wynikała duża determinacja ludzi służb oraz stojących za nimi grup interesów, by zneutralizować raport i aneks, a ich autorów skompromitować i uwikłać w dochodzenia prokuratorskie oraz procesy sądowe, żeby nie zaszkodzić Komorowskiemu. Pomaganie mu dowiodło, że na jego zapleczu działali ludzie wojskowych tajnych służb, szeroko aktywni w biznesie i mający wpływ na największe media. Że miał on poparcie grup związanych z przemysłem zbrojeniowym i pośredniczących w zaopatrzeniu armii, także mających powiązania międzynarodowe. Mógł liczyć na największe i najbardziej wpływowe osobistości polskiego biznesu, często zaczynające działalność ze wsparciem tajnych służb i ich pieniędzy.

Pandemia i podmiana Kidawy-Błońskiej na Trzaskowskiego

5 lutego 2020 r. ówczesna marszałek Sejmu Elżbieta Witek zarządziła wybory prezydenckie na 10 maja 2020 r. Ale 20 marca rząd wprowadził stan epidemii. Ludzie zostali zamknięci w domach i wydawało się, że zorganizowanie „normalnych” wyborów w przewidzianym terminie nie będzie możliwe. Elekcja powinna być jednak przeprowadzona, więc w tym celu przyjęto specustawę „o szczególnych rozwiązaniach związanych z COVID-19”. 10 kwietnia 2020 r. z Ministerstwa Aktywów Państwowych do Kancelarii Premiera trafił projekt decyzji, której istotą było nakazanie przez szefa rządu Poczcie Polskiej zorganizowania wyborów korespondencyjnych. Stało się to 16 kwietnia 2020 r. Dwa tygodnie przed planowanym terminem wyborów Poczta Polska mailowo zwróciła się do władz wszystkich gmin z wnioskiem o przekazanie danych wyborców. Według informacji NIK dane przekazała około jedna piąta gmin w Polsce. Większość samorządowców, która odmówiła, argumentowała, że te żądania nie mają podstaw prawnych. Jak mówił później prof. Przemysław Czarnek, to prezydenci dużych miast w 2020 r. uniemożliwili przeprowadzenie wyborów prezydenckich, tzw. kopertowych. Sprzeciwili się przekazaniu baz danych wyborców.

6 maja liderzy obozu rządzącego Jarosław Kaczyński i Jarosław Gowin wydali oświadczenie, że nowe wybory odbędą się później (stało się to 28 czerwca i 12 lipca 2020 r.).

Ta zmiana terminu dała szansę na wymianę kandydata Koalicji Obywatelskiej. Mająca coraz niższe notowania i skazana na sromotną porażkę wicemarszałek Sejmu Małgorzata Kidawa-Błońska zrezygnowała 15 maja 2020 r. Potem mówiła: „Gdyby nie mój mocny głos i mówienie o bojkocie, wybory w maju pewnie by się odbyły. Senat i samorządy spowodowały, że mamy szansę na wolne i demokratyczne wybory”.

Zarząd PO wyznaczył w jej miejsce Rafała Trzaskowskiego. Jako nowy kandydat prezydent Warszawy musiał zbierać podpisy, podczas gdy kandydaci powtórnie zarejestrowani – nie. Ale dzięki temu, że był świeży, można było epatować „niewinnością”, a konkurentom zabrakło czasu na dokładne prześwietlenie Trzaskowskiego.

3 czerwca 2020 r. zainaugurował on swoją kampanię prezydencką. Dzięki nowości oraz wymazaniu z pamięci wyborców szczegółów katastrofalnej kampanii Kidawy-Błońskiej (a może w kontraście do tej kampanii) Trzaskowski szybko zebrał podpisy, i to aż 1,62 mln. Krótka kampania sprawiła, że Polacy nie byli – tak jak teraz – zanudzani i wręcz zamęczani pustosłowiem oraz banalnymi tezami kandydata, a także nie mieli właściwie okazji, żeby go dobrze poznać. Aż 10 mln Polaków kupiło mit, i to skrywający się za mgłą niewiedzy. Ale wtedy Rafał Trzaskowski nie był utożsamiany z Donaldem Tuskiem i nie obarczały go porażki byłego premiera, bo nie było go w kraju. No i reprezentował opozycję, choć rządził w Warszawie.

eprasa.pl efe10364bb

Polak w teatrze marionetek

Nowym Wokulskim ma być Marcin Dorociński, tu w filmie „Minghun”

Jerzy Kamas, serial „Lalka”

Mariusz Dmochowski, film „Lalka”

W Warszawie jest nawet tablica informująca, gdzie znajdował się dom i sklep Wokulskiego. To żywa historia, co potwierdza także dyskusja sprowokowana zapowiedzią nowej ekranizacji powieści Prusa. Jej twórcy niech pamiętają: „Lalki” nie da się bezkarnie przebrać w modne ideologiczne fatałaszki

MACIEJ WALASZCZYK

Podczas spacerów z psem spotykam człowieka, który pracuje jako kierowca przy produkcjach filmowych. Taki los socjologów w rynkowej rzeczywistości. Zaczepiłem go, bo myślałem, że wie coś o kulisach zapowiadanej nowej adaptacji słynnej powieści Bolesława Prusa. Wielokrotnie relacjonował, co się dzieje na planach. Ku memu zaskoczeniu ostro i z irytacją wypalił: – Ty i ja chodziliśmy do starej szkoły i takich świętości jak „Lalka” się nie rusza.

Gdy taką deklarację składa liberał, wiedzmy, że coś się dzieje. Ponowne ekranizacje filmowych klasyków, kasowych przebojów, książkowych pomników lub bestsellerów nie są przecież niczym nowym. Jedne się udają, inne żenują lub po prostu rozczarowują. Najczęściej wcale nie chodzi o nową interpretację i artystyczny sukces, ale ogrzanie się w blasku największych oraz szybki i łatwy zwrot zainwestowanych pieniędzy. Lub, nie daj Boże, retusz, skandalizującą, polityczną reinterpretację w stylu woke czy trywializację w celu ułatwienia odbioru przez młodego widza przyzwyczajonego do przeglądania krótkich filmików na TikToku. Bo ile wspólnego miała ponowna ekranizacja „W pustyni i w puszczy” z Sienkiewiczowską grozą Afryki – pełnej chorób, dzikich plemion, przewrotnych muzułmanów, w której znalazły się białe europejskie dzieci? Instynktownie obawiamy się politycznie poprawnego gniota mającego odpowiednio podać temat na tacy kolejnemu pokoleniu.

Nowa ekranizacja, ale po co?

„Mam nadzieję, że widzowie zobaczą w Wokulskim nie tylko bohatera XIX w., ale i kogoś bliskiego naszym czasom. Bo choć czasy się zmieniają, serca wciąż biją tak samo” – oświadczył Marcin Dorociński, którego twórcy filmu chcą obsadzić w głównej roli.

Ta zapowiedź uspokaja, ale niestety dożyliśmy czasów, że gdy się dowiadujemy, iż ktoś z młodego pokolenia zabiera się za narodową klasykę pełną aluzji, niedomówień i szyfrów, rodzi się obawa, że nic dobrego z tego wyjdzie. Co najwyżej opera mydlana, produkcyjniak uzupełniający ofertę aplikacji streamingowych, a dodatkowo naszpikowany neutralizującymi oryginał ideologicznymi rozpuszczalnikami lub truciznami.

Za zdjęcia do nowej „Lalki” będzie odpowiadał Piotr Sobociński jr., a za produkcję Radosław Drabik. Reżyserem został Maciej Kawalski, autor właściwie jednego dużego filmu „Niebezpieczni dżentelmeni”. I należy to odczytać z nadzieją. Ta czarna komedia okazała się czymś więcej niż odpowiedzią na „Kac Vegas”. Jego pomysł polegał na umieszczeniu w fikcyjnej fabule

Fot. EAST NEWS, PAT, Łukasz Bąk

eprasa.pl efe16954bb

znanych postaci polskiej literatury początku XX w., takich jak Boy-Żeleński, Conrad, Malinowski czy Witkacy, a do tego odtwarzanych przez plejadę znanych aktorów – Kota, Seweryna czy właśnie Dorocińskiego. Kawalski dość sprawnie zlepił zakopiańską historię w realistyczną fikcję. Co nowego i ważnego będzie chciał nam opowiedzieć na temat Wokulskiego, Łęckiej, Rzeckiego, Ochockiego, Krzeszowskich czy pomniejszych, ale tak istotnych postaci wykreowanych przez Prusa?

Prace na planie mają się rozpocząć latem, a premierę zapowiedziano na przełom 2026 i 2027 r. Na razie pojawiły się enuncjacje raczej z poradnika marketingowca zajmującego się sprzedażą produktu masowej konsumpcji niż filmowego wizjonera: „Klasyka literatury może być opowiadana na nowo w atrakcyjny wizualnie i angażujący emocjonalnie sposób", „Obiecujemy wspaniałą, jakościową rozrywkę".

Czy nie lepiej było skierować do widzów jakiś enigmatyczny i intrygujący komunikat w rodzaju: „Wiemy, co stało się z Wokulskim" albo po prostu wyjaśnić, dlaczego ktoś znów chce pokazać Polakom historię sprzed prawie 150 lat? A tak od razu jest obawa, czy pusta emocjonalnie i intelektualnie Izabela nie zostanie dowartościowana, włączona do galerii współczesnych celebrytek budujących własną, arystokratyczną kastę pieniądza, sławy i próżności. Choć ta elita jest parodią tej z tamtych czasów, obie łączy lekkomyślność, rozrzutność, polityczna naiwność i niezdolność do ekonomicznego przetrwania. Widzimy to przecież na co dzień. Czy wywodzący się z show-biznesowego establishmentu twórcy są zdolni do krytycznego spojrzenia na własny celebrycki świat tak jak wyszydził ówczesne elity Bolesław Prus?

A co z etosem i dylematami polskiego inteligenta, dziś gatunku w stanie zaniku, przetrawionego przez realia trzech dekad późnokapitalistycznej rzeczywistości? Rzeckiego i jemu podobnych staroświeckich, dobrych Polaków, których aktywność całego życia sprowadzała do mianownika znaczonego symbolem „P" jak Polska? No i jaki w końcu będzie Wokulski, ten pozytywista z ciała i romantyk z ducha, wierzący w pracę u podstaw, ale rozdzierany między wewnętrzną dobrocią i marzeniami a rzeczywistością otaczającego go brutalnego świata? Prof. Krzysztof Rutkowski, który uważa, że „Lalkę" winno się czytać raz w miesiącu, by odnaleźć w niej jakieś dotąd przeoczone znaczenia, idzie o wiele dalej. Mówi o „lawinie sensów" i „dziele zawieszonych sądów moralnych". Co pokażą nam teraz?

Prowokujący Polkowski

Dokładnie dekadę temu, w 2015 r., debatę na temat powieści ponownie sprowokował poeta i pisarz Jan Polkowski, demaskując na łamach naszego tygodnika dzieło Prusa jako podglebie ułatwiające „odpolaczenie tego kraju".

> Dożyliśmy czasów, że gdy się dowiadujemy, iż ktoś z młodego pokolenia zabiera się za narodową klasykę pełną aluzji, niedomówień i szyfrów, rodzi się obawa, że nic dobrego z tego wyjdzie. Czy tak będzie przy nowej ekranizacji „Lalki"?

Chodziło mu o to, że Wokulski jest człowiekiem targanym rozterkami, dorabiającym się na współpracy z zaborcą, hołdującym rodzącemu się nad Wisłą etosowi kapitalisty, zapatrzonym w przyszłość i przekonanym, że „kapitał nie ma narodowości", w końcu człowiekiem nauki, scjentyzmu, agnostycyzmu mających ostatecznie wyprzeć religię i metafizykę. Zdaniem Polkowskiego „Lalka" to po prostu pamflet na polskość.

Jego stanowisko nie pozostało bez odpowiedzi – z jednej strony publicystów o bardziej konserwatywnej wrażliwości, a z drugiej m.in. Krzysztofa Vargi czy Adama Szostkiewicza. Choć przyznajmy, że skoro dziś powieść inspiruje także zawodowych „dekonstruktorów polskości", Olgę Tokarczuk, a w końcu show-biznesowych macherów od rozrywki, to możemy się przygotować na wszystko. Dlatego nie bez powodu także Piotr Zaremba postanowił wyrazić swoje obawy, czy nie będzie to próba rehabilitacji Łęckiej w duchu feminizmu, krytyka „stalkera" Wokulskiego, a może po prostu czysta rozrywka, niestawiająca widzom żadnych pytań.

Te wątpliwości mnożą się dlatego, że „Lalka" to powieść wciąż popularna, lubiana, czytana, inspirująca i żywa. Tak bardzo, że wiemy, gdzie mieszkał Wokulski i może to sprawdzić każda wycieczka odwiedzająca Warszawę – tuż obok pomnika Kopernika, w kamienicy przy Krakowskim Przedmieściu 4 na pierwszym piętrze pod nr. 2. Tamtej kamienicy już nie ma, ale na ścianie nowego budynku jest stosowna informacja na ten temat. Pałac Karasia, który znajdował się tuż obok tego adresu, też już nie istnieje, ale wiemy, że pod nr. 7 znajdował się nowy sklep Wokulskiego pełen ekskluzywnych towarów – „brązów, majoliki, kryształów, kości słoniowej". Obok mieszkał jego przyjaciel Rzecki. Reakcja mojego sąsiada i wielu komentatorów czy samej Beaty Tyszkiewicz, która tak przekonująco broniła postaci Izabeli Łęckiej w słynnej ekranizacji Wojciecha Hasa, a teraz oświadczyła, że „nie kibicuje" nowej produkcji, są przestrogą, że nie uda się bezkarnie retuszować, spłycać i przebrać „Lalki" w modne fatałaszki.

Wizja Hasa i telewizyjny serial

Dziś film Wojciecha Jerzego Hasa z 1968 r. to arcydzieło polskiego kina, produkcja niezwykle malarska i imponująca rozmachem, w którym zakamarki i wnętrza secesyjnych kamienic Wrocławia stały się plenerem dla XIX-wiecznej Warszawy. Podobnie jak dzisiejsi twórcy Has chciał ujawnić związki łączące współczesnego

01/0125/F

eprasa.pl efe1[illegible]64bb

człowieka z bohaterami tamtej epoki. Odnaleźć pomost ze współczesnością. Efekt był jeszcze inny. Choć z konieczności wykorzystywał masę realistycznych szczegółów i bardzo naturalistyczną prozę Prusa, film ma w sobie wiele nadrealistycznych zniekształceń oraz szczelin niepokojących oglądającego go widza. To „czarny realizm poetycki" wypełniony ogromem rekwizytów.

Kiedy jego „Lalka" wchodziła na ekran, też wywołała dyskusję i dużo głosów krytycznych. Znakomity reżyser pokazał jednostkę wyobcowaną, Wokulskiego jako outsidera pchanego ku samozagładzie jakąś fatalistyczną mocą. To „Lalka" pełna pesymizmu, ale piękna w poetyce i obrazie, w której tak wspaniale odnaleźli się Mariusz Dmochowski, Tadeusz Fijewski i Beata Tyszkiewicz. Zresztą odtwórca głównej roli już wcześniej popisowo wcielił się w nią w spektaklu „Pan Wokulski", wystawianym ok. 200 razy Teatrze Powszechnym w Warszawie. Mimo to decyzję Hasa o jego zaangażowaniu odebrano na początku dość sceptycznie, uznając, że nie jest on typem romantycznego amanta.

Wokulskiego w inny sposób pokazano w telewizyjnym serialu w reżyserii Ryszarda Bera do scenariusza napisanego przez Aleksandra Ściborа-Rylskiego i Jadwigę Wojtyłło. Powieść to przecież idealny materiał na film w odcinkach. Główna rola przypadła Jerzemu Kamasowi, grającemu razem z Małgorzatą Braunek i Bronisławem Pawlikiem. Mimo początkowych obiekcji przekonano go, że Wokulski o „byczym karku, wielkich czerwonych rękach i chamskim sposobie bycia" jawi się tylko w wyobrażeniach Izabeli, a dla innych kochających się w nim pań był człowiekiem dobrym i życzliwym. Kamas już na zawsze pozostał Wokulskim, a premierowy odcinek serialu wyemitowano 17 września 1978 r. w Telewizji Polskiej. Film osiągnął niebywały sukces i do dziś jest pokazywany w telewizji.

„Lalka" jak soczewka

To najważniejsza polska powieść XIX w. i z pewnością jedna z najważniejszych w polskiej literaturze. Twierdzi tak wspomniany już prof. Krzysztof Rutkowski, od ponad 40 lat mieszkający w Paryżu, stawiając ją obok „Dziadów" Adama Mickiewicza. Epokę romantyków i idealistów wypiera pragmatyzm, pozytywizm, kult naukowości. Wokulski, silnie zbudowany dojrzały mężczyzna w wieku 46 lat, w głębi pozostaje tym pierwszym, ale jako nauczony przez życie weteran walk o niepodległość i były zesłaniec buduje materialne podstawy na nowe czasy.

Prus, choć przecież niepozbawiony dowcipu i dobrego serca, okazał się znakomitym obserwatorem życia i zjawisk, pozytywistą w Spencerowskim sensie. „Lalka" musiała się stać opowieścią o ówczesnych Polakach, przejściu do czasów nowoczesności, schyłku arystokracji i bolesnych narodzin społeczeństwa masowego, kapitalizmu i nowych ideologii takich jak socjalizm, które

REKLAMA

SALTUS
UBEZPIECZENIA
saltus.pl

Dostępne m.in. w placówkach Spółdzielczych Kas oraz Banków Spółdzielczych

SALTUS - Mój DOM
UBEZPIECZENIE MIESZKAŃ I DOMÓW JEDNORODZINNYCH

Szeroki zakres ochrony, który możesz dopasować do swoich potrzeb.

ubezpiecz to, co się liczy!

TOWARZYSTWO UBEZPIECZONYCH

eprasa.pl efe16964bb

Małgorzata Braunek, serial „Lalka”

To najważniejsza polska powieść XIX w. i z pewnością jedna z najważniejszych w polskiej literaturze – twierdzi prof. Krzysztof Rutkowski, od ponad 40 lat mieszkający w Paryżu, stawiając ją obok „Dziadów” Adama Mickiewicza

Beata Tyszkiewicz, film „Lalka”

cjonalną” Polskę z wielką metropolią, miastem gromadzącym zdobycze pracy „kilkunastu, jeżeli nie kilkudziesięciu wieków cywilizacji”. Ze światem, który jest sceną, na której trwa owo przedstawienie pełne martwych i popychanych przez fatum marionetek i laleczek.

Zdaniem filozofa Dariusza Gawina „Lalka” kryje uniwersalną opowieść o załamywaniu się liberalnej wiary XIX w. w zbudowanie nowoczesnego i harmonijnego społeczeństwa, dlatego jest opisem świata, który przestał istnieć na naszych oczach w epoce globalizacji. „Czy naprawdę jest jaki plan, wedle którego cała

święciły triumfy w XX w. Mamy tam ogrom bohaterów: pierwszoplanowych, drugoplanowych, epizodycznych, ulice, parki, hotele, kamienice, kościoły, a za sprawą świadomego zabiegu Prusa nie widzimy Rosjan, wówczas wszechobecnych i przez lata prowadzących politykę nadzoru, represji i rusyfikacji.

Być może właściwy klucz do tej postaci odnalazł i najlepiej zdeszyfrował właśnie prof. Rutkowski w swojej brawurowej książce „Wokulski w Paryżu”. Według niego „Lalka” to powieść o Warszawie, która „wypełnia się sensem z powodu Paryża”. Pobyt Wokulskiego w tym najmodniejszym wówczas mieście jest osią całej powieści, bo w nim dokonuje się „alchemiczna” przemiana głównego bohatera. Rutkowski twierdzi, że w przyspieszonym tempie odkrył on tam tajemnicę własnej duszy oraz duszy świata, że Izabela Łęcka to bardziej nimfa niż bogini, że tam uświadomił sobie, iż jej nigdy nie kochał. Poznał wszelkie złudzenia, którym hołdował i był nieszczęśliwy z ich powodu. Tam, wypijając dziesiątki karafek koniaku, w końcu zdał sobie sprawę, że jest chory i nie ma dla niego ratunku.

Prof. Rutkowski przekonuje, że główny bohater „Lalki” to człowiek pielęgnujący w sobie niczym dawny mnich tajemnicę melancholii, „czarnego słońca”, żalu za utratą tego, czego nie stracił. Jest więc typowym Polakiem, który podobnie jak wielu dzisiejszych konfrontuje swoją „prowin-

ludzkość posuwa się ku lepszemu: czy też wszystko jest dziełem przypadku, a ludzkość, czy nie idzie tam, gdzie ją popchnie większa siła?” – napisał Rzecki w „Pamiętniku starego subiekta”. To przecież najważniejsze z pytań. Dlatego zdaniem Gawina to nie tylko opowieść o nieszczęśliwej miłości, lecz także konsekwencjach narodzin kapitalizmu Polsce oraz całej przyszłości, która w XX w. wtargnęła w świat i do naszej tradycyjnej kultury. Wokulski musi się w niej odnaleźć jako dobry, choć doświadczony życiem i historią Polak, a także człowiek mocno stąpający po ziemi, twardy i praktyczny. Po doświadczeniach ostatnich 35 lat my też dopiero teraz wiemy, że nie jest to takie proste i bezbolesne.

Fot. EAST NEWS, PAT

eprasa.pl efe10364bb

Prawdziwy Tony Stark

Elon Musk to jeden z najpotężniejszych ludzi w USA, odkąd związał się z prezydentem Donaldem Trumpem i jego administracją. Jedni widzą w miliarderze ekscentrycznego biznesowego geniusza, inni otwarcie oskarżają go o to, że zbudował swoją pozycję na publicznych grantach

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Elon Musk to król Midas XXI w. Wszystko, czego dotknie, wydaje się zamieniać w złoto. Dzięki PayPal zrewolucjonizował płatności online, za pomocą Tesli podbił branżę samochodową, a SpaceX jest obecnie jedyną firmą na świecie, która może wystrzelić i sprowadzić z powrotem na Ziemię statek kosmiczny z dużym ładunkiem. Do tego Musk nabył portal X (dawniej Twitter), przywracając tysiące ocenzurowanych kont w imię wolności słowa, oraz został, choć na krótki czas, doradcą prezydenta Donalda Trumpa, który pozwolił mu przeprowadzić radykalne cięcia w amerykańskiej administracji federalnej. Dla jednych pochodzący z Republiki Południowej Afryki miliarder to „hipokryta" (CNN), a nawet „ignorant" („The Washington Post"), dla drugich jest „prawdziwym patriotą" („New York Post") i „nowoczesnym wizjonerem" („Washington Examiner)". Bez wątpienia wciąż jest też najbogatszym człowiekiem na świecie (jego majątek wart jest 365 mld dol.). A ponadto ojcem 13 (a może i więcej) dzieci, który

Fot. Joshua Sukoff/Shutterstock.com

epiasa.pl efe16954bb

ostrzega nas przed anihilacją ludzkości przez sztuczną inteligencję, w którą sam inwestuje. Pozostaje pytanie: jak Musk stał się Muskiem?

Ekscentryczny przodek

Gdy był małym chłopcem, jego rodzice myśleli, że może być głuchy. Nie odpowiadał na pytania, tylko patrzył przed siebie. Po serii badań lekarze usunęli mu nawet migdałki, próbując poprawić słuch. Ale jak się okazało, Musk wcale nie był głuchy, tylko posiadał umiejętność całkowitego zamknięcia się w sobie i myślenia. Według jednego z jego biografów, Ashlee Vance'a, to ona stała się czynnikiem decydującym o jego sukcesie. W 2021 r. w czasie monologu dla „Saturday Night Live" miliarder ujawnił, że ma zespół Aspergera, formę autyzmu. „Myśleliście, że będę spokojnym, normalnym facetem?" – zapytał zadziornie publiczność. „Neurorozbieżność", którą Musk sam u siebie zdiagnozował, to zdaniem Vance'a nie jedyny powód, dla którego nie jest „normalnym", a już na pewno przeciętnym facetem. Resztę miały sprawić niezbyt szczęśliwe dzieciństwo oraz geny po dość nietypowym dziadku.

Współwłaściciel Tesli urodził się 28 czerwca 1971 r. w Pretorii w RPA. Jego dziadek J.N. Haldeman był zagorzałym antykomunistą z Kanady. W latach 30. i 40. XX w. należał do Ruchu Technokratycznego uznającego, że rządzić powinni naukowcy i inżynierowie. „W 1950 roku Haldeman postanowił przeprowadzić się do RPA" – pisze Walter Isaacson, kolejny biograf Muska. Opisuje jego dziadka jako ekscentrycznego fantastę o skłonnościach do teorii spiskowych (walczył m.in. z fluoryzacją wody i pasteryzacją mleka) oraz rasistę i antysemitę, który pokładał duże nadzieje w apartheidzie. Musk uważa swojego dziadka za kochającego ryzyko miłośnika przygód, który wykonywał sztuczki z lasso w czasie rodeo w prowincji Saskatchewan. Prawda leży zapewne gdzieś po środku. Faktem jest, że będąc jeszcze w Kanadzie, dwukrotnie startował w wyborach do parlamentu i przegrał oraz że miał obsesję na punkcie technologii. Sam twierdził, iż przeniósł się do RPA po rozmowie z pastorem misjonarzem, który „opisał mu wyjątkowe piękno tego kraju" oraz że warto zachować „białą chrześcijańską cywilizację".

Faktem jest także, że w RPA zrobił licencję pilota i wraz z żoną obleciał pół świata.

Matka Muska Maye Haldeman była finalistką konkursu Miss Południowej Afryki podczas burzliwego związku z jego ojcem, inżynierem i lotnikiem Errolem Muskiem. Według Isaacsona młody Musk nie miał łatwego dzieciństwa. W szkole się nudził, a koledzy, którzy gorzej radzili sobie w nauce, lubili go upokarzać i dręczyć. „Elon, niezdarny, samotny chłopiec, był często bity, a jego ojciec ciągle go werbalnie łajał" – pisze Isaacson. Po jednym takim pobiciu przez kolegów Musk wylądował nawet w szpitalu. Po tym incydencie rodzice przenieśli go do innej szkoły.

> Gdy był małym chłopcem, jego rodzice myśleli, że może być głuchy. Nie odpowiadał na pytania, tylko patrzył przed siebie. Lekarze usunęli mu nawet migdałki, próbując poprawić słuch. Okazało się, że przyszły miliarder ma zespół Aspergera

Autostopem przez galaktykę

Zarówno Musk, jak i jego rodzeństwo – siostra Tosca i brat Kimbal – twierdzą, że ich ojciec znęcał się emocjonalnie nad nimi oraz ich matką. „W jednej chwili był superprzyjacielski – zaznaczył w rozmowie z Isaacsonem Kimbal – a w drugiej wrzeszczał na ciebie, prawił ci wykłady przez godziny, dosłownie dwie lub trzy godziny, podczas których zmuszał cię do stania w miejscu – nazywał cię nic niewartym, żałosnym, rzucał krzywdzące i złośliwe komentarze, nie pozwalał ci odejść".

Sam Elon wielokrotnie podkreślał, że dorastał w rodzinie, która miała niskie dochody, a potem awansowała do wyższej klasy średniej. „Nie dostałem od nikogo żadnego spadku i nikt nigdy nie dał mi większej sumy pieniędzy. Moje dzieciństwo nie było zbyt radosne" – mówił w wywiadzie dla Fox News. Jego ojciec wspomina to nieco inaczej. Według niego Elon jeździł do szkoły rolls-roycem, bowiem rodzina długo czerpała wysokie zyski z jego (nie do końca legalnych) udziałów w szmaragdowym biznesie w Zambii. „Mieliśmy także do dyspozycji samolot, a dzieci chodziły do prywatnych szkół i uczyły się jeździć na nartach w Europie" – podkreślił Errol w wywiadzie dla Vlad TV.

Bądź co bądź według obu biografów mały Elon kochał komputery i gry wideo oraz książkę „Autostopem przez Galaktykę", bo jego zdaniem zawiera „pytania, które powinniśmy zadać, by uzyskać odpowiedź, którą jest kosmos". W wieku 12 lat sprzedał za 500 dol. kod do gry kosmicznej Blastar na PC magazynowi „PC and Office Technology". Dwa lata wcześniej jego rodzice się rozwiedli. Elon został z ojcem mimo ich trudnych relacji, bo ten w przeciwieństwie do matki miał komputer i encyklopedię.

Po ukończeniu szkoły średniej Elon wyjechał najpierw do Kanady, następnie do Ameryki. Przez dwa lata na Queen's University w Ontario i kolejne dwa na uniwersytecie w Pensylwanii zdobył podwójny dyplom: z fizyki, aby móc pracować jako inżynier ze zrozumieniem podstaw, i z biznesu, aby nigdy nie musiał pracować dla nikogo poza sobą. Po ukończeniu studiów odrzucił miejsce w programie doktoranckim Stanford, aby wraz z bratem Kimbalem założyć pierwszy biznes – wczesny internetowy katalog firm o nazwie Zip2. Kapitał na założenie firmy (2 tys. dol.) dostarczył ojciec.

Autopromocja

eprasa.pl efe1[illegible]64bb

Chaos i odrobina szczęścia

Według pisma „The New Yorker" w Zip2 widzimy „początki maniakalnej etyki pracy Muska – jego niezdolność do dobrej współpracy z innymi". On i jego brat Kimbal spali na futonach w biurze. Kiedy przychodzili nowi inżynierowie, Musk poświęcał dodatkowy czas na „naprawianie ich głupiego, piep...go kodu". On i Kimbal często wdawali się w bójki, raz Musk musiał jechać do szpitala na zastrzyk przeciw tężcowi po tym, jak Kimbal go ugryzł. Po dwóch latach sprzedali firmę koncernowi Compaq za 300 mln dol.

Ale to był koniec lat 90., okres komercjalizacji i umasowienia internetu. Startupy w tzw. dot-comowej bańce wyrastały jak grzyby po deszczu. Musk był we właściwym miejscu we właściwym czasie. Za swoją część pieniędzy uruchomił jedną z pierwszych firm bankowości internetowej. Nazwał ją X.com. W 2000 r. przedsiębiorstwo Petera Thiela Confinity połączyło się z nią, a Musk żałował, że w konsekwencji zostało przemianowane na PayPal. Lata później kupił domenę x.com i trzymał ją jako swego rodzaju sanktuarium – pustą białą stronę z niczym innym, jak tylko małą literą x na ekranie. W 2002 r. eBay zapłacił za PayPal 1,5 mld dol., a Musk wykorzystał swoją część pieniędzy, aby założyć SpaceX. Dwa lata później zainwestował ok. 6,5 mln dol. w Teslę i został jej największym udziałowcem oraz prezesem.

Według Isaacsona Musk poniósł z obiema firmami serię bolesnych porażek. „W przypadku SpaceX to była katastrofa za katastrofą. Ale Musk się uparł, że musi się udać, bo chciał zmieniać świat, wysyłając ludzkość na Marsa" – pisze biograf. Jego celem były 10-krotnie tańsze loty kosmiczne. Pod koniec 2004 r. SpaceX rozpoczął prace nad kapsułą kosmiczną Dragon. W 2010 r. odbyła ona swój dziewiczy lot i stała się pierwszym komercyjnie zbudowanym i obsługiwanym statkiem kosmicznym, który został pomyślnie odzyskany z orbity.

W 2006 r. Musk został mianowany prezesem Tesli i wypuścił na rynek pierwszy całkowicie elektryczny samochód – Roadster. W czasie kryzysu finansowego dwa lata później Tesla była na skraju bankructwa. Przetrwała dzięki pomocy rządu federalnego i inwestycjom Daimlera oraz Toyoty. Padł wtedy cały przemysł samochodowy w Detroit.

SpaceX także ledwo przędła. 180 mln dol., które Musk zarobił na PayPalu, ulotniły się. Tu pomogła NASA. W grudniu 2008 r. SpaceX podpisało z agencją kontrakt o wartości 1,5 mld dol. na dostarczanie zaopatrzenia do Międzynarodowej Stacji Kosmicznej (ISS). W międzyczasie Tesla pozyskała kolejnych zewnętrznych inwestorów i w 2010 r. przeprowadziła pierwszą ofertę publiczną, pozyskując 226 mln dol.

Robisz świąteczne zakupy?

Wrzuć do koszyka tygodnik SIECI

LIDL

Tygodnik Sieci kupisz w każdym Lidlu

eprasa.pl efe16964bb

Dziś Musk jest prezesem sześciu firm. Oprócz Tesli i SpaceX ma The Boring Company (budowa sieci tuneli podziemnych umożliwiających szybkie podróże), Neuralink (technologia, która może łączyć ludzkie mózgi z maszynami), X (dawniej znaną jako Twitter) i X.AI, firmę zajmującą się sztuczną inteligencją, którą założył w 2023 r. Można powiedzieć, że Musk kolekcjonuje firmy.

Zakochany głupiec

Jak twierdzą jego biografowie, kolekcjonuje także kobiety. Jego pierwszą żoną była Justine. Parze urodziła się szóstka dzieci, zanim rozwiedli się w 2008 r. Następnie Musk poślubił angielską aktorkę Talulah Riley, gdy ta miała zaledwie 22 lata i dopiero wyprowadziła się od rodziców. Później się rozwiedli i ponownie zawarli związek małżeński. Ich drugi rozwód został sfinalizowany w 2016 r. Według magazynu „People" miliarder był również łączony z aktorką Amber Heard i piosenkarką Grimes, z którą ma troje dzieci. W listopadzie 2021 r. został ojcem bliźniaków z dyrektorką jego firmy Neuralink Shivon Zilis, zresztą dobrą przyjaciółką Grimes, zaledwie kilka tygodni przed narodzinami jego drugiego dziecka z piosenkarką. W 2024 r. powitał na świecie trzecie dziecko z Zilis.

W lutym 2025 r. młoda influencerka i pisarka Ashley St. Clair ujawniła na portalu X, że urodziła 13. dziecko Muska. Nie podała jednak żadnych dodatkowych szczegółów, a Musk nie przyznał się do niego publicznie. „Jestem głupcem, jeśli chodzi o miłość. Często jestem głupcem, ale szczególnie gdy chodzi o miłość" – powiedział Musk Isaacsonowi.

Dodał, że „ma obsesję na punkcie dzieci". Po narodzinach ostatniej pary bliźniaków w 2002 r. oświadczył: „Robię, co mogę, aby pomóc zwalczać kryzys demograficzny. Niski wskaźnik urodzeń jest o wiele większym ryzykiem dla cywilizacji niż globalne ocieplenie". Najwięcej emocji wzbudziły dzieci z Grimes z powodu nietypowych imion: X Æ A-Xii, Exa Dark Sideræl Musk i Techno Mechanicus.

W 2018 r. Musk został najbogatszym człowiekiem świata i Człowiekiem Roku magazynu „Time". W międzyczasie SpaceX ustanowił wiele rekordów i wielokrotnie zaopatrywał Międzynarodową Stację Kosmiczną. Zbudował również Falcon 9, najpotężniejszą dotychczas rakietę przeznaczoną do wynoszenia ładunków na orbitę. W 2020 r. SpaceX nawiązał współpracę z NASA w celu wysłania astronautów w kosmos i odbył swój pierwszy operacyjny załogowy lot kosmiczny, wysyłając czterech astronautów na ISS. W tym samym roku Tesla dołączyła do indeksu S&P 500, w skład którego wchodzi 500 przedsiębiorstw o największej kapitalizacji.

> Musk otrzymał w formie grantów, pomocy publicznej i zamówień rządowych prawie 16 mld dol. dla Tesli, a ok. 22 mld dol. dla SpaceX

Imperium z grantów?

Według magazynu „Forbes" Musk to „prawdziwy Tony Stark", czyli realna wersja fikcyjnej postaci wynalazcy i miliardera znanej z serii komiksów wydawanych przez Marvela. Inni widzą w nim miliardera, który dorobił się na publicznych pieniądzach. W obliczu oszczędnościowych działań Muska w na czele Departamentu Efektywności Rządu (DOGE) dziennik „The Washington Post" ujawnił, że „Tesla i SpaceX od 20 lat korzystają z dużych zamówień i ulg podatkowych od władz stanów i rządu federalnego". „Musk otrzymał w formie grantów, pomocy publicznej i zamówień rządowych prawie 16 mld dol. dla Tesli, a ok. 22 mld dol. dla SpaceX. Dwie trzecie tych sum zostały zadeklarowane w ciągu ostatnich pięciu lat. Tylko w 2024 r. rządy federalne i stanowe obiecały co najmniej 6,3 mld dol. firmom magnata. To rekord" – czytamy. Dotacje te, uzyskane w dużej mierze za prezydentury Joe Bidena (2021–2025), można wytłumaczyć tym, że Musk zainwestował w dwa sektory wspierane przez władze publiczne: eksplorację kosmosu i przejście z silników spalinowych na elektryczne w ramach walki ze zmianami klimatycznymi. Tesla krótko była wymieniana jako kandydat do kontraktu o wartości 400 mln dol. na dostawę opancerzonych pojazdów elektrycznych dla Departamentu Stanu, ale agencja zawiesiła ten plan.

Złośliwcy twierdzą nawet, że fakt, iż ktoś, kto żyje z grantów, otrzymał zadanie odbierania ich innym, stanowi „poważny konflikt interesów".

Fundusze federalne pomogły Tesli i SpaceX odbić się od dna, gdy ponad 15 lat temu były początkującymi, niesprawdzonymi start-upami. W przypadku Tesli, która o włos uniknęła ogłoszenia upadłości pod koniec 2008 r., pożyczka Advanced Technology Vehicle Manufacturing (ATVM) z Departamentu Energii okazała się kołem ratunkowym. Pomogła jej uruchomić pierwszą fabrykę szybciej i przy niższym koszcie, niż gdyby polegała wyłącznie na prywatnych funduszach. Pozwoliło to na terminowe rozpoczęcie produkcji jej przełomowego sedana Model S w 2012 r., co wprowadziło firmę na ścieżkę przyszłego sukcesu. Obecnie Tesla ma kapitalizację rynkową wynoszącą 1,16 bln dol. SpaceX jest szacowany na 350 mld dol. i jest uważany za najcenniejszy prywatny start-up na świecie. Od grudnia 2024 r. wartość akcji Tesli zmniejszyła się jednak ponaddwukrotnie. W pierwszym kwartale 2025 r. sprzedaż samochodów spadła o 15 proc., a produkcja o 16,3 proc. w porównaniu do poprzedniego roku. Winna ma być wojna celna Trumpa (Musk ostro krytykował za to doradcę prezydenta Petera Navarro) oraz wzmożona konkurencja ze strony chińskich marek.

Amerykańska lewica wini polityczne zaangażowanie Muska i namawia go, by odciął się od Trumpa. Jest to jednak mało prawdopodobne. Doniesienia medialne, jakoby prezydent miał go odwołać ze stanowiska, Musk zdementował jako fake news.

eprasa.pl efe103364bb

Metale, które dają władzę

Bez metali ziem rzadkich i innych poszukiwanych surowców Zachód nie może myśleć o jakiejkolwiek przewadze technologicznej, gospodarczej czy militarnej. Problem w tym, że dziś ich dostępność w dużej mierze zależy od dobrej woli Pekinu

KONRAD KOŁODZIEJSKI

„Bliski Wschód ma ropę naftową, a my będziemy mieli metale ziem rzadkich" – miał powiedzieć w 1992 r. Deng Xiaoping, faktyczny twórca współczesnych Chin. Wówczas mało kto przejął się jego słowami, tymczasem emerytowany przywódca komunistyczny zapowiedział w tym krótkim zdaniu dążenie do chińskiej supremacji, która dziś, po ponad 30 latach, stała się rzeczywistością i jest najpoważniejszym wyzwaniem dla świata Zachodu.

Przykręcanie kurka

Gdy Donald Trump nałożył cła na importowane towary z Chin, Pekin natychmiast odpowiedział działaniami odwetowymi. Wśród nich znalazła się zapowiedź zaostrzenia kontroli nad eksportem siedmiu rodzajów metali ziem rzadkich. Chodzi o samar, gadolin, terb, dysproz, lutet, skand i itr.

Ograniczenie dostępu do tych metali grozi poważnymi perturbacjami dla zachodniej branży zaawansowanych technologii – od elektroniki i samochodów elektrycznych po produkcję broni. Zachód nie jest w stanie zapewnić sobie w najbliższym czasie alternatywnych źródeł poszukiwanych pierwiastków, ponieważ według danych US Geological Survey Chiny kontrolują prawie 70 proc. światowej produkcji metali ziem rzadkich. Jak zaznacza agencja Bloomberg, chińska kontrola nad wieloma niszowymi towarami od dawna jest postrzegana jako potencjalna broń geopolityczna, zwłaszcza że Ameryka jest dziś uzależniona od dostaw z Chin.

Analogia do ropy naftowej poczyniona 33 lata temu przez Denga świadczy o tym, że Pekin docenił siłę, jaką w polityce międzynarodowej stanowi szantaż surowcowy. I nie chodzi tu tylko o kartel państw OPEC, który w 1973 r. w ramach retorsji za wojnę Jom Kippur doprowadził do kryzysu naftowego na Zachodzie, lecz także o sowiecką strategię przykręcania kurka z gazem i ropą naftową, której bardzo obawialiśmy się w PRL i która później, już po upadku komunizmu, nie pozwalała nam całkiem zerwać się z rosyjskiej smyczy.

Dziś taką ropą naftową stały się metale ziem rzadkich i inne poszukiwane surowce, bez których Zachód nie może myśleć o jakiejkolwiek przewadze technologicznej, gospodarczej czy militarnej. Chiny są obecnie pierwszym producentem 28 surowców niezbędnych rozwiniętej gospodarce, często z udziałem w rynku przekraczającym 50 proc. Problem w tym, że ich dostępność w dużej mierze zależy od dobrej woli Pekinu, a ten nie dzieli się nimi za darmo. Embargo na dostawy metali ziem rzadkich, „przykręcanie kurka" z życiodajnymi surowcami, od dawna jest stałym elementem chińskiej strategii. W ciągu ostatnich dwóch lat w obliczu rosnących napięć handlowych Pekin wprowadził już podobne ograniczenia na inne kluczowe minerały, takie jak gal, german, grafit i antymon. Chińscy eksporterzy nie dostają państwowych zezwoleń na ich eksport, co doprowadziło do gwałtownego spadku podaży tych surowców i wywindowało ich ceny w kosmos. Tymczasem zachodnia gospodarka nie może się rozwijać bez dostępu do rzadkich minerałów.

Być może ta historia potoczyłaby się inaczej, gdyby nie pazerność i krótkowzroczność zachodnich elit, które w pogoni za pieniędzmi i opętane absurdalnymi ideologiami oddały swoje najcenniejsze aktywa w ręce geopolitycznych rywali. Teraz się to mści.

Surowce nowej epoki

Źródłem potęgi państwa od wieków jest m.in. kontrola nad surowcami i źródłami energii. W ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat przywykliśmy do tego, że ten, kto panuje nad złożami ropy naftowej, gazu ziemnego czy jeszcze do niedawna węgla, ten zazwyczaj jest bogaty i silny.

Oparcie gospodarki najpierw na węglu, a w XX stuleciu również na ropie i gazie wywołało drugą rewolucję przemysłową i po wielu perturbacjach ukształtowało współczesny porządek światowy. Jednak dziś w związku

epraasa.pl efe16954bb

z rozwojem technologii cyfrowych i coraz bardziej restrykcyjną polityką klimatyczną epoka węgla jako głównego źródła energii zbliża się ku końcowi. Wkrótce podobny los będzie czekać ropę naftową i zapewne gaz ziemny. Oczy wielkich koncernów wydobywczych, które zarabiały miliardy dolarów na pompowaniu ropy czy kopaniu węgla, są już skierowane ku innym surowcom. Ten, kto przejmie nad nimi kontrolę, może liczyć na wielkie zyski i wpływy. Nadeszła trzecia rewolucja przemysłowa.

Do czasów nowożytnych ludzkość wykorzystywała zaledwie siedem pierwiastków, w XX stulecie weszliśmy z dziesięcioma, a potem ich liczba zaczęła gwałtownie rosnąć: od 20 w latach 70. do niemal wszystkich 86, które znajdują się na tablicy Mendelejewa.

W tej chwili najbardziej poszukiwane są metale nieżelazne (np. miedź i aluminium) oraz drogie metale szlachetne i tzw. metale rzadkie. Metale szlachetne

ZASTOSOWANIE PRZEMYSŁOWE SUROWCÓW RZADKICH

Antymon
Środek zmniejszający palność (dodatek do plastiku), kataliza polietylenu

Baryt
Płuczki wiertnicze ciekłe i gazowe, przemysł szklarski, ochrona radiologiczna, medycyna, metalurgia, pirotechnika

Beryl
Telekomunikacja i elektronika, przemysł lotniczy i kosmonautyczny, przemysł jądrowy cywilny i wojskowy

Bizmut
Generatory termoelektryczne (samochody) nadprzewodniki wysokotemperaturowe, bezołowiowe stopy lutownicze

Kobalt
Telefony komórkowe, komputery, samochody hybrydowe, magnesy

Koks
Metalurgia

Fluoryt
Produkcja kwasu fluorowodorowego, produkcja stali i aluminium, ceramika, optyka

Gal
Półprzewodniki, oświetlenie diodami fotoluminescencyjnymi

German
Fotowoltaika, światłowody, kataliza, urządzenia optyczne na podczerwień

Ind
Czipy elektroniczne, ekrany LCD

Magnez
Stopy aluminium

Grafit
Pojazdy elektryczne, przemysł lotniczy, kosmonautyczny, jądrowy

Niob
Satelity, pojazdy elektryczne, przemysł jądrowy, jubilerstwo

Krzem metalowy
Układy scalone, panele fotowoltaiczne, izolatory elektryczne

Tantal
Miniaturowe kondensatory, nadstopy

Wolfram
Narzędzia tnące, osłony, elektrody lamp elektronowych i rentgenowskich

Wanad
Stale specjalne, przemysł kosmonautyczny, kataliza

Platynowce (ruten, rod, pallad, osm, iryd, platyna)
Katalizatory, jubilerstwo

Metale ziem rzadkich
Magnesy trwałe, samochody elektryczne, turbiny wiatrowe, kolej TGV, skanery medyczne, smartfony, komputery, dyski twarde, lasery, światłowody, luminofory w ekranach, zabezpieczenia bankowości, kataliza

Fot. Shutterstock

eprasa.pl efe10364bb

to metale odporne chemiczne, a więc słabo reagujące z innymi pierwiastkami i substancjami. Do najbardziej znanych należą oczywiście złoto i srebro, ale są wśród nich także coraz bardziej poszukiwane pallad, iryd czy rod.

Przykładowo rod, używany m.in. w przemyśle optycznym, znajduje się dziś w czołówce najdroższych surowców świata. Jego cena za kilogram przekracza bowiem 2 mln zł. Tańszy, choć również piekielnie drogi, jest iryd – jeden z najtwardszych znanych metali. Iryd, który dotarł na Ziemię wraz z asteroidami rozbijającymi się w przeszłości o powierzchnię naszej planety, należy jednocześnie do najrzadziej spotykanych metali. Jak się oblicza, na świecie jest 10 razy więcej platyny, 40 razy więcej złota i aż 80 razy więcej srebra. W 2019 r. na świecie pozyskano zaledwie 6860 kg irydu, głównie poprzez przemysłowe przetwórstwo miedzi i niklu. Nic więc dziwnego, że cena kilograma tego szlachetnego metalu przekracza dziś 652 tys. zł. Z irydu produkuje się m.in. wysokiej jakości kryształy wykorzystywane przy produkcji pamięci komputerowej, lasery oraz diody LED. Ma on również zastosowanie jako utwardzacz wszelkich materiałów, w tym odpornych na korozję rur głębinowych oraz elementów silników samochodowych. Zasoby irydu (bo trudno tu mówić o złożach) znajdują się w Ameryce, RPA, Rosji i Australii.

Do drogich i poszukiwanych metali szlachetnych należy również pallad. Dziś jego cena waha się w granicach 116 tys. zł za kilogram. Pallad to przypominający platynę metal szlachetny, który pozyskuje się najczęściej w procesie rafinacji rud niklu, miedzi lub cynku. Stosuje się go w produkcji katalizatorów samochodowych i ogniw paliwowych, a w branży elektronicznej – do produkcji kondensatorów i układów scalonych. Strategiczne złoża palladu znajdują się w północno-zachodniej Rosji. Szacuje się, że ten kraj odpowiada za ok. 44 proc. światowego wydobycia tego metalu. Rosja jako jedyne państwo posiada również jego rezerwy. Na drugim miejscu znajduje się Republika Południowej Afryki – jej udział w wydobyciu tego surowca wynosi ok. 40 proc.

17 rzadkich metali

Do rodziny metali rzadkich należy 17 pierwiastków o niekiedy bardzo dziwnie brzmiących nazwach: skand, itr, lantan, cer, prazeodym, neodym, samar, europ, gadolin, terb, dysproz, holm, erb, tul, iterb, lutet i promet.

Niektóre z nich znano już w XVIII stuleciu, ale nie odgrywały większej roli w obiegu gospodarczym. Nie budziły większego zainteresowania nie tylko dlatego, że nie widziano dla nich zastosowania, lecz także z tego powodu, że zazwyczaj nie występowały w zwartych złożach i trzeba je było pozyskiwać (niekiedy po dużych kosztach) podczas różnych ubocznych procesów technologicznych.

> Zachodnie firmy technologiczne musiały wybierać: albo przeniosą produkcję wraz z technologiami do Chin, albo zostaną wyeliminowane z rynku. Większość z nich wybrała to pierwsze rozwiązanie

Popyt na metale rzadkie pojawił się wraz z rozwojem silników elektrycznych, a konkretnie po odkryciu ich fenomenalnych właściwości magnetycznych, dzięki którym można było zbudować lekkie i zarazem supermocne magnesy. Jak pisze Guillaume Pitron, autor książki „Wojna o metale rzadkie", dla silnika elektrycznego magnes jest tym, czym dla silnika parowego i spalinowego są tłoki – zamienia energię w ruch.

Wcześniejsze magnesy wytwarzane z ferrytu miały kiepski stosunek masy do mocy, ich siła rosła bowiem wraz z rozmiarami, co było bardzo niepraktyczne. Silnik wyposażony w tak wielki elektromagnes musiał być bardzo ciężki, a jego masa pochłaniała ogromną część wytworzonej energii. Tymczasem elektromagnesy zbudowane z metali rzadkich były miniaturowe i zarazem bardzo silne. Ich zastosowanie zrewolucjonizowało wiele branż przemysłu, od motoryzacji i produkcji zaawansowanej broni poczynając, na elektronice użytkowej kończąc. Doprowadziło także do gwałtownego rozwoju telekomunikacji – nie tylko dzięki smartfonom (przypominające cegłę pierwsze telefony komórkowe miały jeszcze magnesy z ferrytu), lecz także chmarom satelitów wysyłanych co roku w przestrzeń kosmiczną. Nic więc dziwnego, że w latach 70. XX stulecia zainteresowanie metalami rzadkimi zaczęło wzrastać.

Już wtedy zauważono, że metale rzadkie przydają się nie tylko w silnikach elektrycznych. Odkryto bowiem ich doskonałe właściwości przewodzenia prądu, co zostało wykorzystane w półprzewodnikach i stało się motorem napędowym rewolucji cyfrowej. W kolejnych latach znajdowano nowe zastosowania metali rzadkich: w przemyśle optycznym, chemicznym i przede wszystkim w tzw. zielonej transformacji. Bez tych pierwiastków trudno sobie bowiem wyobrazić nie tylko samochód elektryczny, lecz także turbinę wiatrową czy panel fotowoltaiczny.

Brudna robota

Dość trudno jest wskazać konkretne złoża metali rzadkich. Problem ten bierze się stąd, że występują niemal wszędzie, tyle że najczęściej w śladowych ilościach. Są jednak miejsca, gdzie odzyskuje się je przy okazji eksploatacji innych surowców. Według amerykańskiej agencji US Geological Survey większość metali rzadkich pozyskuje się dzisiaj w Chinach.

Stało się to możliwe nie tylko dlatego, że Deng Xiaoping szybko zrozumiał strategiczne znaczenie tych pierwiastków i wykorzystując tanią siłę roboczą, postanowił zbudować chiński monopol na ich wydobycie. Dużą rolę w jego budowaniu odegrał również fakt, że proces

epresa.pl efe16954bb

GŁÓWNI PRODUCENCI SUROWCÓW ZIEM RZADKICH

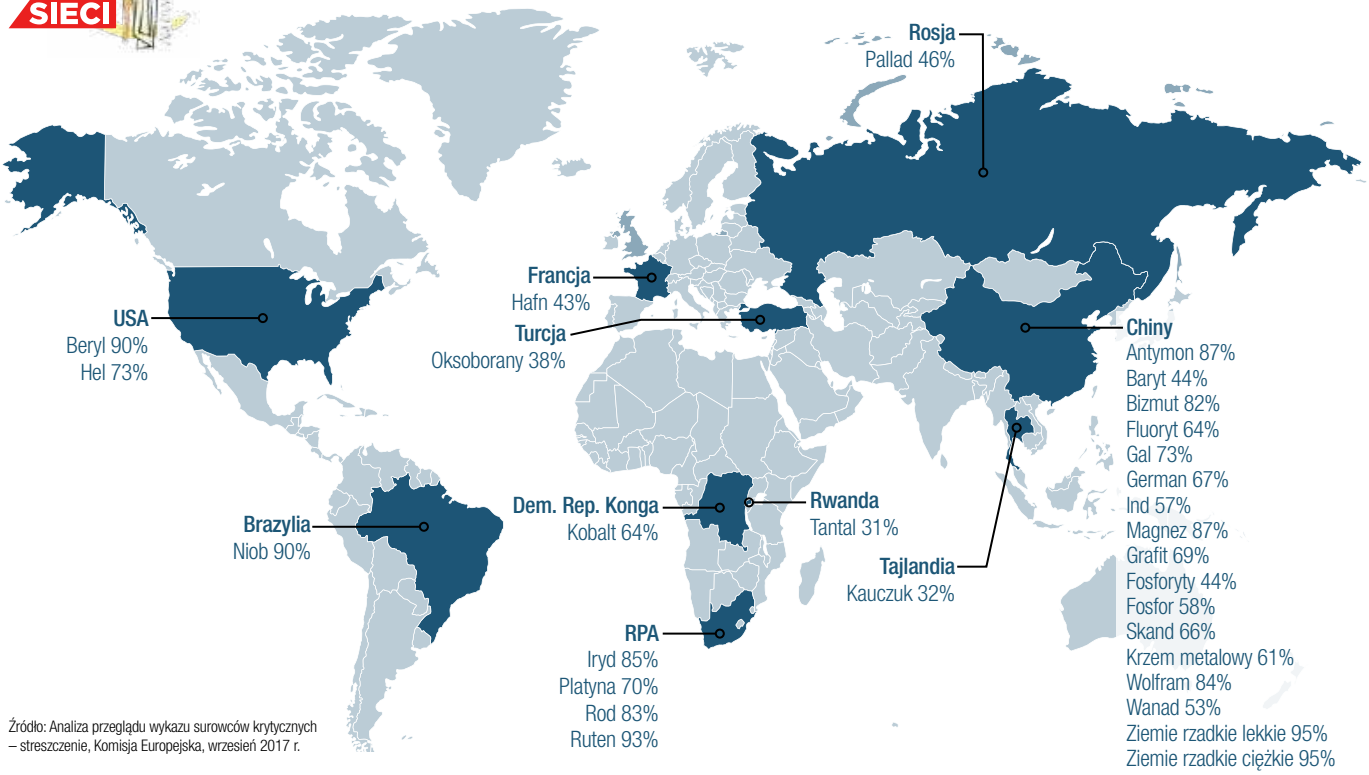

Źródło: Analiza przeglądu wykazu surowców krytycznych – streszczenie, Komisja Europejska, wrzesień 2017 r.

pozyskiwania metali rzadkich jest niesłychanie szkodliwy dla środowiska naturalnego. Gdy Chiny zaproponowały, że wezmą tę „brudną robotę" na siebie, przystano na to z wielkim entuzjazmem. Zachód nie zdawał sobie jeszcze sprawy z tego, że w ten sposób wpadł w pułapkę zastawioną przez Pekin.

Chińczycy nie przejmowali się takimi detalami, jak ochrona środowiska. Stawka była znacznie wyższa. Grali przecież o światowy prymat. Uruchomiono więc wydobycie.

Metale rzadkie i szlachetne są wymieszane w skałach z innymi minerałami i aby je pozyskać, trzeba użyć żrących substancji chemicznych. Obliczono, że aby otrzymać 1 kg wanadu, należy oczyścić 8,5 t skały, 1 kg ceru – 16 t, 1 kg galu – 50 t, a 1 kg lutetu – aż 1,2 tys. t (!). Co więcej, oczyszczenie każdej tony skały, z której pozyskuje się drobiny metali rzadkich, wymaga zużycia co najmniej 200 m^3 wody, która zanieczyszczona kwasami, rozpuszczalnikami i innymi toksynami trafia zazwyczaj do pobliskiej rzeki lub przenika do wód gruntowych.

Wioski w prowincji Jiangxi, gdzie do dziś trwa eksploatacja cennych metali, nazwano po pewnym czasie wioskami raka, bo liczba nowotworów wśród tamtejszych mieszkańców zdecydowanie przewyższała krajową średnią. Nic dziwnego, skoro okoliczna ziemia przyjęła ogromne ilości kwasu siarkowego i solnego, a stężenie promieniotwórczego toru przekraczało normę kilkadziesiąt razy.

Podobnie jest w wielu innych kopalniach metali szlachetnych rozrzuconych po całym świecie, głównie w Afryce, gdzie znajdują się słynne złoża kobaltu w Kongo.

Chiński podstęp

Wielkie koszty społeczne i środowiskowe, które poniosły Chiny, strategicznie im się opłaciły. Gdy w pierwszej dekadzie obecnego stulecia Państwo Środka zdobyło monopol na wydobycie i rafinację poszukiwanych metali, nadszedł czas na kolejny krok, czyli przejęcie zachodniego przemysłu i pozyskanie w ten sposób zaawansowanych technologii.

Aby to osiągnąć, Pekin posłużył się podstępem – po prostu sztucznie ograniczono podaż cennych metali na światowym rynku. Pełny dostęp do surowców był możliwy tylko w Chinach. Amerykańskie, europejskie i japońskie firmy technologiczne musiały więc wybierać: albo przeniosą produkcję wraz z technologiami do Chin, albo zostaną wyeliminowane z rynku. Jak można się łatwo domyśleć, większość z nich wybrała to pierwsze rozwiązanie.

W ten sposób Chiny przejęły produkcję najbardziej zaawansowanych technologii (w tym militarnych), a po jakimś czasie adaptowały ją we własnych firmach. To dlatego z podwykonawcy obcych koncernów oraz dostawcy lodówek, zabawek i wszelakiego badziewia przeistoczyły się w producenta aut elektrycznych, turbin wiatrowych, samolotów bojowych najnowszej generacji, szybkich pociągów, satelitów, rakiet, superkomputerów oraz wielkiego budowniczego najbardziej imponujących mostów i wieżowców. W dużym stopniu zawdzięczają ten błyskawiczny postęp kontroli nad największym bogactwem dzisiejszych czasów, jakim są metale rzadkie.

Zachód zrozumiał już swój błąd, ale odzyskanie palmy pierwszeństwa będzie bardzo trudne, o ile w ogóle możliwe w przewidywalnej przyszłości. Amerykanie szukają alternatywy dla chińskich dostaw, stąd ich pomysły z wydobyciem metali rzadkich na Ukrainie czy rozpoczęciem eksploatacji cennych surowców na Księżycu. Nie byłoby jednak tych księżycowych koncepcji, gdyby 30 lat temu żądza zysku i zielona ideologia nie odebrała zachodnim elitom rozumu.

eprasa.pl efe10364bb

Proch i popiół,
czyli lato w Wenecji

Współczesna Wenecja jest miejscem, w którym dojmująco można odczuć nie tyle śmierć samego miasta, ile umieranie wielkiej kultury Zachodu

JAN ROKITA

W Wenecji ludzi zaczyna przybywać około połowy lipca, przed świętem Il Redentore. Wówczas poza wczesnym rankiem najlepiej unikać głównych ulic i nabrzeża laguny. Jeszcze w połowie miesiąca bywa do zniesienia, a turystycznej gawiedzi jest tyle co latem w Krakowie, czasem tylko w jakiejś wąskiej uliczce albo przy wsiadaniu do vaporetto można się nadziać na korek.

Lecz kiedy w połowie lipca temperatura w ciągu dnia przestaje spadać poniżej 40 st., to już zbyt wiele nawet jak na moje zamiłowanie do upału. Nad laguną wytwarza się wówczas niebieska mgiełka, nawet ładnie to wygląda i czyni tutejszy il paesaggio nieco impresjonistycznym. Widziałem coś takiego w weneckiej Akademii na świetlistym obrazie Giovanniego Belliniego „Najświętsza Maryja Panna między Janem Chrzcicielem i świętą", na którym weduta miasta w tle świętych postaci jest spowita właśnie ową mgłą bladoniebieskiego upału.

Majtki murzyna, czyli regres cywilizacyjny

To właśnie wtedy do miasta najliczniej przybywają dobrze sytuowani Amerykanie i Moskale. Ci ostatni wyróżniają się na weneckich ulicach czymś charakterystycznym, co nazwałbym nadmiernym nasyceniem: trochę napuchnięci, zwaliści, z reguły śmiesznie brzuchaci; kobiety obwisłe, a mężczyźni półnadzy, o niesmacznie różowej fakturze, z reguły ubrani w kolorowe majtki. Zresztą Wenecja jest miejscem, w którym za sprawą wszechogarniającej turystyki dotkliwie obserwuję pewien rodzaj gatunkowego samoupokorzenia mężczyzn. Dlaczego?

Jeśli odrzesz mężczyznę z tradycyjnego stroju, wdziejesz mu zapocony t-shirt, majtki Murzyna z Jamajki i zdegradowane klapki na stopy, a na dodatek zredukujesz jego funkcje związane z cywilizacją do nieustannego robienia zdjęć (jedną ręką) i lizania lodów (trzymanych w drugiej), po czym pomnożysz ten obrazek tysiąckrotnie, a w końcu ustawisz tak skonstruowane teatrum w scenografii najbardziej sztywnego, sformalizowanego, nasyconego sztuką, formą i konwenansem miasta na świecie, efekt jest naprawdę porażający.

Wszędzie rozlega się charakterystyczne szu, szu, klik, klik, wydawane na kamiennym bruku przez tysiączne nogi, obute (to oczywiście nieadekwatne słowo) w plażowe klapki. Część tej publiczności wparowuje do muzeów (całe szczęście tylko do nielicznych, większość jest pusta), więc i tam na marmurowych posadzkach słyszę owo koszmarne szu, szu, klik, klik znamionujące cywilizacyjny regres. Po czym zza rogu sali wyłania się przewodnik stada przybrany w majtki i klapki, z komórką w ręku, kobietą i dziećmi, i przed kolejnym Tycjanem albo Tintorettem słychać zwielokrotniony cichy odgłos ich zbiorowego ziewania.

Nigdzie nie widziałem czegoś takiego: w weneckich muzeach ludzie przede wszystkim ziewają! Zacząłem obserwować pod tym kątem wycieczki. Trudno uwierzyć, ale w kościołach i muzeach nie ziewają tylko Azjaci. Moskale, Amerykanie, Europejczycy – ziewają wszyscy, niezależnie od wieku i ceny biletu, oraz, co zdumiewające, nikt już, ziewając, nie zakrywa ręką ust (czego od dziecka wymagano ode mnie w domu). W Wenecji masowa turystyka uświadamia człowiekowi rozlazłą kondycję naszych społeczeństw. Ukazuje zwłaszcza mężczyzn wyjętych z kontekstu ich biur, firm, samochodów, komputerów, garniturów, zebrań, zredukowanych do formy „nagiego życia" dramatycznie skontrastowanej ze starą, piękną i sztywną Wenecją. Unaocznia, jakim ryzykiem jest demokracja i pozwala pojąć przezorność dawnej Republiki, która skazała na śmierć i ścięła toporem na Schodach Gigantów jedynego dożę w całej swej tysiącletniej historii – Marina Faliero, uznając za zdradę stanu jego próbę zaprowadzenia w mieście demokratycznych rządów.

Wenecja jest miastem formy bardziej niż jakikolwiek inny zachodni ośrodek. Świetny pisarz i podróżnik Paweł Muratow uważał, że „artystycznym nerwem życia weneckiego" jest maska, która w XVIII w. stała się tu instytucją państwową. W ciągu trwającego niegdyś przez pół roku karnawału, w święta państwowe, w czas wyboru doży ludzie niezależnie od stanu poruszali się po mieście w maskach, co musiało je przekształcać w jakiś teatr niebywałych rozmiarów. A niektórzy wychodzili z domu w kompletnych weneckich bautach, jeszcze dziś kojarzących się z Don Giovannim albo Casanovą, które składały się z trójkątnej białej maski oraz czarnego płaszcza z koronkową peleryną. Widać to na uroczych obyczajowych obrazkach Pietra Longhiego z tamtego czasu.

Więc niejako w prywatnym proteście przeciw współczesnej atrofii formy zawsze chodzę tu co prawda nie w weneckiej masce, ale przynajmniej w białej koszuli, długich spodniach i skórzanych, mocno stukających o bruk butach.

Bez polityki nie ma weneckiej sztuki

Przyznam, że nie jestem wielbicielem weneckiej sztuki, bo jest ona, tak zresztą jak cała kultura dawnej Republiki, nadto społeczna, zsocjalizowana, ba – upaństwowiona. Na okazałych płótnach Veronesego symboliczna figura Wenecji pozostaje nieodróżnialna od postaci Najświętszej Panny Maryi: te same bogate suknie, niebiańskie chóry, złote trony i świetliste chmury, na których się unosi. Veronese ma wyobraźnię bardziej mityczną niźli religijną, toteż jego najlepsze obrazy są przedstawieniami scen politycznych, takich jak „Hołd, który Wenecji składają Sprawiedliwość i Pokój" albo „Junona obdarzająca koroną Wenecję". Kiedy maluje Zwiastowanie, jest to perfekcyjny obraz renesansowej architektury, a gdy zabiera się za „Mistyczne zaślubiny św. Katarzyny" albo „Ucztę u Szymona", tworzy prześwietne sceny wielkich celebracji, które były przecież nieodłączną częścią państwowej obrzędowości Najjaśniejszej Republiki.

Inaczej u Tintoretta, który jest malarzem prawdziwie religijnym, a jego wielkie rozmiarami „Ukrzyżowanie" w Scuola Grande di San Rocco wbija człowieka w ziemię i wstrząsa wnętrznościami. Po części przez epicką moc samej opowieści: to niesamowite teatrum zabijania oglądane przez Żydów spod jakiegoś pagórka jak z teatralnej widowni. Ale jeszcze bardziej przez otwarcie na boskość, tak że patrząc na tę scenę, ma się wrażenie innej obecności. Ale właśnie dlatego, kiedy w Sali Senatu Tintoretto (obywatelska powinność!) maluje plafon z apoteozą Wenecji jako potęgi morskiej, to dopóki człowiek się nie zdziwi, czemu aniołowie nie mają skrzydeł, dopóty nie pojmie, iż nie stoi pod świetnym przestawieniem Wniebowzięcia, ale pod dziełem o czysto politycznej treści.

Jeszcze wyraźniejszy pod tym względem jest Carpaccio, liryczny, wzruszający, ale najbardziej z nich wszystkich wenecki – właśnie w tym, że Bóg i cud objawiają się tu tylko w miejskim, politycznym kontekście. Jeśli więc opętany człowiek zostaje uwolniony od złych mocy dzięki relikwiom Krzyża, stanie się to w galerii handlowej przy moście Rialto pod okiem licznych patrycjuszy i królowej Cypru z jej damami dworu. Zresztą owa królowa Cypru to wszechobecna figura w tutejszej sztuce, z charakterystyczną dla Wenecji własną historią. Była to bowiem miejscowa patrycjuszka, której wenecka dyplomacja zorganizowała małżeństwo z królem Cypru, by go zamordować, inkorporować wyspę, a królową czcić za jej niemożliwe do wypowiedzenia poświęcenie – czyli pomoc w zabiciu męża dla pomyślności lewantyńskiego handlu.

Bez polityki nie ma weneckiej sztuki. Mało jest w niej poruszeń uczuć czy po-

eprasa.pl efe103964bb

dmuchów czułości, dominuje państwowa celebracja i dostojeństwo podniesione do rangi religijnej. Dlatego Wenecja jest trochę jak Ameryka: jej obywatele tworzą najpierw wspólnotę polityczną i dopiero w niej pojawia się między nimi wszystko, co wysokie, a w końcu także Bóg. Z weneckiej sztuki tchnie republikański duch Cycerona. Choć oczywiście są wyjątki, choćby wspomniany już Tintoretto, którego kilka wersji ostatniej wieczerzy (z tą najdziwniejszą i wstrząsającą z kościoła San Polo) silnie działa na moją wyobraźnię religijną.

No i całkiem niepolityczne są Madonny Belliniego. Malarz czasem ociera się o religijną ckliwość, tak śliczno-uduchowione bywają te jego Madonny, ale jest kilka takich, których doskonałości w sztuce europejskiej mało kto osiągnął. Ilekroć patrzę np. w Akademii na Madonnę degli Alberetti – piękną, marmurowo chłodną, ze spokojną powagą traktującą swój udział w dziele zbawienia, wyobrażam sobie, iż z radością modliłbym się przed tym wizerunkiem, gdyby wisiał nad moim łóżkiem. Jeszcze inna historia weneckiego malarstwa to Tycjan, którego większość dzieł jest poza Wenecją i była malowana dla obcych władców, głównie hiszpańskich Habsburgów.

Ale nie to zmienia faktu, że słynne Wniebowzięcie z głównego ołtarza kościoła dei Frari jest prawdziwie religijnym, a nie politycznym symbolem miasta. A Jan Chrzciciel z Akademii to najlepsze ze znanej mi co najmniej setki malarskich wyobrażeń mojego patrona. Święty o atletycznej budowie lewą ręką podtrzymuje skórę, a prawą czyni gest przyzywający kogoś. Coś? Inaczej niż w tradycyjnej ikonografii, gdzie zawsze wprost wskazuje palcem na Jezusa. Najważniejszy w tym obrazie jest wzrok podążający za prawą ręką. Jan Chrzciciel to ktoś, kto widzi, gdy inni są jeszcze ślepi. Widzi i przyzywa. Tłem jest błękit nieba wpadający już w kolor morza. Na tym właśnie polega istota dzieła sztuki, że otwiera człowieka na tajemnicę.

Międzynarodówka hochsztaplerów

Mój Boże! W te upały moim ulubionym miejscem stała się chłodna Akademia, niewątpliwie jedno z najciekawszych muzeów świata. Tak, podziwiam weneckich mistrzów i Republikę, trudno byłoby mi wszakże pokochać ich i ją. Tym bardziej że we współczesnej Wenecji sztuka wyzwala we mnie także inny rodzaj uczucia. Jest nim gniew.

W lecie współczesna Wenecja jest bowiem zalana pseudoartystycznym chłamem związanym z tutejszym sławetnym biennale. Kiedy idziesz ulicą, kolejne reklamy próbują wciągnąć cię do mniej więcej co trzeciego pałacu pod pretekstem jakiejś wystawy albo artystycznego happeningu.

A kiedy już wejdziesz, w wielkich pałacowych salach zobaczysz stosy kartek, które wchodząc, należy drzeć i rzucać na podłogę albo tzw. kuratorzy każą ci się przejść wokół góry plastikowych butelek (tak swego czasu wyglądał pawilon hiszpański na biennale). A najczęściej przy zakrytych brudnymi szmatami oknach masz oglądać jakichś infantylnych ludzi gadających z monitorów w różnych językach, że żyją źle i w niczym nie widzą żadnego sensu. Latem w Wenecji są setki takich galerii, pokazów, wystaw czy jak zwać te kurioza. A tysiące ludzi urządza te ekspozycje, pilnuje ich, promuje. Zagadnięci informują, że tylko najwybitniejsi artyści mają szansę się tu pokazać, bo każdy wielki artysta musi coś wystawić w Wenecji.

> Za sprawą wszechogarniającej turystyki dotkliwie obserwuję w Wenecji pewien rodzaj gatunkowego samoupokorzenia mężczyzn

Któregoś roku poszedłem obejrzeć polski pawilon na biennale. To były dwa dzwony kościelne ustawione w wielkiej sali i głośnik z odgłosem ich bicia. Pawilon urządził jakiś największy polski artysta, podpisany był minister kultury, który dał sowitą dotację. Ale zwiedzający lud się zbiesił. Dźwięk dzwonów z głośnika straszył dzieci i szefostwo biennale kazało wyłączyć głośnik. Więc tylko stały dwa dzwony, a na ulotce było napisane, że mają bić.

To wszystko budzi gniew u normalnego człowieka, bo stanowi przecież obraz świata trzymanego w ręku przez oszustów i hochsztaplerów. Na ulotkach w pałacach i galeriach w różnych językach zawsze jest napisane to samo: że świat jest zły, tylko jest to ujęte w język jakiejś zidiociałej pseudofilozofii. A w istocie świat byłby trochę lepszy, gdyby ktoś odebrał publiczne pieniądze tej międzynarodówce hochsztaplerów i na oczach publiczności rozwalił te ich wytwory.

Od co najmniej dwóch wieków, odkąd tyran Bonaparte zniszczył starą Republikę, porozwalał tu kościoły, zdewastował klasztory i kazał rozstrzeliwać tych, którzy nie chcieli tańczyć pod rewolucyjnym „drzewem wolności" na pl. św. Marka, zwykło się pisać o Wenecji jako o mieście umierania. Sławne opowiadanie Manna i wysmakowany film Viscontiego są arcydziełami tej weneckiej nowoczesnej *ars moriendi*. Zapewne przyczynia się do tego powoli zatapiająca miasto woda. Ale współczesna Wenecja zwłaszcza latem jest miejscem, w którym dojmująco można odczuć nie tyle śmierć samego miasta, ile umieranie wielkiej kultury Zachodu.

„Dust and ashes, dead and done with,
Venice spent what Venice earned.
The soul, doubtless, is immortal
– where a soul can be discerned".

Podoba mi się rytm tego dwuwiersza napisanego przez cenionego tu angielskiego poetę Roberta Browninga, który mieszkał nad kanałem w barokowym Ca' Rezzonico. Proch i popiół. Symbolem takiej Wenecji wydał mi się widok, który parę lat temu miał służyć promocji weneckiego biennale. Przed najczystszą palladyjską formą białej fasady kościoła San Giorgio Maggiore z istryjskiego kamienia tutejsi włodarze i spece od promocji miasta ustawili tej samej wielkości dmuchaną liliową (ulubiony kolor Tintoretta) babę z obwisłymi piersiami sięgającymi kapiteli kolumn i kikutami okaleczonych grubych nóg. I nie było takiego miejsca wokół laguny, z którego owa gigantyczna i straszna wenecka weduta nie byłaby widoczna.

epresa.pl efe16954bb

Miłość to świadoma decyzja

Agere Contra jest wyjątkowym miejscem na mapie Warszawy. To kawiarnia nawiązująca do duchowości św. Ignacego Loyoli. Oprócz wyśmienitych domowych wypieków, aromatycznej kawy, śniadań i obiadów gospodarze organizują tu także panele dyskusyjne na ważne tematy, spotkania z ciekawymi gośćmi, promocje książek czy kameralne koncerty. To również miejsce znane ze spotkań chrześcijańskich singli. Dzięki właścicielowi kawiarni Tomaszowi Sztrekerowi już 3 tys. osób poznało swoją drugą połowę i ułożyło sobie życie

Z Tomaszem Sztrekerem rozmawia Dorota Łosiewicz

Książka „Koniec bycia singlem", która ukazała się w tym roku, to podsumowanie wielu lat pana działalności na rzecz budowania trwałych relacji. Własnej i innych. Jak to się zaczęło?

Tomasz Sztreker: To trwa już ponad 10 lat. W tym czasie udało mi się pomóc w zejściu się 3 tys. osób, czyli 1,5 tys. par. Dokładniej tyle par wzięło ślub. Wszystko zaczęło się od tego, że sam chciałem znaleźć żonę i robiłem wszystko, żeby trafić na tę właściwą osobę. Chodziłem na imprezy, różne spotkania. Nawet poznawałem dziewczyny, podobały mi się, umawialiśmy się, ale błyskawicznie okazywało się, że jesteśmy z różnych światów, mamy inne wartości i nic z tego nie będzie. Raz powiedziałem do mojego przyjaciela: „Słuchaj, gdyby była taka impreza, na której są same singielki i w dodatku wszystkie wierzące, to byłaby inna rozmowa". Zacząłem działać, założyłem fanpage'a, rozesłałem informację do znajomych, planowane wydarzenie opisała jedna z gazet, przez co poniosło się bardzo szeroko. Po czterech godzinach zapisało się 500 osób i ponad 500 przyszło na spotkanie.

Wtedy nie było jeszcze Agere Contra?

Nie, zorganizowałem to w warszawskim klubie „Odessa" przy ul. Kolejowej. Tam odbyło się jeszcze ok. 10 spotkań chrześcijańskich singli. Kolejne były organizowane w różnych miejscach w całej Polsce, m.in. w Krakowie, Poznaniu, Gdańsku, a Agere Contra powstało sześć lat temu i teraz działamy tutaj. Wiedza o spotkaniach roznosiła się najpierw pocztą pantoflową, wśród znajomych, m.in. ludzi, których znałem z przedsięwzięcia „Wiara w biznesie". Dane statystyczne pokazują, że aż 30 proc. osób, które się u nas pojawiają się, zaczyna randkować już od pierwszego spotkania. Dziś organizujemy dwa, trzy spotkania tygodniowo. Mają bardzo różny charakter. Są warsztaty przy kawie i ciastku, są szybkie randki. Spotyka się na nich kilkanaście kobiet i mężczyzn, którzy siadają naprzeciwko siebie. Mają 5–10 min, aby się poznać. Po ich upływie zmieniają miejsce i zaczynają rozmowę z kolejną osobą. Na koniec uczestnicy otrzymują kwestionariusze, na których zaznaczają, czy chcieliby kontynuować znajomość z danym rozmówcą. Jeśli dwie osoby wybiorą siebie nawzajem, przekazujemy im kontakt. Różnica jest taka, że to „chrześcijański speed dating", a na nasze spotkania przychodzą ludzie, którzy otwarcie głoszą swoje przywiązanie do wartości wypływających z wiary w Boga i zapisanych w Piśmie Świętym. Uważam, że wspólne wartości są tym, co pozwala najlepiej scementować relacje między ludźmi. Mamy też planszówki dla chrześcijańskich singli, spotkania kreatywne przy winie z rysowaniem, są wspólnie przygotowywane śniadania, mamy portal, reko-

eprasa.pl efe103964bb

lekcje, wspólne wyjazdy, imprezy. Chodzi o to, żeby jak najszybciej wyciągnąć ludzi z samotności, dać im szansę poznania z osobą, która podziela te same wartości, chce budować na tym samym fundamencie. Każda forma daje możliwość poznania się w okolicznościach, które najbardziej odpowiadają tym osobom. Rozmawiała pani z dwoma „naszymi" parami i wie, że Marek i Justyna poznali się przy ciastku i kawie, a Mariusz i Judyta na dyskotece.

> Spotkania chrześcijańskich singli, podczas których udało się do tej pory skojarzyć 1,5 tys. par, mają bardzo różny charakter. Są warsztaty przy kawie i ciastku, są szybkie randki, planszówki

W książce „Koniec bycia singlem" demaskuje pan największe kłamstwa o miłości, które niszczą relacje, obala lewicowe antyideały, pokazując, że miłość to nie przypadek, ale świadoma praca nad sobą i związkiem.

To, o czym mówię, u ludzi, którzy nie żyją na co dzień tymi wartościami, często powoduje ogromny bunt. M.in. dlatego zostałem zakrzyczany przez Katarzynę Dowbor w „Pytaniu ma śniadanie". Pierwszym punktem dla każdego z nas jest określenie prawdy. Czy prawda jest tylko we mnie i jest subiektywna, czy w świecie istnieje prawda obiektywna, którą trzeba odkryć? Osoby wierzące wiedzą, że istnieje prawda obiektywna, którą trzeba odkryć. Według św. Tomasza pokora oznacza, że musimy być gotowi, by dokonać zmiany także w sobie, jeśli żyjemy wbrew prawdzie. Wszystko, co następuje dalej, wynika właśnie z tego.

Czyli?

Pierwsza sprawa to zrozumienie różnicy między emocjami i uczuciami. Często stawiamy na emocje, czyli chwilowe doznania, zamiast na świadomy wybór, czyli uczucia. Wiele osób działa zgodnie z narzuconymi trendami kulturowymi, a raczej antykulturowymi, np. w filmach, które przechodzą do naszej podświadomości. Filmy romantyczne kończą się fajerwerkami, a filmy familijne czy dramaty często rozpoczynają się od rozbitych rodzin. Komedie romantyczne kończą się po prostu tam, gdzie rozpoczyna się życie i praca nad relacją.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl efe16954bb

Od pierwszego uśmiechu

Marek i Justyna poznali się w 2020 r., pobrali w 2021 r. Mają córkę Wiktorię, niebawem na świat przyjdzie Klara

Marek: Poznaliśmy się w 2020 r., gdy wybuchła pandemia. To było jedno z ostatnich spotkań chrześcijańskich singli przed lockdownem, konkretnie była to formuła przy ciastku i kawie. Siedzieliśmy przy stolikach, spotkanie polegało na luźnej rozmowie z czterema, pięcioma osobami, ale w tym czasie trzeba było jak najwięcej dowiedzieć się o osobie, z którą się rozmawia. Później Tomek zadawał pytania. Trzeba więc było jak najwięcej zapamiętać o każdej osobie, żeby później móc wszystko zreferować.

Justyna: Później o wybranej osobie opowiada się przed całą grupą. To jest luźna formuła, która daje szanse na poznanie się. Tomek to moderuje i na koniec mówi np.: „Zapraszam Justynę, która opowie o Marku". Tomek jest świetnym moderatorem, umie stworzyć dobrą atmosferę, tak że nikt się nie wstydzi, wprowadza luz, humor. Siedziałam przy jednym ze stolików. Marek przyszedł z kolegą, troszkę się spóźnili i szukali miejsca, żeby się przysiąść. Od razu zwróciłam uwagę na uśmiech Marka, sama dużo się uśmiecham. Szybko powiedziałam do Tomka: „Przy moim stoliku brakuje jeszcze mężczyzny". Marek usiadł.

Marek: Od razu zwróciłem uwagę na to, że Justyna lubi kajaki. Ja też bardzo je lubię, pokazałem zdjęcia z ostatniego kajakowego wypadu. Powiem szczerze, że byłem zdenerwowany, dwa razy tak stuknąłem w stolik, że o mało nie wylałem herbaty. Był dreszczyk emocji, rozmowa się dobrze układała, denerwowałem się, żeby nie zrazić do siebie Justyny, myślałem, co powiedzieć, żeby dobrze wypaść.

Justyna: Szybko się zorientowałam, że mamy dużo wspólnego. Udzielałam się w wolontariacie, Marek też. Potem zniknął i byłam rozczarowana, że nie wziął numeru. Ale wrócił i jednak o niego poprosił. Potem czekałam, aż się odezwie. Nie odzywał się przez trzy dni, więc ja zadzwoniłam i umówiliśmy się na randkę. I chwyciło. Już przy pierwszej rozmowie okazało się, że wiele nas łączy. Potem było tego jeszcze więcej. Okazało się np., że dorastaliśmy, będąc niemal sąsiadami na Pradze Północ, że w podobnym czasie byliśmy związani z kościołem św. Anny. Było po prostu coraz więcej znaków, że to jest właśnie to. Podczas jednej z randek w kawiarni nad Wisłą, gdzie było dużo używanych książek, Marek miał wybrać dla mnie jedną. Przyniósł książkę o Dywizjonie 316. Zaczęłam płakać, Marek się przestraszył. A w tym dywizjonie walczył wujek mojego taty. Zresztą okazało się, że był wymieniony w tej książce.

Marek: Poznaliśmy się w sierpniu 2020 r., oświadczyłem się w kwietniu 2021 r.

Czyli emocje nie są dobrym doradcą przy budowaniu relacji?

Mogą być. Nie chcemy przecież być z kimś, kto się nam nie podoba. Na początku są emocje, ale uczucia to już jest świadomy wybór. Miłość to również świadomy wybór. Kiedy moja żona zapytała mnie, dlaczego ją kocham, odpowiedziałem, biorąc pod uwagę cały romantyzm i jej urodę, piękne wnętrze, że tak zdecydowałem. Moje słowo i decyzja mają większe znaczenie niż chwilowa emocja. Przecież w życiu jest tak, że raz czujemy silniejsze emocje, raz słabsze, komuś może się spodobać inna dziewczyna czy chłopak, ale to jest drugorzędne w obliczu podjętej decyzji. Niestety dziś mamy wielki kryzys słowa. To wszystko łączy się z wartościami, którymi żyjemy i które są podstawą relacji. Jeśli punktem wyjścia do budowania relacji jest ten sam fundament, wiemy, czym jest prawda, wiara, emocje i uczucia oraz świadome podejmowanie decyzji, wówczas jesteśmy mniej podatni na łamanie wewnętrznych zasad i takie relacje są mniej zagrożone porywami chwili. Zakochanie to chwila, która może minąć, ale miłość to decyzja, która pozwala trwale budować. Współczesny świat myli się, traktując zakochanie jako miłość. Są różne rodzaje miłości: erotyczna, przyjacielska, do dziecka, Boga do człowieka, jest mania, czyli zazdrość – wszystkie opisuję w książce. Jeśli

Fot. Andrzej Wiktor

to wszystko mamy dobrze ułożone w głowie, możemy iść naprzód i właściwie budować relacje. A wspólna wizja świata, fundament i wartości ułatwiają budowanie relacji, bo wiemy, co jest celem naszego życia. Trzeba też umieć rozróżniać radość od szczęścia. Radość to chwilowa uciecha, a szczęście daje dążenie do celu i realizowanie go. Wiele par nie jest w stanie budować związku, bo nie wiedzą, czego chcą, nie znają celu.

Jak świat rozumie miłość?

Ironizując, „pięknie" określali to moderniści, a później postmoderniści, którzy zajmowali się dekonstrukcją

eprasa.pl efe10364bb

języka. Tym, co dzisiejszy świat rozumie pod pojęciem miłości, jest chwilowa uciecha, pójście z kimś do łóżka. Później ludzie zaczynają ze sobą mieszkać, nic o sobie nie wiedząc, nie wiedząc, czego chcą od życia, jaką mają wizję rodziny. Warto najpierw znać odpowiedzi na te pytania. Emocje i romantyczne chwile są piękne i ważne, ale relacja nie przetrwa bez fundamentu, czyli znajomości celu i prawdy. Relacja to pomaganie drugiej osobie w osiąganiu celu. Gdy znamy swoje cele, wiemy, czego chcemy, dopiero wtedy możemy budować bliskość i podejmować świadome decyzje dotyczące miłości. Dziś małżeństwa są nietrwałe, bo często nie mają wspólnego fundamentu i celu. Pomagają nam dwa czynniki. Jednym z nim jest nauka Kościoła, która pokazuje nam, czym jest moralność i jak z niej korzystać. Druga sprawa to rodzina. Celem powinno być pragnienie dobra dla drugiej osoby. To jest właśnie miłość, która musi być oparta na wolności, ale nie swobodzie, czyli rozwiązłości. Wolność daje realizację celu w pięknie. Moja definicja miłości, o której piszę w książce, to całkowite pragnienie dobra dla drugiej osoby. A dobro to pomoc w osiągnięciu celu drugiej osobie. Druga osoba musi chcieć tego samego dla mnie. Wtedy osiągamy pełną wolność oraz miłość i budujemy relację.

Także Tomasz Sztreker poznał wreszcie żonę...

Stało się to dopiero wtedy, gdy zrozumiałem, co jest moją drogą do szczęścia, a nie chwilowej radości. Zrozumiałem, że pragnę czystości, ciepła, szczęśliwej rodziny, domowego ogniska. Na jednym ze spotkań chrześcijańskich singli, to były szybkie randki, poznałem dziewczynę, która w ankiecie pod spodem zamiast imion osób, które poznała, napisała: „Prowadzący pan Paweł". Po jakimś czasie zadzwoniłem i zapytałem, czy chodziło o Pawła, czy może jednak o Tomka. Przyznała, że chodziło o Tomka i zaprosiłem ją na kawę. Ale ona powiedziała, że na kawę się nie umawia. I faktycznie moja żona do tej pory nie pija kawy, woli herbatę. To była pierwsza relacja, którą budowałem świadomie od początku do końca. Było też piękno, był romantyzm. Na jedno z pierwszych spotkań nad Narwią moja żona przywiozła herbatę w termosie i upieczoną przez siebie szarlotkę. Poznawaliśmy się świadomie. Jesteśmy zgodni w fundamentalnych sprawach.

Gdy mówimy „cel", mamy na myśli zbawienie czy także inne pomniejsze życiowe cele?

Jedno i drugie. Jeżeli moim najważniejszym celem jest zbawienie, to moja druga połówka powinna zrobić wszystko, by pomóc mi osiągnąć ten cel. Pomagamy sobie wówczas we wzrastaniu, odkrywaniu świata. Potrzebne jest też skarcenie, gdy odbiegamy od fundamentów. Dla mnie takim celem jest szczęśliwa rodzina, a to rzadko jest celem we współczesnym świecie.

Fot. Studio K&F/archiwum prywatne

Zatańcz ze mną

Mariusz i Judyta poznali się w 2018 r., małżeństwem zostali w 2020 r. Mają dwuletniego syna

Mariusz: W 2014 r. dowiedziałem się o takiej inicjatywie, jak chrześcijańscy single. Wtedy jeszcze nie było Agere Contra. Zacząłem chodzić na te imprezy Tomka. On przyciągał wiele osób, dawał ciekawe wskazówki, byłem na kilkunastu spotkaniach. Zawsze lubiłem tańczyć, więc interesowały mnie głównie imprezy taneczne. Takie spotkanie zawsze zaczyna się od krótkiej modlitwy, żeby ta impreza była ostatnią „singlową". W 2018 r. na jednej z takich imprez poznałem trzy przyjaciółki. Jedną z nich była moja przyszła żona. Dla niej to było pierwsze spotkanie chrześcijańskich singli. Poszła za namową koleżanki. Zobaczyłem, że fajnie tańczy, przetańczyliśmy razem kilka kawałków. Tańczyłem też z jej koleżankami. Zaczęliśmy pisać do siebie na Facebooku. Kilka tygodni później zaprosiła mnie na wesele, na które się wybierała. Zażartowała, że wygrałem plebiscyt na najlepszego tancerza miesiąca. Pojechałem z nią. I wtedy miałem wrażenie, jak byśmy byli bardzo zgraną parą, znali się od lat. Od razu zgrałem się z jej znajomymi, wybornie się nam tańczyło. Wszystko do siebie pasowało. Judyta też czuła się ze mną dobrze. Zakochałem się w niej. Znajomość rozwijała się dojrzale, nie tak jak wcześniejsze. W podobnym czasie Tomek poznał swoją obecną żonę. I przestaliśmy być singlami. Na naszym weselu też oczywiście tańczyliśmy. Pierwszy taniec był do piosenki Golców „Górą Ty, górą ja". Z dymu, który wytwarzała dymiarka, zrobiły się takie obłoczki, a goście nazwali to tańcem w chmurach. Do tej pory razem tańczymy. Teraz może rzadziej, bo pojawił się synek, ale on często tańczy z nami. Też to lubi i ma do tego dryg.

epresa.pl efe16964bb

Bóg lubi góry!

To trochę naiwne stwierdzenie jest zaproszeniem do teologii góry. Bo przecież droga do Wielkanocy i Zmartwychwstania to wędrówka przez góry. Zaczęła się na szczycie Moria, kiedy Bóg zażądał ofiary z syna Abrahama, biegła przez Synaj, gdzie Bóg podarował swojemu ludowi tablice z przykazaniami, by skończyć się na Golgocie, na której dokonało się zbawienie świata. A były jeszcze inne ważne góry

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Niebo jest wielką metaforą miejsca, w którym przebywa Bóg. Ziemia to domena ludzi. Gdzieś pomiędzy są szczyty gór. Bóg je wybierał, aby opowiedzieć ludziom o sobie. Aby się na nie dostać, należy dokonać wysiłku wspinania się. W znaczeniu dosłownym, jak zrobili to Piotr, Jakub i Jan, gdy podążali stromą drogą na górę Tabor, i w znaczeniu duchowym.

Duchowy wzrost i doskonalenie się wyobrażamy sobie jako ruch ku górze. Wspinanie się jako wędrówka do poznania, wyzwolenia czy doskonałości jest bardzo pierwotną metaforą. 2,5 tys. lat temu wykorzystał ją Platon, gdy pisał o „wychodzeniu [z jaskini] pod górę i oglądaniu tego, co jest tam wyżej", o „wznoszeniu się duszy do świata myśli". Wchodzenie pod górę to jeden z kodów, który stworzył tradycyjne schematy wyobrażeniowe. Biblia także wykorzystuje ten zakorzeniony w najstarszym ludzkim dziedzictwie, jakże ciekawy rdzeń obrazowania.

Szczyty, doliny i rzeki

Ukształtowanie geologiczne kuli ziemskiej nie jest obojętne dla teologii. Gdyby tak było, w Piśmie Świętym czytalibyśmy o nieokreślonych, pozbawionych cech geograficznych miejscach. Tymczasem historia zbawienia jest opisana pośród konkretnych dolin, rzek, gór i jezior. Czytamy więc np. o dolinach Hebronu, Cedronu, Gehenny i innych. Warto przytoczyć motyw doliny jako antytezy góry: „Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulęknę". Ten cytat z Psalmu 23, podkreślający, że w dolinie może czyhać niebezpieczeństwo, jest ważny w kontekście wyjątkowości górskich szczytów. Jezioro Genezaret było miejscem pracy apostołów i to rybackie zmagania tworzą wielkie metafory naszej wiary. Konkretna rzeka – Jordan, a nie nieokreślony potok był miejscem chrztu Jezusa.

W czasach proroków Bóg wybierał specjalne miejsca do spotkań z ludźmi czy okazania im swojej natury, a stając się człowiekiem i wchodząc w ludzki czas, wszedł także w geografię, czyniąc stworzenie i elementy przyrody nieożywionej ważnym tłem swojego objawienia. Nazwane konkretne szczyty górskie są obecne w Biblii od pierwszych ksiąg Starego Testamentu. I zawsze są to ważne miejsca związane z dotarciem do celu, przełomem, poznaniem, objawieniem lub spotkaniem.

Z górami wiąże się też ważna sprawa: aby doświadczyć przełomu lub poznania, należy zostawić wszystko za sobą. Trzeba opuścić ludzi oraz znany świat i ruszyć w samotną drogę. Nie trzeba się jednak bać – na końcu będzie szczyt, a wraz z nim obietnica poznania Boga. Oddalając się od świata, w drodze na górę człowiek przybliża się do Boga.

Poznajmy zatem siedem gór z Pisma Świętego.

Ararat – nowy początek

Już na pierwszych kartach Księgi Rodzaju znajdziemy historię o górskim szczycie. „Wody ustępowały z ziemi powoli, lecz

Fot. Shutterstock (3x)

eprasa.pl efe103364bb

nieustannie i po upływie stu pięćdziesięciu dni się obniżyły. Miesiąca siódmego, siedemnastego dnia miesiąca arka osiadła na górach Ararat" (Rdz 8,3–4). Góra stała się miejscem ratunku, który zesłał Bóg ludziom i zwierzętom po potopie. Ararat był celem podróży arki Noego. Zły świat został zgładzony, a dobry otrzymał szansę na nowe życie, które miało się zacząć na górskim szczycie.

Schodząc z niego, w kolejnych etapach historii ludzie znów powrócili do grzechu. Przemieszczanie się z góry w dół to odchodzenie od tego, co dobre i boskie, od tego, co bezgrzeszne. Schodzenie w sensie fizycznym jest ruchem w dół, w sensie metafizycznym – upadkiem i powrotem do zła. Takie były losy rozbitków z Araratu.

Jeśli ktoś chciałby zobaczyć miejsce lądowania, które Bóg wybrał dla arki, musi się udać do Turcji. Gdy na Wyżynie Armeńskiej dostrzeże wyniosły wulkaniczny masyw, zrozumie, dlaczego w Księdze Rodzaju jest mowa o „górach Ararat". W skład masywu wchodzą bowiem dwa szczyty: Mały Ararat (3896 m n.p.m.) i Wielki Ararat (5137 m n.p.m.). Te pokryte śniegiem gigantyczne stożki górują nad całym rejonem z powodu swojej wyniosłości. Od podstawy do szczytu Wielkiego Araratu jest bowiem 4400 m. Szczyt znajduje się nieopodal granicy z Iranem i Armenią. Dla tego drugiego państwa Ararat jest szczególnym miejscem. Choć obecnie znajduje się poza granicami Armenii, przez tysiąclecia był centralnym punktem tego kaukaskiego państwa.

Góra Moria
– ogień i nóż

Moria (740 m n.p.m.) to arcyważne miejsce dla chrześcijan, szczególnie w kontekście Wielkiego Tygodnia i Wielkanocy. Ofiara Izaaka na górze Moria jest zapowiedzią ofiary Jezusa. Wszystko zaczęło się od słów: „A po tych wydarzeniach Bóg wystawił Abrahama na próbę. Rzekł do niego: »Abrahamie!« A gdy on odpowiedział: »Oto jestem« – powiedział: »Weź twego syna jedynego, którego miłujesz, Izaaka, idź do kraju Moria i tam złóż go w ofierze na jednym z pagórków, jakie ci wskażę«" (Rdz 22,1–2). Ojciec z synem wspinali się na górę, obaj wiedzieli, co się zaraz stanie. Nie protestowali jednak. Izaak szedł, dźwigając drwa, na których miała się dokonać z niego ofiara całopalna. Abraham niósł „ogień i nóż". Pierwsza opisana wędrówka górska była jednocześnie najstraszniejszą górską wyprawą, jaką można sobie wyobrazić. Lecz i tu góra okazała się uwolnieniem i wybawieniem, miejscem pozytywnego przejścia próby, zarówno dla ojca, jak i dla syna. Była to próba wiary i wierności Bogu. Anioł powstrzymał Abrahama zdeterminowanego do zadania śmierci i życie Izaaka zostało ocalone. Zamiast syna zgładzony został baran. Co więcej, na szczycie Abraham mógł za pośrednictwem anioła usłyszeć głos samego Boga „»Nie podnoś ręki na chłopca i nie czyń mu nic złego! Teraz poznałem, że boisz się Boga, bo nie odmówiłeś Mi nawet twego jedynego syna«" (Rdz 22,12). Bóg przemawiał do proroka na szczycie góry.

Akeda, czyli związanie Izaaka, jest zapowiedzią ukrzyżowania Jezusa, który tak samo jak Izaak dźwigając drwa, dźwigał na górę swój krzyż, paralela dotyczy też poświęcenia jedynego syna oraz figury baranka. I oczywiście analogia góry: Moria i Golgota. Zataczając wielkie koło historii, oba szczyty znajdują się w tym samym miejscu: Jerozolimie. W X w. p.n.e. na górze Moria Salomon zbudował najświętsze miejsce Żydów – świątynię jerozolimską. Budowla stanęła tam, gdzie kiedyś Abraham ofiarował swojego syna. Do dziś Góra Świątynna to serce judaizmu. Nieopodal, na Golgocie, Jezus oddał życie za nasze grzechy, by po trzech dniach zmartwychwstać. W opowieści o ofierze Izaaka pojawiają się ważne słowa: „»Na wzgórzu Pan się ukazuje«" (Rdz 22,14), które mogłyby być mottem tego artykułu. A więc na jakiej jeszcze górze ukazuje się Pan?

Synaj

Synaj
– zdejmij sandały, gdyż jest to ziemia święta

Na górze Horeb, nazywanej też Synaj, Bóg ukazał się Mojżeszowi w krzewie gorejącym, wyjawił mu swoje imię: „Jestem Który Jestem" i nakazał wyjście z Egiptu. Na kolejne spotkanie z Mojżeszem Bóg znów wyznaczył święte miejsce – górę Synaj. Dlatego rok później, gdy Mojżesz wiódł swój lud z Egiptu do Izraela,

Góra Moria

przystanął właśnie tam. Wówczas w dramatycznych okolicznościach z zasnutego chmurami szczytu przekazał prorokowi tablice z 10. przykazaniami.

To tu raz jeszcze Bóg ukazał się – tym razem Eliaszowi – w „szmerze łagodnego powiewu". Tak Bóg rzekł do proroka siedzącego w jaskini: „Wyjdź, aby stanąć na górze wobec Pana!" (1Kr 19,11). Wyjdź, czyli dokonaj wysiłku fizycznego i rozwoju duchowego. Wejdź na górę, stań na niej, aby przestać się bać, spotkać się z Bogiem i wzmocnić do działania.

Liczący 2285 m n.p.m. szczyt znajduje się na pustynnym półwyspie Synaj będącym azjatycką częścią Egiptu. Tu narodził się ruch pustelniczy. Dla anachoretów szczerze szukających w samotności i modlitwie zjednoczenia z Bogiem nie było lepszego miejsca niż góra Synaj. Zasiedlali więc jaskinie wokół granitowego masywu, modląc się, alienując i medytując. Góra zbliżała ich do Boga.

Tabor
– rozbijmy namioty!

To samotne wzniesienie położone w płaskiej dolinie Jezreel w Izraelu zadziwia swoją wyniosłością (575 m n.p.m.). Ma kształt kopca, jest otoczone gajami, lasami i polami uprawnymi. Do niedawna było dzikim miejscem o naturalnych walorach przyrodniczych. Jeszcze w XIX w. wyglądało tak, jak w okolicach 30 r. n.e., kiedy zdobywało go trzech uczniów towarzyszących Jezusowi. Po wspinaczce doświadczyli czegoś niezwykłego, co dziś określamy jako transfiguracja. Byli świadkami spotkania Jezusa z Mojżeszem i Eliaszem, ale przede wszystkim przemienienia Jezusa, kiedy to „twarz Jego zajaśniała jak słońce, odzienie zaś stało się białe jak światło" (Mt 17,2–3). Usłyszeli też głos Boga z nieba: „To jest mój Syn umiłowany, Jego słuchajcie!". I znów góra stała się miejscem, w którym usłyszano głos Boga.

Wcześniej była mowa o analogii Morii i Golgoty; podobne zjawisko dotyczy gór Synaj i Tabor. Mojżesz antycypuje Jezusa. W obu tekstach dotyczących tych gór mamy osoby towarzyszące oraz obłok, który u ewangelisty opisany jest w następujący sposób: „Oto obłok świetlany osłonił ich, a z obłoku odezwał się głos" (Mt 17,5), a w Starym Testamencie tak: „Gdy zaś Mojżesz wstąpił na górę, obłok ją zakrył. Chwała Pana spoczęła na górze Synaj i okrywał ją obłok przez sześć dni. W siódmym dniu Pan przywołał Mojżesza ze środka obłoku. A wygląd chwały Pana w oczach Izraelitów był jak ogień pożerający na szczycie góry. Mojżesz wszedł w środek obłoku i wstąpił na górę" (Wj 24,15–18).

Góra Błogosławieństw
– błogosławieni cisi, oni na własność posiądą ziemię

Od góry Tabor odległa jest o ok. 40 km. Oba wzniesienia, Tabor i Góra Błogosławieństw (minus 25 m n.p.m.), były miejscem wędrówek Jezusa. Na Górę Błogosławieństw wybrał się, aby ogłosić światu, kto jest błogosławiony.

Góra Błogosławieństw

Choć miejsce to znajduje się w depresji i jej wysokość nie przekracza poziomu morza, jest wzniesieniem. Znajduje się w Izraelu w okolicach Kafaranum, na północnym krańcu jeziora Genezaret.

Osiem błogosławieństw bywa różnie interpretowane. Wśród teologów istnieją teorie, że stanowią one opis doskonałego sposobu życia chrześcijańskiego, że są wyrazem etyki perfekcjonistycznej, że są skierowane tylko do elity (uczniów Jezusa), że skierowane są do wszystkich, bo mają uświadomić grzechy i doprowadzić do pokuty, że to etyka stanu tymczasowego, że to przepis na czasy eschatologiczne itp.

Nie ma sensu dokonywać tu szczegółowej analizy ośmiu błogosławieństw, wszak to tekst o górach i Bogu. W tym kontekście bardzo pasują dwa z nich: „Błogosławieni cisi, albowiem oni na własność posiądą ziemię" oraz: „Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą". Każdy, kto chodzi po górach, wie, że wędrówka na szczyt odbywa się raczej w ciszy, w milczącym skupieniu. Dążąc do ideału opisanego

Tabor

eprasa.pl efe10364bb

w kazaniu na górze, można się wprawiać, chodząc po górach. Cisi w życiu posiądą ziemię. Cisi podczas górskiej wyprawy posiądą szczyt. A jeśli jeszcze będą mieć czyste serce, będą oglądać Boga, jak Jan, Piotr i Jakub na górze Tabor, Mojżesz i Eliasz na Synaju czy Abraham na szczycie Morii.

Góra Oliwna
– miejsce modlitwy do Boga

To nie pierwsza góra, na której Jezus modlił się do Boga. Wcześniej był bezimienny szczyt w Galilei. „W tym czasie Jezus wyszedł na górę, aby się modlić i całą noc spędził na modlitwie do Boga" (Łk 6,12). A więc Bóg wybierał góry, aby pokazać się człowiekowi, a Jezus wybierał góry, by na ich szczytach modlić się do Boga. Na Górze Oliwnej (818 m n.p.m.), wzniesieniu oddzielonym od Jerozolimy potokiem Cedron, w noc pojmania Jezus także spędzał czas na modlitwie. Tam „upadł na kolana i modlił się tymi słowami: »Ojcze, jeśli chcesz, zabierz ode Mnie ten kielich! Jednak nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie!« Wtedy ukazał Mu się anioł z nieba i umacniał Go" (Łk 22,41–43). To tam uczniowie zasnęli, nie rozumiejąc powagi sytuacji. Ciekawe są wcześniejsze słowa opisujące scenę w ogrodzie Getsemani: „Przez dzień nauczał Jezus w świątyni, wieczorem zaś wychodził i noce spędzał na górze zwanej Oliwną" (Łk 21,37) oraz: „Potem wyszedł i udał się, według zwyczaju, na Górę Oliwną: towarzyszyli Mu także uczniowie" (Łk 22,39). Oznacza to, że modlitwa na górze była stałym elementem życia Jezusa.

Góra Oliwna

Golgota

Golgota
– miejsce czaszki

Golgota (777 m n.p.m.) była miejscem nieopodal Jerozolimy, gdzie dokonywano egzekucji na skazańcach. W czasach Jezusa znajdował się tam opuszczony kamieniołom. Nie wiadomo ze stuprocentową pewnością, czy Golgota jest górą. Według istniejącej od VI w. tradycji była określana jako wzgórze. Ponieważ Jerozolima jest otoczona wzgórzami, bardzo prawdopodobne, że miejsce czaszki znajdowało się na którymś z nich. Oznaczałoby to, że dźwigając krzyż, Jezus też wznosił się ku górze. Zostawiał za sobą świat i w drodze do zbawienia ludzi szedł do Ojca. I znów na górze miałaby miejsce ostatnia rozmowa z Bogiem, w której Jezus wyrzekł słowa „»Eli, Eli, lema sabachthani?«" (Mt 27,46).

* * *

Opisane tu góry nie znalazły się na kartach Biblii przypadkowo. Wybrał je Bóg – dla Noego Ararat, dla Abrahama Morię, dla Mojżesza Synaj. Do transfiguracji wybrał Tabor, do opisania wielkości w Królestwie Niebieskim – Górę Błogosławieństw, do modlitwy w ostatnią noc przed męką – Górę Oliwną. A na miejsce zbawienia świata przez śmierć – Golgotę.

Jak napisał Benedykt XVI, góra to miejsce szczególnej bliskości Boga.

Fot. Shutterstock (4x)

Niezmiennie obecny z nami

To nie przypadek, że w świecie niewiary, postępującego obłędu i kryzysu towarzyszą nam tak mocno i wyraziście zapisane oblicza Chrystusa

Z ks. Witoldem Kaweckim, redemptorystą, profesorem teologii kultury, znawcą sztuki i mediów, podróżnikiem, dziennikarzem, autorem wspaniale ilustrowanych książek, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

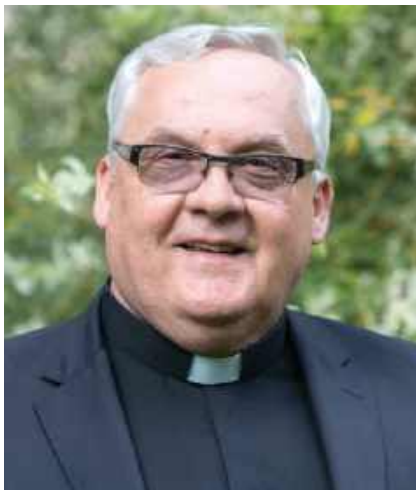

Przy ogromie materiału, jaki można wziąć pod uwagę przy takim temacie, zgodził się ksiądz wskazać trzy portrety Chrystusa wpisujące się w czas Wielkanocy. Które?

Witold Kawecki: Zacząłbym od przejmującego obrazu „Święty Józef cieśla" (1640) Georgesa de La Toura. Francuski Caravaggio pokazuje dzieciństwo Jezusa, w którym już pojawia się zapowiedź męki. Światło świecy trzymanej przez małego, pogodnego chłopca wydobywa kryjącą niepokój, zmęczoną twarz Józefa na oczach Jezusa obrabiającego fragment drewna (może krzyża). On już wie, jaka droga czeka jego przybranego syna. Jaki ciężar i jaki ból spadną na jego barki. Obraz jest głęboką medytacją nie tylko nad dzieciństwem, lecz także śmiercią i zmartwychwstaniem Chrystusa.

Do misterium cierpienia – bo bez męki i Golgoty nie ma zmartwychwstania – wprowadza nas też mało znany, ale mistrzowski wizerunek Chrystusa autorstwa Andrei Solaria. To „Ecce Homo" („Oto człowiek" z pierwszej

„Święty Józef cieśla" (1640) Georgesa de La Toura

Fot. Tomasz Gołąb/Foto Gość/Wydawnictwo JEDNOŚĆ, Wydawnictwo JEDNOŚĆ

eprasa.pl efe10364bb

połowy XVI w.). Na tym obrazie Jezus jest pogrążony w bólu, patrzy w dół, a mimo to odnosimy wrażenie, jakby spoglądał na nas. Kolor jego sukni – bardzo intensywny, krwawy – przywołuje męczeńską śmierć. Oto król cierpienia, z cierniową koroną na głowie. Płacze, jednak nie emanuje bólem, lecz miłością.

Trzeci, również mało rozpoznawalny obraz, to „Chrystus Odkupiciel" (1505–1506) Rafaela Santiego, zwany też „Chrystusem błogosławiącym". Przepiękne i subtelne dzieło jest jednocześnie autoportretem artysty. Widzimy tu Jezusa już zmartwychwstałego, choć jeszcze z koroną cierniową na głowie, przepasanego jedynie czerwoną szatą. Prawa dłoń błogosławiąca trzema palcami wskazuje przynależność do Trójcy Świętej. Niezwykle wymowny jest wyraz oczu Jezusa i jego pełna spokoju twarz.

Z użyciem jakiego klucza udało się wybrać te trzy obrazy?

Stanowią pełnię na święta wielkanocne. Pokazują Jezusa – człowieka, a zarazem Boga, który w wielkim cierpieniu, ale też poddaniu woli ojca oddał siebie, by zmazać grzechy świata. To wizerunki stworzone przez znanych artystów, ale nie tak rozpowszechnione i spopularyzowane jak np. „Ostatnia Wieczerza" Leonarda da Vinci czy „Przemienienie Pańskie" Rafaela, a jednocześnie artystycznie wybitne i po ludzku poruszające.

Święta Wielkanocy sprowadzają myślenie o Jezusie do męki i zmartwychwstania, ale zarówno przy wyborze dzieł do naszej rozmowy, jak i wydanej właśnie książki „Jezus. Tajemnica odkupienia" zdecydował się ksiądz na szerszą perspektywę.

Teologowie i znawcy tematu zwracają uwagę, że początek zbawienia, cytowana w podtytule „tajemnica odkupienia", nie zaczyna się podczas drogi krzyżowej czy na Golgocie, ale w momencie narodzenia Jezusa. Chrystus przychodzi na świat nie żeby tu być, ale by tu umrzeć za zbawienie ludzi. Zatem historia odkupienia zaczyna się w momencie narodzenia, a nawet wcześniej, w chwili zwiastowania.

„Ecce Homo" („Oto człowiek") autorstwa Andrei Solaria z pierwszej połowy XVI w.

Przedstawia ksiądz Jezusa od strony biblijnej, historycznej, kulturowej, przyjmując też filtr wybitnych dzieł sztuki i współcześnie przemierzanych szlaków, a także grzechu pierwszych ludzi.

Adam i Ewa mieli wszystko – siebie, miłość, raj. Boga, który ich kochał i który im to wszystko dał, a potem wszystko to runęło pod wpływem ich buntu, bo chcieli dalej to mieć, ale już bez Boga. Ta historia grzechu i upadku człowieka stała się jednocześnie zapowiedzią przyjścia Zbawiciela. I przygotowaniem do jego narodzin w Betlejem, a potem jego śmierci, zmartwychwstania i wniebowstąpienia. Zamknięciem tej historii jest zesłanie Ducha Świętego, a trwaniem – historia Kościoła dzisiaj i obecność Jezusa we współczesnym świecie. Świecie, który potrzebuje wiary.

Odnajduje ksiądz wiarę na wielu płaszczyznach. A jak to bywa w podróżach?

Najmocniej doświadczyłem obecności Jezusa nad jeziorem Genezaret. Natura pozostała tutaj właściwie niezmieniona – z kolorem wody, zapachem roślinności, wiatrem, całą tą scenerią bardzo zbliżoną do tej, która towarzyszyła ostatniej drodze Chrystusa. Wspomnę też miasteczko Kafarnaum, gdzie mieszkał Jezus – w domu Piotra, a tak naprawdę jego teściowej. Jego ruiny zachowały się do dzisiaj. Chodząc po kamiennych uliczkach sprzed 2 tys. lat, po posadzkach i dróżkach, które tam zostały, doznałem przeszywającego dreszczem doświadczenia, że idę po ziemi, po której chodził Jezus. Podobnie było wtedy, gdy płynąłem łodzią po Jeziorze Galilejskim.

Opowiadając o Ziemi Świętej, nie wspomina ksiądz np. Grobu Jezusa w jerozolimskiej bazylice. Dlaczego?

Podobnie jak Grota Narodzenia w Betlejem, jest to miejsce już zbyt przetworzone przez kolejne epoki. Inaczej niż Góra Błogosławieństw (miejsce

Fot. Wydawnictwo JEDNOŚĆ

epresa.pl efe16954bb

słynnego kazania) czy góra Tabor (zwana również Górą Przemienienia). Na tej drugiej – pustej, dzikiej, z której widać całą dolinę – spędziłem kilka prawie samotnych godzin. Gdy nic nie rozprasza, uruchamia się wyobraźnia – ewangeliczna, historyczna, artystyczna... W otoczeniu natury łatwiej się czuje obecność Boga.

Podobne doświadczenia zdarzały się też w kontakcie z dziełami sztuki?

Tych poruszeń było wiele, zależnych od etapu mojego życia, ale niezmiennie wielkie wrażenie wywołuje we mnie „Pieta" Michała Anioła z białego marmuru, tuż przy wejściu do watykańskiej bazyliki św. Piotra (zaraz za nią znajduje się grób św. Jana Pawła II, również wykonany z białego marmuru).

Ilekroć patrzę na tę rzeźbę – a patrzę często, bo prawie co miesiąc jestem w Rzymie (i pięć lat w nim mieszkałem) – zdumiewa mnie prostota ujęcia, spokój, niezwykle subtelnie pokazane cierpienia matki, a także piękno Chrystusa, w którego martwym ciele widać już zapowiedź zmartwychwstania. I pewnie zawsze tak pozostanie, że będę prawie płakał, stojąc przy „Piecie" Michała Anioła. Jest to poniekąd dzieło znakomitego teologa i mistyka tego, co da się wyrazić w sztuce i powiedzieć w maksymalny sposób.

Czy któryś z obrazów wywołuje u księdza równie silne odczucia?

Jest ich zbyt dużo, bym któryś wyróżnił, ale, co ciekawe, Caravaggio nigdy nie namalował Chrystusa ukrzyżowanego. Nawet nie podjął takiej próby. Przedstawił ukrzyżowanie Piotra i Andrzeja, biczowanie w kilku wersjach i koronowanie cierniem, także „Pojmanie Chrystusa". To są rewelacyjne obrazy, ale nie ma wśród nich ukrzyżowania. Jest natomiast „Złożenie do grobu" – jedyne dzieło Caravaggia znajdujące się w Watykanie. Za każdym razem staję przed nim w zachwycie i zadumie. Jest w nim i męka, i zapowiedź zmartwychwstania, i Chrystus obecny dzisiaj w Kościele, bo jego zwłoki leżą na mensie do balsamowania, która do złudzenia przypomina dzisiejszy ołtarz. I odsłania się przecudowna teologia tego obrazu – z męki, śmierci i zmartwychwstania wyrasta Eucharystia, czyli bezkrwawa obecność Chrystusa pośród nas, we współczesnym Kościele. Genialny Caravaggio potrafił to wyrazić jednym obrazem.

„Chrystus Odkupiciel" (1505–1506), Rafael Santiego, zwany też „Chrystusem błogosławiącym"

Jakie dzieło znalazło się na okładce albumu i dlaczego?

To „Salvator Mundi" (wł. „Zbawiciel Świata") Antonella da Messiny, XV-wiecznego sycylijskiego artysty. Namalował wiele obrazów Chrystusa, ale ta twarz jest wyjątkowa. Przypomina mi chustę z Manoppello. Obraz da Messiny jest dowodem, że obecność tzw. chusty Weroniki (dziś znanej jako chusta z Manoppello) była prawzorem dla bardzo wielu artystów, którzy czerpali z tego obrazu prototypu („acheiropoietos" z gr. „nie ludzką ręką uczyniony"). Mamy tu do czynienia prawdopodobnie z promieniowaniem energii w czasie zmartwychwstania Pana, która uwieczniła się na niewielkim skrawku materiału. Od co najmniej VIII w. ten niezwykły wizerunek był przechowywany w specjalnym skarbcu w bazylice watykańskiej. Przez całe stulecia pielgrzymi wędrowali do Wiecznego Miasta nie dla papieża, a właśnie dla chusty Weroniki, która podobnie jak Całun Turyński dzięki możliwościom współczesnej technologii, najpierw fotografii analogowej, a następnie cyfrowej, odsłoniła ukryte przez wieki tajemnice.

Czy to nie przewrotne, że w czasie, który z różnych powodów „gubi" Jezusa, bezduszna technologia pozwoliła też odkryć Chrystusa?

Dlatego w posłowiu do książki przywołuję Całun Turyński i chustę z Manoppello. To nie przypadek, że w świecie niewiary, postępującego obłędu i kryzysu towarzyszą nam tak mocno i wyraziście zapisane oblicza Chrystusa. Kończę książkę pełen nadziei, że w Roku Jubileuszowym Jezus jest i będzie z nami niezmiennie obecny.

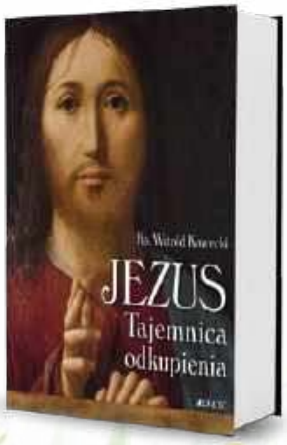

Mimo że tak trudno dziś się o nim rozmawia?

Daliśmy sobie wmówić, że wiara jest wyłącznie naszą osobistą sprawą. Nic z tych rzeczy. Wiara jest czymś, czym trzeba się dzielić. Skoro wiara w Jezusa Chrystusa jest ważna dla mnie, mogę się nią dzielić publicznie. Nie dajmy sobie odebrać tego przekonania.

Fot. Wydawnictwo JEDNOŚĆ x 2

eprasa.pl efe10364bb

Cenne jaja

Kiedy rozpoczyna się wielkanocny wysyp czekoladowych jaj – wydmuszek i nadzianych, z niespodziankami i bez, różnych rozmiarów i kolorów – nachodzą mnie refleksje o tym, jak bardzo potrzebujemy festynu w niemal każdej dziedzinie życia

Przyjrzyjmy się święconce, która za mojego życia tak bardzo się zmieniła. Gdy byłam dzieckiem, była raczej uboga. W centrum uwagi znajdowało się to, co najważniejsze – jajko: symbol odrodzenia, płodności, zmartwychwstania.

Szaleństwo ozdób

Farbowałyśmy z mamą jajka w łuskach cebuli – wychodziły w różnych odcieniach czerwonego brązu, potem mama skrobała na nich żyletką wymyślne, bardzo misterne wzorki. Skorupki były twarde, nie pękały pod palcami, bo nikt nie popędzał światłem nieszczęsnych ptaków do szybszego znoszenia jaj, osłonki miały więc czas, żeby się porządnie utwardzić. Moczyłyśmy je także w burakach, modrej kapuście – miały naturalne, subtelne kolory. Innych barwników nie było w sklepach. Dziś można kupić najróżniejsze farbki, nawet opalizujące czy marmurkowe, są też kalkomanie, którymi dokładnie pokrywa się skorupki. Jaja prawie nie widać spod wymyślnych dekoracji.

W wiklinowych koszyczkach (nasz miał swoje lata, nosiła go ze święconką jeszcze mama, nawet nie przyszłoby nam na myśl, żeby co roku kupować nowy) obok jajek był zazwyczaj kawałek chleba, sól, czasem pachnąca swojska kiełbasa i szynka. I ten sam od pokoleń pamiątkowy baranek pamiętający jeszcze czasy przedwojenne. Cukrowego, co roku

Fot. Fratria, Shutterstock

epfasa.pl efe16954bb

lizanego ukradkiem przez wszystkie dzieciaki w rodzinie, mam w moich pamiątkach do dziś – nie nadaje się do pokazywania, bo nasze języki zatarły mu nieco rysy, ale zawsze wywołuje mnóstwo wspomnień.

Po świętach suszyłyśmy co piękniejsze pisanki, a koszyczek, troskliwie owinięty w lnianą ściereczkę, lądował w kredensie. Gdy na targu udało się kupić gęsie jaja, dekorowałyśmy ich skorupki szczególnie pięknymi skrobankami, bo na większej powierzchni mieściło się więcej ornamentów. Specjalnie na Wielkanoc kupowałyśmy też jajka przepiórcze – smakowite i tak ładne, że nie trzeba ich było dodatkowo upiększać. Nie było przepychu i falban; dodawałyśmy piórka, gałązki bukszpanu albo barwinka.

SZPARAGI Z JAJKAMI

Składniki: • 2 pęczki zielonych szparagów • miks różnokolorowych sałat • 6 jajek • pokrojona na szatkownicy biała rzodkiew Daikon • garść migdałów bez skórek • pęczek czosnku niedźwiedziego • sok z limonki (plus otarta skórka) • oliwa • sól i pieprz • opcjonalnie do dekoracji: fiołki i rzeżucha.

Przygotowanie: uprażone na suchej patelni obrane migdały zmiksuj z listkami czosnku, oliwą i sokiem limonkowym oraz otartą skórką, dopraw solą i pieprzem. Jaja ugotuj na półmiękko i delikatnie obierz ze skorupek. Ugotuj w lekko osolonej wodzie szparagi (bez zdrewniałych końcówek) – powinny być al dente, a więc wystarczy im 6–7 min. Na kolorowych sałatach rozłóż szparagi, posyp plasterkami rzodkwi, udekoruj pokrojonymi na ćwiartki jajkami i polej zielonym sosem. Możesz ozdobić jadalnymi kwiatami, np. fiołkami trójbarwnymi, i posypać rzeżuchą.

ZAPIEKANY KOGEL-MOGEL

Składniki: • paczka mrożonych owoców – wiśni albo mieszanki z porzeczkami, truskawkami, malinami • 6–7 żółtek • na każde żółtko łyżka cukru • torebka cukru waniliowego • cynamon w proszku.

Przygotowanie: rozmroź na durszlaku owoce, a potem dokładnie utrzyj żółtka z cukrem, żeby powstał jasny puszysty krem. Rozgrzej piekarnik do 180 st. Celsjusza, owoce oprósz cukrem waniliowym i cynamonem, przełóż do ceramicznych kokilek (porcja jest mniej więcej dla 6 osób), zalej koglem-moglem i zapiecz przez 10–12 min. Podawaj zaraz po wyjęciu z piekarnika.

Jajo, czyli początek

O jajku i jego znaczeniu rozmawiałyśmy zresztą co roku przy okazji świąt. Jak to się stało, że pospolity przedmiot stał się tak potężnym symbolem? Dla nas oznacza zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, ale przecież jajko było ważne w wielu kulturach, zanim narodziło się chrześcijaństwo. Według zapisów sanskryckich wszechświat pierwotnie miał kulisty kształt ze złotym środkiem, a jeden z mitów opowiada, że prarodzic Brahma po rozbiciu tego jaja stworzył z niego nieboskłon i ziemię. W starożytnej Grecji wyznawcy Dionizosa także wierzyli, że na początku wszechświat mieścił się w jaju – srebrnym. Z jaja wykluły się też dzieci bogini Ledy: Klitajmestra, Helena Trojańska, Kastor i Polluks. Jajo czczono w Egipcie, Chinach, Finlandii, na Tahiti. Miało doskonały kształt, ludzie wyobrażali sobie, że dało początek całemu życiu na ziemi, powstały z niego fundamenty świata, a nawet Słońce czy Księżyc.

Tak pisał o nim Władysław Kopaliński w „Słowniku symboli", cudownej książce, którą zaczytywałam się jako nastolatka i do której często wracam, rozszyfrowując znaczenia imion, wydarzeń czy przedmiotów: „Jajo – początek. Narodziny świata z jaja to wierzenie, które znajdujemy w całym

Fot. Shutterstock, stockking/freepik

eprasa.pl efe103964bb

Starym Świecie, od Galii do Japonii, od Kartaginy do Indonezji. Jajo świata pojawia się zazwyczaj po Chaosie, z Chaosu, z niebytu, jako pierwsza zasada organizacji i zróżnicowania się składników (ziemia i niebo, wody górne i dolne)". I dalej: „Jajo – zmartwychwstanie. W grobowcach beockich znajdowano posążki Dionizosa z jajkiem w dłoni, obietnicą reinkarnacji, powrotu do życia. Jako znak zmartwychwstania i odrodzenia, powrotu, powtarzania się życia, jajko wyobraża zwycięstwo wiosny i Słońca w walce z zimą i nocą w okresie wiosennego przesilenia".

Tysiącletnie pisanki

Skorupka ukrywała i chroniła życiodajną energię, z jaj wychodziły bóstwa. Nic dziwnego, że ich zdobienie oraz nadawanie im dodatkowej wartości i symboliki jest popularne na całym świecie. Najstarsze ornamenty – na skorupach strusich jaj – mają ponad 60 tys. lat i pochodzą z Afryki. Dekorowane jaja sprzed 5 tys. lat znaleziono też w grobowcach asyryjskich, perskich, egipskich, greckich, rzymskich.

Nasze pisanki – robione techniką batikową, czyli pisane woskiem przy użyciu specjalnych kistek, a potem barwione – uchodzą za jedne z najpiękniejszych. „Nasze", czyli polskie, czeskie, słowackie, ukraińskie, litewskie... Na terenach należących do Polski najstarsze zdobione skorupki odnalezione przez archeologów w opolskim Ostrówku pochodzą mniej więcej z X w. W tamtych czasach jaja uchodziły za potężny amulet chroniący przed złymi mocami. Szczególne właściwości miało jajko w kolorze czerwonym, które uznawano za skuteczne we wszelkich sprawach sercowych i miłosnych.

W kulturach starosłowiańskich wierzono, że podarunek z jaja ułatwi żyjącym kontakt z bogami, składano je więc w ofierze. Dekorowanie jaj było częścią wielkiego święta Jarych Godów. Żegnano wtedy zimę, świętowano i obdarowywano się zdobionymi jajami. Wierzono, że zapewniają urodzaj, płodność i zdrowie, zarówno ludziom, jak i zwierzętom w gospodarstwie, a także odpędzają zło. Jaja zakopywano pod węgłami nowo budowanych domów, w ziemi na polach i w ogrodach. Wykorzystywano nawet wodę, w której się gotowały – do mycia twarzy czy płukania włosów, żeby były zdrowe i gęste.

Kura i kogut także były cenne – w wielu miejscach chłopi, którzy udawali się do dworu lub księdza z prośbą o załatwienie dowolnej sprawy, wręczali właśnie taki podarek. Na wschodnich ziemiach dawnej Polski wiejskie kobiety obdarowywały księdza jajkami. Przebywający w Rzeczypospolitej za panowania Zygmunta III Wazy inżynier wojskowy i architekt Francuz Guillaume de Beauplan opisał ten zwyczaj, a w notatkach stwierdził, że w ciągu dwóch godzin ksiądz zebrał 5 tys. jaj!

Jajko podlegało szczególnej sankcji. Absolutnie nie można było go ukraść, i to nie ze względu na stratę, którą ponosił okradziony, a karę, którą ponosił złodziej. Wierzono, że ten, kto je ukradnie, będzie miał aż siedem grzechów, a nie tylko jeden – piszą Anna Ziółek i Justyna Górska-Streicher na stronie internetowej Muzeum Wsi Radomskiej.

Najzdrowsze

Symbolika jajka jest przebogata. Przez wieki wykorzystywano je jako ważny rekwizyt rytualny. A przy tym jest jednym z najzdrowszych i najbardziej pożywnych produktów stworzonych przez naturę. Nie ma się co dziwić Donaldowi Trumpowi, że szuka po świecie tanich jaj dla swoich wkurzonych rodaków, bo ostatnio podrożały w USA nawet o 350 proc., co mocno zdenerwowało obywateli. Rekordowa drożyzna stała się nawet tematem debaty politycznej w Kongresie.

Na szczęście u nas ceny jaj nie szaleją, więc w Wielkanoc możemy sobie pofolgować i zjeść ich nawet trzy razy więcej niż zwykle (dwa dziennie powinny być normą). Na pewno są zdrowsze niż kiełbasy, mięsa, pieczone tłuste boczki i słodycze. Na naszych stołach będą królować te ugotowane na twardo, ale najlepiej przyswajamy przygotowane na miękko albo w koszulce, z płynnym żółtkiem otulonym ściętym białkiem. W takiej formie warto je podawać na sałatach skropione cytrynowymi sosami, z pierwszymi szparagami, które już się pojawiają w sprzedaży albo z młodymi ziemniakami, poszatkowanymi rzodkiewkami i mnóstwem szczypiorku, polane lekkim sosem musztardowym z oliwą.

Anna Monicka

Wykorzystałam „Jajko w kulturze", www.muzeum-radom.pl, „Znaczenie jaja w symbolice i wierzeniach człowieka" Małgorzaty Gomułki

REKLAMA

01/0425/F

eprasa.pl efe16954bb

Piłka jest kobietą

MICHAŁ MUZYCZUK

Bez wątpienia największą dumą polskiego futbolu i jego czołowym towarem eksportowym pozostaje Robert Lewandowski. Jego pozycja jako najlepszego piłkarza w historii grającego z orłem na piersi jest niezagrożona. Ale jest ktoś, kto dorównuje mu statystykami, osiągnięciami i pozycją w międzynarodowym futbolu. Ewa Pajor, bo o niej mowa, to sportowy fenomen i najlepsza reklama piłki nożnej w kobiecym wydaniu

Od sezonu 2024/2025 Ewa Pajor jest zawodniczką FC Barcelona Femení, a tym samym ma wiele okazji do podpatrywania umiejętności „Lewego", który w stolicy Katalonii gra od 2022 r. Po swoim transferze Polka dostała wiadomość od starszego kolegi: „Będziesz bardzo szczęśliwa w Barcelonie. Klub działa świetnie i zdobędziesz tu wiele trofeów. Strzelaj jak najwięcej, tak jak przystało na nas, dwóch polskich napastników Barcelony". Ewa wzięła sobie do serca słowa Roberta i na razie zdobyła dla hiszpańskiej drużyny 22 gole we wszystkich rozgrywkach, dokładając do tego 9 asyst. Tym samym na szczycie klasyfikacji króla strzelców zarówno w męskich, jak i w kobiecych rozgrywkach ligi hiszpańskiej znajdują się Polacy.

20 lat temu, kiedy mała dziewczynka z niewielkiej wsi Pęgowo w centralnej Polsce stawiała pierwsze kroki w świecie futbolu, nawet w najśmielszych snach nie mogła liczyć na to, jak wiele osiągnie.

Na krajowym podwórku

Ewa Pajor urodziła się 3 grudnia 1996 r. w Uniejowie. Pierwszy kontakt z piłką był dla dziewczynki bolesny – podczas szkolnego meczu starszy kolega ze świetlicy kopnął futbolówką prosto w twarz Ewy. Ale ona zamiast uciec z płaczem i nabrać strachu wobec piłki, otarła łzy i wróciła na boisko, żeby dokończyć mecz.

Zaczęła trenować w wieku ośmiu lat w klubie Orlęta Wielenin. Już wtedy jej umiejętności wyróżniały się na tle rówieśników, a determinacja i pasja do gry zapowiadały wielką karierę. Początkowo trenowała z chłopcami, a po kilku latach w utworzonej specjalnie dla niej drużynie dziewczęcej. Po ukończeniu szkoły podstawowej przeniosła się do Konina, gdzie razem z siostrą zamieszkała w internacie. Została zawodniczką miejscowego Medyka. Od razu było wiadomo, że miała nieprzeciętny talent.

W Ekstralidze Kobiet zadebiutowała 14 kwietnia 2012 r. w wieku zaledwie 15 lat dzięki uzyskaniu specjalnego pozwolenia z PZPN, stając się tym samym najmłodszą debiutantką w historii ligi. W meczu przeciwko drużynie z Białej Podlaskiej weszła na murawę w drugiej połowie i zdobyła dwa gole, pokazując swój niezwykły instynkt strzelecki. W finale Pucharu Polski zdobyła obydwie bramki w zwycięskim meczu z Unią Racibórz. W kolejnych dwóch sezonach dzięki wyczynom młodziutkiej i niezwykle bramkostrzelnej zawodniczki Medyk zdobywał krajowy dublet, stając się hegemonem na polskim podwórku. Swoją przygodę z Medykiem Konin Pajor zakończyła w spektakularny sposób – zdobyciem hat tricka w zwycięskim finale Pucharu Polski rozgrywanym w czerwcu 2015 r. przeciwko Górnikowi Łęczna.

W 2013 r. Pajor cieszyła się z Mistrzostwa Europy zdobytego z reprezentacją do lat 17 w szwajcarskim Nyonie, gdzie została uznana najlepszą zawodniczką turnieju. Niecałe dwa miesiące później świętowała debiut w kadrze seniorskiej, który oczywiście okrasiła golem. Kiedy Medyk Konin rozgrywał swój pierwszy mecz w Lidze Mistrzyń UEFA przeciwko Glasgow City, Pajor otworzyła wynik spotkania.

Gwiazda europejskiego formatu

Skauci europejskich gigantów zauważyli ogromny talent Polki, a wyścig o podpis na kontrakcie wygrał VfL Wolfsburg, czyli triumfator Ligi Mistrzyń UEFA z 2013 i 2014 r. Pierwsze miesiące w Niemczech były dla Ewy Pajor trudne, zadebiutowała w pierwszym zespole Wilczyc dopiero w listopadzie, a pierwszego gola we Frauen-Bundeslidze strzeliła w maju 2016 r. Ale od tamtej pory napastniczka nie zatrzymywała się nawet na

Fot. Mikołaj Barbanell/Shutterstock.com

eprasa.pl efe16964bb

chwilę. To właśnie w Niemczech jej talent rozkwitł w pełni, a ona sama stała się jedną z najlepszych napastniczek na świecie.

Trener VfL Wolfsburg Tommy Stroot mówił: „Ona jest wyjątkowa. Ma wszystko, czego potrzebuje piłkarka ze światowej półki". Pajor wspólnie ze swoim klubem zdobyła pięć tytułów mistrza Niemiec i sięgnęła po ligowy tytuł królowej strzelców w sezonach 2018/2019 i 2023/2024, w dodatku aż dziewięć razy cieszyła się z Pucharu Niemiec.

Była trenerka reprezentacji Niemiec Martina Voss-Tecklenburg wypowiadała się o Polce w samych superlatywach: „Ewa Pajor to piłkarka o niezwykłym talencie. Jej szybkość, technika i instynkt strzelecki czynią ją jedną z najlepszych napastniczek na świecie".

Na krajowym podwórku Wolfsburg rywalizował przede wszystkim z Bayernem Monachium. Z kolei o miano najlepszej kobiecej drużyny w Europie walczył m.in. z francuskimi zespołami Olympique Lyon i Paris Saint-Germain, londyńską Chelsea oraz katalońską FC Barcelona.

Ewa Pajor została pierwszą Polką, która zagrała w najważniejszych meczach na kontynencie: Wilczyce czterokrotnie walczyły w finale Ligi Mistrzyń UEFA, ale za każdym razem musiały uznać wyższość rywalek. Warto podkreślić, że została najlepszą strzelczynią rozgrywek w sezonie 2022/2023.

Z kolei najlepszą drużyną na kontynencie stawała się FC Barcelona, mająca w składzie zawodniczki pokroju pomocniczki Aitany Bonmatí, obrończyni Mapi León czy słynnej Alexii Putellas. Kataloński klub wygrywał Ligę Mistrzyń w latach 2021, 2023 i 2024, a marząca o triumfie w tych rozgrywkach Ewa Pajor dołączyła do FC Barcelona Femení jako jej największe letnie wzmocnienie przed trwającym sezonem. Ten transfer potwierdza status Polki jako jednej z najlepszych piłkarek na świecie i otwiera nowy rozdział w jej karierze.

Ewa znakomicie odnajduje się w dominującym sposobie gry Barcelony bazującym na posiadaniu piłki, dzięki czemu ma mnóstwo okazji do umieszczania jej w siatce.

Z orzełkiem na piersi

W reprezentacji Polski Ewa Pajor podobnie jak jej kolega z klubu Robert Lewandowski jest najskuteczniejszym strzelcem w historii, i tak samo jak „Lewy" nosi na ramieniu opaskę kapitańską. Jej gole i asysty są nieocenione dla reprezentacji, a sama obecność na boisku dodaje pewności siebie całej drużynie.

Polska reprezentacja dopiero buduje swoją pozycję na arenie międzynarodowej. Za najsilniejsze są uznawane Amerykanki (czterokrotnie zdobywały tytuł mistrzyń świata i aż pięć razy sięgały po złoty medal olimpijski), renomę mają także Kanadyjki, Brazylijki czy Japonki. Spośród europejskich drużyn na czoło wysuwają się Hiszpanki (aktualne mistrzynie świata) i Niemki (osiem razy zdobywały mistrzostwo Europy), zawsze groźne są również Angielki, Holenderki i reprezentantki państw skandynawskich.

Polska kadra nie brała udziału w żadnych wielkich turniejach, ale już za chwilę się to zmieni. Pod wodzą Pajor Polki przygotowują się do debiutu w mistrzostwach Europy, które zostaną

eprasa.pl efe16964bb

rozegrane w Szwajcarii. Biało-Czerwone trafiły do arcytrudnej grupy z Niemkami, Dunkami i Szwedkami, więc oczekiwania nie są wygórowane. Polska zajmuje obecnie 28. miejsce w kobiecym rankingu FIFA. Ostatnio prezentujący się średnio i znajdujący się na niższej, bo 34. pozycji panowie powinni brać przykład ze swoich koleżanek. By Polki mogły zaistnieć na turnieju, absolutnie niezbędny będzie instynkt strzelecki pani kapitan, którym błyszczy w rozgrywkach Ligi Narodów. Reprezentacja radzi sobie w niej doskonale i na razie ma komplet zwycięstw w swojej grupie.

Ale zanim Pajor zacznie podbój szwajcarskich boisk, czeka ją walka o mistrzostwo Hiszpanii (Barcelona przewodzi tabeli) oraz obrona tytułu najlepszej drużyny Europy (w półfinale Ligi Mistrzyń kataloński klub spotka się z Chelsea).

W jednym szeregu z legendami

Ewa Pajor to wszechstronna napastniczka, która potrafi grać zarówno na pozycji środkowej, jak i na skrzydle. Jej atuty to przede wszystkim szybkość, technika, drybling i skuteczność strzelecka. Potrafi zdobywać bramki i asystować koleżankom z drużyny. Jeśli chodzi o męską piłkę, Ewa od zawsze wzorowała się na Cristianie Ronaldzie. W piłce kobiecej nawiązuje do najlepszych napastniczek w historii, które swoimi umiejętnościami, determinacją i osiągnięciami wywarły ogromny wpływ na rozwój tej dyscypliny sportu. Pierwszymi prawdziwymi legendami można nazwać Amerykankę Michelle Akers i Chinkę Sun Wen. To one zainspirowały miliony dziewcząt na całym świecie do uprawiania piłki nożnej. Na przełomie wieków niekwestionowanym numerem jeden była Amerykanka Mia Hamm, która poprowadziła reprezentację USA do dwóch triumfów olimpijskich i dwóch mistrzostw świata. Później miano najlepszej przejęła Niemka Birgit Prinz grająca dla zespołu 1. FFC Frankfurt, a następnie przez wiele lat wzorem dla innych stała się Brazylijka Marta, która największe sukcesy odnosiła ze szwedzkim zespołem Umeå IK.

Ostatni czas to dominacja hiszpańskich pomocniczek reprezentujących FC Barcelona Femení: Alexii Putellas i Aitany Bonmatí. To wspólnie z nimi Ewa Pajor buduje siłę klubu pewnie zmierzającego po kolejne triumfy. Polka tworzy bramkostrzelny duet z norweską napastniczką Caroline Graham Hansen. O Pajor w samych superlatywach wypowiadała się ikona katalońskiego klubu Gerard Pique: „Ewa to piłkarka kompletna. Ma wszystko, co potrzebne jest napastnikowi światowej klasy".

Trudna droga do popularności

Ewa Pajor to jeden z motorów napędowych kobiecej piłki nożnej, która z roku na rok zyskuje na popularności. Historia rozwoju tej dyscypliny jest opowieścią o determinacji, walce o równouprawnienie i pasji do sportu. Początki kobiecego futbolu sięgają XIX w. – w 1894 r. powstał pierwszy kobiecy klub piłkarski – British Ladies' Football Club. Start był obiecujący i zmagania kobiet cieszyły się popularnością, ale niestety uprzedzenia społeczne i brak wsparcia ze strony oficjalnych struktur sportowych hamowały rozwój dyscypliny. Przykład? W 1921 r. Angielska Federacja Piłkarska zakazała kobietom gry na swoich stadionach. W tym samym roku powstała pierwsza żeńska drużyna w Polsce stanowiąca sekcję Towarzystwa Sportowego Unia Poznań.

W drugiej połowie XX w. kobieca piłka nożna zaczęła się odradzać w różnych krajach na świecie. W 1957 r. przy klubie Kolejarz Katowice powstała pierwsza powojenna kobieca drużyna piłkarska. W kolejnych latach powstawały kolejne, m.in. w Warszawie, Łodzi, Krakowie i Wrocławiu, a w 1975 r. odbyły się pierwsze nieoficjalne zmagania o mistrzostwo kraju. W latach 70. zniesiono zakazy gry kobiet w piłkę nożną w wielu państwach, co przyniosło dalszy rozwój kobiecego futbolu. W 1979 r. został on wzięty pod skrzydła przez Polski Związek Piłki Nożnej i w sezonie 1979/1980 rozpoczęły się pierwsze oficjalne mistrzostwa Polski kobiet. W 1981 r. pierwszy oficjalny mecz rozegrała polska kobieca reprezentacja – debiut zakończył się porażką w meczu z Włoszkami. Dekadę później, w 1991 r., odbyły się pierwsze oficjalne Mistrzostwa Świata Kobiet w Piłce Nożnej organizowane przez FIFA, a od 1996 r. dyscyplina ta jest wpisana do programu letnich igrzysk olimpijskich.

> Ewa Pajor przekroczyła wszystkie granice w polskiej piłce i teraz zaczyna wytyczać nowe

Rosnąca liczba zawodniczek, profesjonalizacja lig i zwiększające się zainteresowanie mediów przyczyniają się do dalszego rozwoju tej dyscypliny. Transmisję z jednego z ostatnich meczów polskiej reprezentacji w szczytowym momencie oglądało ponad 500 tys. widzów, a rekord widzów na meczu padł chwilę wcześniej w Gdańsku i wynosi prawie 8,5 tys. kibiców. W Polsce zmagania piłkarek na najwyższym poziomie są organizowane w ramach Ekstraligi, gdzie liczba widzów rośnie w ponaddwudziestoprocentowym tempie rok do roku. W sezonie 2023/2024 zmagania piłkarek przyciągały na stadiony średnio prawie 600 osób.

To ona wytycza granice

Ewa Pajor to jedna z twarzy kobiecego futbolu i inspiracja dla wszystkich dziewczyn, które chcą spróbować sił w tym tradycyjnie męskim sporcie. Zbigniew Boniek, były prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej, wystawił napastniczce nie lada laurkę: „Ewa Pajor to wzór do naśladowania dla młodych piłkarek. Jej determinacja i ciężka praca są inspiracją dla wielu".

Polka ma 28 lat, więc znajduje się u szczytu kariery. Gra w najlepszym klubie na świecie, a reprezentacja Polski wreszcie zaczyna osiągać wyniki na miarę swoich możliwości. Napastniczka już raz znalazła się w gronie nominowanych do nagrody dla najlepszej piłkarki świata, więc może w przyszłości zostanie uznana za taką? Bo jeśli chodzi o Polskę, Pajor przekroczyła już wszystkie granice i teraz zaczyna wytyczać nowe.

eprasa.pl efe10364bb

Polski lotnik w Afryce

Jan Zumbach, as myśliwski i dowódca legendarnego Dywizjonu 303, po wojnie przemytnik, najemnik i właściciel paryskiego klubu. Jego życie to opowieść o brawurze, przygodzie i niepokornym duchu. Od przestworzy nad Anglią po dżungle Afryki – wszędzie był legendą

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Katanga była bogatą w surowce południową prowincją Konga, która tuż po ogłoszeniu niepodległości przez kraj w 1960 r. postanowiła odłączyć się od reszty państwa. Jej przywódcą został Moise Czombe, wspierany przez zachodnie koncerny zainteresowane bogactwami naturalnymi regionu – zwłaszcza miedzią i uranem. W tej mieszance interesów kolonialnych potęg, zimnowojennego napięcia i chaosu młodego państwa pojawił się Jan Zumbach. Jako legendarny pilot z czasu II wojny światowej został szefem lotnictwa Katangi. Nie był to jedyny zadziwiający epizod w jego życiu.

Na całe życie

Od dziecka marzył o tym, żeby zostać pilotem. W wieku 13 lat oglądał w Brodnicy pokazy akrobacji lotniczych, które zafascynowały go do tego stopnia, że zdefiniowały całe jego życie. Jan Zumbach urodził się 14 kwietnia 1915 r. na terenie Ursynowa, dzisiejszej południowej dzielnicy Warszawy, a wówczas cichej podmiejskiej okolicy. Pochodził ze szwajcarsko-polskiej rodziny. Wychowywał się w majątku ojca w Bobrowie koło Brodnicy w województwie pomorskim. Rodzice chcieli, żeby studiował prawo lub został kawalerzystą, pragnienie wzbicia się w przestworza było jednak silniejsze.

W 1936 r. młody Janek zaciągnął się do Szkoły Podchorążych Lotnictwa w Dęblinie. Aby móc się do niej dostać, musiał sfałszować zgodę matki na wstąpienie do wojska. 15 października 1938 r. został promowany na podporucznika ze specjalnością pilota myśliwskiego.

W 1939 r. był członkiem załogi 111. Eskadry Myśliwskiej. Wiosną w trakcie lądowania podczas ćwiczeń uległ wypadkowi, przez co trafił do ośrodka rehabilitacyjnego w Zaleszczykach. Tam zastała go wojna. Zumbach bez wahania wyruszył na poszukiwanie swojej eskadry, nie zdążył jej jednak odnaleźć. Po sowieckiej agresji na Polskę udało mu

Fot. NAC

się dotrzeć do Rumunii małym samolotem łącznikowym. Nie był tam jednak mile widziany, dlatego musiał uciekać. Z Bukaresztu dojechał do niewielkiego portu Balcic nad Morzem Czarnym, skąd drogą morską przez Bejrut dostał się do Francji. Tam został wysłany do Centrum Wyszkolenia Lotnictwa Polskiego.

Po upadku Paryża w czerwcu 1940 r. Jan Zumbach na statku Kmicic ewakuował się do Wielkiej Brytanii, gdzie został przydzielony do formowanego w Northolt słynnego Dywizjonu 303 im. Tadeusza Kościuszki. Swój myśliwiec ozdobił wizerunkiem Kaczora Donalda, co stało się jego znakiem rozpoznawczym.

Postrach niebios

W trakcie bitwy o Anglię Jan Zumbach odznaczył się niezwykłą skutecznością. Podczas całej II wojny światowej zestrzelił 13 samolotów, przy czym są to tylko potwierdzone przypadki. Prawdopodobnie liczba zestrzeleń osiągnęła nawet 18 wrogich maszyn, a większość właśnie podczas bitwy o Anglię.

W maju 1941 r. został zestrzelony nad kanałem La Manche przez messerschmitta Bf 109, ale szczęśliwie udało mu się awaryjnie wylądować na terenie Anglii. Kilka tygodni później znów wzbijał się w powietrze. W marcu 1942 r. został dowódcą eskadry A w Dywizjonie 303, a w maju tego samego roku przejął po kpt. Walerianie Żaku dowodzenie nad całym dywizjonem. Pod jego przywództwem jednostka kontynuowała walki nad Europą, odnosząc kolejne sukcesy.

W kwietniu 1943 r. Zumbach został dowódcą 3. Polskiego Skrzydła Myśliwskiego, a w sierpniu 1944 r. objął dowództwo 133. Skrzydła Myśliwskiego RAF, stając się jedynym polskim pilotem na takim stanowisku w brytyjskich siłach powietrznych. Za zasługi uhonorowano go Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari, czterokrotnie Krzyżem Walecznych i dwukrotnie brytyjskim Distinguished Flying Cross.

Choć podczas walk powietrznych był niekwestionowanym bohaterem, na ziemi pozostał niepokorny. Słynął z awanturniczego ducha i dobrego humoru. Przerwy w lotach wykorzystywał na długie imprezy i płomienne romanse. Jak pisał po latach w swojej autobiografii, często celowo szukał kłopotów: „A przecież bywają ludzie, którzy tylko wtedy czują się dobrze, gdy muszą wygrzebywać się z najgorszych trudności. Należałem do nich, brak kłopotów zawsze mnie gniewał. Spokojne życie budziło we mnie trwogę”.

Piloci Dywizjonu 303

Dowcipniś, awanturnik, przemytnik

W kwietniu 1945 r. w holenderskiej bazie Gilze-Rijen spotkał swojego dawnego kolegę z kursu w Dęblinie, Tadeusza Kawalewskiego. Po wspólnym świętowaniu, gdy zabrakło alkoholu, Zumbach postanowił zrobić koledze żart i zaproponował, że poleci razem z nim do bazy w Redhill, mimo że sam tam nie stacjonował. Ponadto zaproponował staremu druhowi, że poleci przodem. Bardzo mocno wstawiony Kawalewski ochoczo przystał na tę propozycję i obaj wsiedli do swoich małych samolotów łącznikowo-obserwacyjnych Taylorcraft Auster. Były dowódca Dywizjonu 303 nie zamierzał jednak lecieć prosto w kierunku Anglii, lecz skierował się w stronę terenów kontrolowanych jeszcze przez Niemców. „Na myśl o niespodziance, jaką mu zgotowałem, chciało mi się śmiać” – wspominał Zumbach. Sytuacja jednak szybko przestała być zabawna, Polaków na celownik wzięła bowiem niemiecka obrona przeciwlotnicza. Jeden z pocisków trafił w zbiornik paliwa austera pilotowanego przez Zumbacha. Piloci musieli lądować awaryjnie, noc spędzili w pobliskiej stodole. Pech ich nie opuszczał. Rankiem następnego dnia okazało się, że Niemcy dotarli do ich samolotów. Piloci ruszyli pieszo w stronę linii frontu i kiedy wydawało się, że powrót się uda, zostali złapani. W ten sposób Zumbach ostatni miesiąc wojny spędził w niewoli. Jednak wobec sytuacji na froncie na początku maja oddziały niemieckie skapitulowały, a więzień odzyskał wolność.

Po wojnie „Kaczor Donald” nie miał dokąd wracać, komunistyczna Polska nie czekała na bohaterów z Londynu. Oczywiście Zumbach nie miał zamiaru gnić w bezczynności. Osiedlił się w Szwajcarii, gdzie w 1947 r. założył firmę lotniczą Flyaway Ltd. zajmującą się transportem powietrznym. Firma stała się przykrywką dla działalności przemytniczej. Przez niemal 10 lat przemycał na pokładzie samolotów różne towary. Do Anglii przewoził szwajcarskie zegarki, do Palestyny złoto, a do Włoch papierosy. Przemyt nie przyniósł Zumbachowi oczekiwanych zysków – okradli go wspólnicy, parokrotnie musiał także płacić grzywnę za nielegalny przewóz towarów. W 1955 r. otworzył w Paryżu dyskotekę Club de l’Étoile.

Najemnik „Johnny Brown”

W styczniu 1962 r. przywódca Katangi Moise Czombe osobiście spotkał się w Genewie z Janem Zumbachem. Trwało wówczas zawieszenie broni między separatystami a władzami Konga wspieranymi przez siły ONZ. Polak otrzymał zadanie stworzenia od podstaw sił powietrznych dla nowo powstałego państwa. Zgodził się zostać najemnikiem. Rozpoczął od przerzucenia do Katangi sześciu treningowych samolotów T-6 Harvard używanych przez Wielką Brytanię i USA w czasie II wojny światowej. Maszyny rozłożono na części i przerzucono do Angoli w ładowni

Fot. Polish Institute and Sikorski Museum London

eprasa.pl efe103364bb

statku jako części do maszyn rolniczych. Następnie zostały złożone i poleciały prosto do Katangi. Zanim zaczęły być używane na placu boju, wyposażono je w karabiny maszynowe.

Oprócz organizowania zakupu i transportu samolotów z Europy Jan Zumbach prowadził rekrutację wykwalifikowanych pilotów i mechaników, przygotował sieć lądowisk w dżungli, a także zajął się przeszkoleniem miejscowych żołnierzy. Dzięki dużej determinacji udało mu się przekonać Czombego do przekazania armii luksusowego samolotu DC-3, który został przerobiony na wojskowy transportowiec. Pod pseudonimem „Johnny Kamikaze" Brown dowodził siłami powietrznymi i brał udział w walkach przeciwko wojskom kongijskim.

Całą wojnę latał bojowo na przestarzałych maszynach cywilnych i treningowych. Parokrotnie spotykał w powietrzu myśliwce ONZ Saab F-22 ze szwedzkimi pilotami, unikał jednak walk z jednostkami międzynarodowymi. Między atakami na pozycje wroga Zumbach używał swojej maszyny także jako samolotu szpitalnego.

Niestety jego wysiłki zostały zniweczone przez niekompetencję miejscowych dowódców oraz korupcję wśród lokalnych elit. Głównodowodzący armią Katangi gen. Muke był analfabetą i nie potrafił korzystać z map, co uniemożliwiało skuteczne koordynowanie działań wojskowych. Dodatkowo armia Katangi składała się z niedoświadczonych żołnierzy, a jej siła *de facto* opierała się na nielicznych białych najemnikach. Wobec pogarszającej się sytuacji na froncie pod koniec grudnia 1962 r. katangijski rząd salwował się ucieczką za granicę. Kilkanaście dni później Zumbach wraz z żoną wsiadł do samolotu i poleciał do Angoli. Potem zamieszkał we Francji, gdzie otworzył restaurację. W styczniu 1963 r. siły międzynarodowe zajęły stolicę regionu – Élisabethville. Rebelia dobiegła końca.

Zbawca Biafry

W czerwcu 1967 r. „Johnny Brown" zaangażował się w kolejny afrykański konflikt. Niecały miesiąc wcześniej niepodległość ogłosiła Biafra, południowowschodni region Nigerii. Przyczyną konfliktu były głębokie podziały etniczne, represje wobec chrześcijańskiej ludności Ibo, a także rywalizacja o kontrolę nad bogatymi złożami ropy naftowej. Nigeryjski rząd nie uznał niepodległości regionu i rozpoczął brutalną ofensywę, która przerodziła się w wojnę domową.

Kolejny rozdział afrykańskich przygód Zumbacha zaczął się od pytania, które zadał mu inny najemnik z Katangi podczas spotkania na Polach Elizejskich: „Czy mógłbyś mi sprzedać bombowiec?".

> „10 lipca 1967 r. *vox populi* nadał mi spontanicznie tytuł Zbawcy Biafry! W ciągu kilku godzin stałem się dla Biafrańczyków człowiekiem nr 2 po pułkowniku Ojukwu, równie jak on – tyle że znacznie krócej czczonym" – pisał we wspomnieniach Zumbach

Legendarny pilot Dywizjonu 303 od kilku lat był żonaty i miał dwuletniego syna, jednak niespokojna dusza nie pozwoliła znudzonemu restauratorowi zignorować nadarzającej się okazji.

Jego zadaniem było utworzenie sił powietrznych dla nowo proklamowanego państwa. Zumbach rozpoczął działania od zakupu i przetransportowania do Biafry bombowca B-26. Na miejscu polskiego lotnika uroczyście przywitał prezydent nowej republiki Chukwuemeka Odumegwu Ojukwu. Bombowiec został pomalowany w maskujące barwy i ozdobiony na dziobie biało-czerwoną paszczą rekina. Zainstalowano w nim przestarzałe karabiny maszynowe, a prowizoryczne bomby miały być wyrzucane przez drzwi komory bombowej. Samolot ten, nazywany „latającym straszydłem", odegrał kluczową rolę w początkowych sukcesach Biafry. Zbombardował m.in. lotnisko w Makurdi, gdzie zniszczono kilka samolotów przeciwnika oraz zestrzelono śmigłowiec z szefem sztabu armii nigeryjskiej na pokładzie.

Po tym wydarzeniu Zumbach został bohaterem nowego państwa, o czym także pisał w swoich wspomnieniach: „10 lipca 1967 r. *vox populi* nadał mi spontanicznie tytuł Zbawcy Biafry! W ciągu kilku godzin stałem się dla Biafrańczyków człowiekiem nr 2 po pułkowniku Ojukwu, równie jak on – tyle że znacznie krócej czczonym".

Kolejną brawurową akcją było zbombardowanie przy użyciu beczek z benzyną niszczyciela Nigeria, który blokował dostęp do głównego portu prowincji. Ale po początkowych sukcesach szala zwycięstwa coraz bardziej przechylała się na stronę przeciwnika.

Nigeria była znacznie silniejsza i miała międzynarodowe wsparcie. Otrzymywała broń zarówno od Wielkiej Brytanii, jak i Związku Sowieckiego, podczas gdy Biafra mogła liczyć jedynie na prywatnych kontrahentów. Ci z kolei nie zawsze wywiązywali się z zamówień broni i sprzętu wojskowego. Dodatkowo od zbuntowanego regionu odwróciły się wielkie koncerny, które dotąd liczyły na zyski z eksploatacji złóż ropy, a finalnie uznały Nigerię za atrakcyjniejszego partnera handlowego. Biafra, mimo iż słuszność była po jej stronie, nie miała szans na obronę swojej niepodległości. Polski pilot spędził w zbuntowanej prowincji cztery miesiące. Następnie ponownie wyjechał do Francji.

Po powrocie do Europy pilot postanowił w końcu ustabilizować swoje życie. Zajął się biznesem w branży gastronomiczno-rozrywkowej. W 1972 r. napisał autobiografię, którą zatytułował „Mister Brown". Zmarł w 1986 r. w Paryżu w niewyjaśnionych okolicznościach. Jedną z hipotez był zawał, choć krążą różne wersje – jak to bywa w przypadku ludzi, których życie bardziej przypominało film akcji niż biogram w encyklopedii. Francuskie władze zamknęły śledztwo bez podania przyczyny zgonu, co do dziś budzi spekulacje. Jego ostatnią wolą było, aby pochowano go na polskiej ziemi. Tak się też stało – spoczął na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie.

epresa.pl efe16954bb

3 MIŁOŚCI

Polska walcząca

ROBERT TEKIELI

Przez Polskę płynie fala. Był Różaniec do Granic. Jest Ruch Obrony Granic. Polacy zaczynają oswajać zagrożenie. Czy obronią suwerenność, czy zatrzymają napływ zorganizowanych przez europejską oligarchię grup nieasymilujących się mężczyzn? Czy obronią się przed cenzurą „mowy nienawiści", finansowym obezwładnieniem opozycji, niszczeniem mediów niezależnych od władzy?

Robi się niebezpiecznie. Zamiast Redzikowa+, Jasionka–. Za nami rozbiór Gruzji i Anschluss wschodniej Ukrainy. BND przestało raportować CIA, globalizacja utuczyła marksistowskie Chiny. USA redefiniują swoją hegemonię. Cłami chcą wymusić reindustrializację kraju. Tną wydatki, muszą eksploatować, odebrać to, co skonsumowała Europa, bogacąc się ich kosztem. Wszyscy będą musieli płacić za utrzymywanie światowego systemu bezpieczeństwa. 11 lotniskowców klasy Nimitz to nie jest tania sprawa, tak samo kolejnych 9 klasy Wasp i America. Wynajęcie szeryfa kosztuje. Wiemy to z westernów.

Można się skupiać na ewidentnych przejawach amatorszczyzny ekipy Trumpa, przyjrzyjmy się jednak dużej fotografii. Globalizacja przestała się USA opłacać. Trump zdjął białe rękawiczki. Na chwilę wraca koncert mocarstw. Stany chcą być właścicielem opery, producentem nagrań i dyrygentem. Zmienił się cały system sojuszniczy. Ale Pax Americana się nie skończył. Przybiera inną formę.

Czas na wyjście części wojsk amerykańskich z Europy. Reset z Rosją jest nieuchronny, okazała się wystarczająco silna.

Pytanie, czy USA znajdą w Europie aliantów i wtedy, negocjując z pozycji siły, usadzą Rosję. Jeśli nie, jesteśmy na stole. Dołączymy do Ukrainy. Niemcy są kluczowe. Blokując deal surowcowy, wystawiły Kijów. Ze szkodą dla Polski.

A Europa pędzi na ścianę i przyspiesza. Kolejne koalicje niechętnych. Chaos. Niezdolność do zastąpienia USA w realnym wsparciu Ukrainy. Niemieckie przywództwo zabiło Unię. Spadła ze światowej szachownicy.

UE ogłasza nowe cele klimatyczne, Litwie i Estonii odmawia unijnych pieniędzy na „mur dronów" mający chronić ich granice. Brytyjska policja dziennie aresztuje 30 osób za wpisy w internecie. W Polsce przed wyborami konserwatywne telewizje tracą koncesje. Unia von der Leyen finansuje kampanie klimatystów przeciwko krytykom rządzącej oligarchii. W Polsce Zorganizowani Hejterzy pokazują odciętą głowę Przemysława Czarnka w lodówce. Osiem lat temu amerykańska aktywistka informacyjna pozowała do zdjęć, trzymając imitację odciętej głowy Donalda Trumpa. Potem był zamach. Techniki Syndykatu. KGB/GRU/USAID. Zastraszenie, zmrożenie wyobraźni Polaków.

Polska będzie albo wielka, silna Bogiem, ekonomią i moralnością, albo jej nie będzie. Ukraińcy wiedzą, co na froncie znaczy morale

Erdoğan aresztuje konkurenta w wyborach, francuskie liberalne elity eliminują Le Pen z wyborów. Rumunia, Polska, Burkina Faso. Nikt się na PL nie obejrzy. Mają wolną rękę.

Zostaje organizowanie aktywnych grup społecznych. Kontakty w wojsku, policji. Opisywanie na bieżąco zamachu stanu. Obrona mediów. Modlitwa i post. Pokora. Miłość nieprzyjaciół.

Wojnę z cywilizacją śmierci prowadzi libertyn. Okultystyczne techniki stosowane przy transindoktrynacji dzieci. Synergia nurtów śmierci. Sprawy idą po ostrzu noża.

Ze śmiercią można walczyć tylko życiem. Jak walczyć o nawrócenie Polski, o nawrócenie Zachodu? Modlitwą i postem. Sama modlitwa nie wystarczy. Niektóre demony wypędza się cierpieniem.

Jaka jest mechanika nawrócenia człowieka. Jaki jest mechanizm metanoi? Stosunkowo łatwo jest wpłynąć na swój intelekt, rozum, rozsądek. W każdej minucie dnia mam się rozglądać, by nie przegapić okazji do okazania bliźniemu bezinteresownej pomocy. A wtedy Bóg działa, Jezus mnie przemienia.

Jaka jest mechanika nawrócenia narodu? Pierwszy krok to publiczne głoszenie prawdy, nawet za cenę represji i śmierci z rąk ludzi Syndykatu. Dlatego kulturowi marksiści zmuszają ludzi do kłamania. O 256 płciach, o tym, że eutanazja jest wyrazem miłosierdzia, a aborcja to prawo, a nie morderstwo. Dlatego ludzie Syndykatu histerycznie atakują spowiedź dzieci, religię w szkołach, egzorcystów. Nie brońcie jednak kapłana, którego nagrano, jak przeprasza swą ofiarę za molestowanie.

Od lat 90. w Polsce trwają prace Syndykatu. „Bravo", „Bravo Girl", swingersi – eksport rozwiązłości z Niemiec jak za okupacji. Z Zachodu ideologia transgresji, przekroczeń moralnych, z Zachodu i Wschodu okultystyczne narzędzia osłabiania narodu.

eprasa.pl efe10364bb

Grzech osłabia naród. Osłabia więzi, niszczy miłość. Mechanika odwracania człowieka od Boga. Mechanika nawracania narodu do Boga.

Narody odchodzą od Boga i do niego wracają. Powrót do tak wielkiego dobra, jakim jest Bóg, to racjonalny wybór. Czasami powroty są racjonalną decyzją wynikającą z doświadczenia zła będącego konsekwencją grzechu ponad miarę. I potężnej pracy narodu nad sobą.

Czy obronimy rodzinę, małżeństwo, integralność naszej ojczyzny i Kościół święty? Czy raczej upodobnimy się do starego Zachodu?

Obronimy się pod jednym warunkiem. Gdy wszyscy usłyszymy płynące z Polski przenikliwe, pokorne wołanie pokutne. I jeśli za nim pójdzie wielki wysiłek organizowania się naszej wspólnoty.

Bo Polska albo będzie wielka, silna Bogiem, ekonomią i moralnością, albo jej nie będzie. Ukraińcy wiedzą, co na froncie znaczy morale.

Moje powołanie to demaskowanie przykrywek dla władzy Syndykatu w sercach ludzi.

WOJNA CYWILIZACJI

RELIGIA

Warte

Trwa wojna cywilizacji, mierzymy się z marksizmem kulturowym, cywilizacją śmierci, musimy mieć duchową broń, narzędzia walki. Jak Prymas Tysiąclecia, kard. Stefan Wyszyński, który na 110 lat rozpisał algorytm duchowego odrodzenia narodu polskiego, swój najważniejszy program duszpasterski: Wielką Nowennę połączoną z obchodami milenium chrztu Polski.

Poprzez realizację każdego ze ślubów z Jasnogórskich Ślubów Narodu Polacy mieli wejść w drugie tysiąclecie chrześcijaństwa jako naród wierzący. I to się udało. Jedynym spod sowieckiego buta.

Dziś Polska, by przeżyć, znów musi się zebrać do wielkiego duchowego wysiłku. Wykonać potężną pracę nad sobą, dać Bogu się przemienić. Pół wieku temu walczono, by dochować wierności Bogu, krzyżowi i Ewangelii, Kościołowi świętemu i ojczyźnie, by „każdy z nas żył w łasce uświęcającej, aby cały naród żył bez grzechu ciężkiego". Walka duchowa szła o poszanowanie życia poczętego, obronę nierozerwalności małżeństwa, godności kobiety, rodziny, religijne wychowanie dzieci i młodzieży. Wypowiedziano duchową, społeczną i formacyjną walkę lenistwu i lekkomyślności, marnotrawstwu, pijaństwu i rozwiązłości Polaków. 60 lat temu ludzie wierzący przyrzekali „zdobywać cnoty wierności i sumienności, pracowitości i oszczędności, wyrzeczenia się siebie i wzajemnego poszanowania, miłości i sprawiedliwości społecznej". Co nieco się z tego udało. Wystarczyło.

Dziś jest podobnie i zupełnie inaczej.

Wierzącą Polskę ogarnął oddolny ruch pokutny. Rozwinęło się ***wynagradzające nabożeństwo pierwszych sobót***, część orędzia objawień fatimskich. Przez pięć miesięcy w pierwsze soboty przyjmujemy Jezusa w Najświętszym Sakramencie, odmawiamy różaniec, 15 minut towarzyszymy Matce Najświętszej w rozważaniu tajemnic różańcowych oraz medytacji i idziemy do sakramentu pojednania i pokuty w intencji wynagrodzenia Bogu za grzechy ludzkości.

Ekspiacyjne akcje zainicjowane przez świeckich – Wielka Pokuta, Różaniec do Granic, Różaniec do Granic Nieba, akcje pokutne Wojowników Maryi i innych ogólnopolskich wspólnot poruszyły całą społeczność katolicką. Zaktywizowali się wierzący mężczyźni.

Od ponad dwóch lat regularnie co miesiąc, w każdy drugi piątek, w bazylice Bożego Ciała w Krakowie o godz. 18.00 jest msza

pokutna o nawrócenie najbliższych ***„Powróć córko, wróć synu"***. „Modlitwa za dzieci, współmałżonków, krewnych, przyjaciół i wszystkich, którzy odeszli od Boga". Można wpisać polecane Bogu osoby do księgi modlitwy i robią to Polacy z całego świata. Dziś jest w niej ponad 7 tys. imion. Kolejne miejsce, w którym rozpoczyna się taka stała forma modlitwy, to sanktuarium w Rokitnie koło mazowieckiego Błonia. W Wielką Środę 16 kwietnia, a potem w każdą trzecią środę miesiąca, będzie miała miejsce właśnie taka msza pokutna, a następna od niedzieli 27 kwietnia w Niepokalanowie, w kaplicy radia Niepokalanów i potem w każdą ostatnią niedzielę miesiąca.

Kolejną modlitewno-pokutną stałą formą aktywności katolików jest ***Kampania Różańcowa*** mająca za cel walkę z wszelkimi przejawami zła na świecie. Została zainicjowana pięć lat temu w Niepokalanowie i potrwa do wypełnienia obietnicy Maryi: „Na koniec moje Niepokalane Serce zatryumfuje!". Czyli do końca świata. Jest jeden warunek przynależności do Kampanii: regularna modlitwa różańcowa. Znakiem przynależności jest cudowny medalik, noszony i propagowany. Modlący się są objęci ochroną duchową – codzienną mszą świętą w Niepokalanowie. Bronią jest tu też jak najczęstsza Eucharystia, praca nad pogłębianiem wiary poprzez lekturę Pisma Świętego i literatury duchowej, korzystanie z rekolekcji. Amunicją – akty miłości według możliwości, stanu zdrowia i roztropności: post, wynagrodzenie za grzechy swoje i innych, uczynki miłosierdzia, przykład chrześcijańskiego życia, dobrowolnie przyjęte cierpienie.

Polska walcząca. Kolejne duchowe narzędzia. To pokutne poruszenie jest niezbędne, by nie zalały nas fale śmierci. By nasze dzieci i wnuki miały przyszłość. Byśmy nie okazali się identyczni z pokoleniem, którym gardzimy. Rozbiorowym pokoleniem Szczęsnych Potockich, Branickich, Rzewuskich.

***Robert Tekieli**, Polskie Radio*

epraasa.pl efe16954bb

Niepokój, ciepło i elegancja

To zapis koncertów, które odbyły się dwa lata temu w Paryżu podczas „Radio France's Howard Shore Weekend". Zagrały wówczas Orchestre Philharmonique de Radio France (OPRF) pod dyrekcją Ludwiga Wickiego i Bastiena Stila oraz orkiestra kameralna Le Balcon pod dyrekcją Mike'a Schäperclausa.

„Antologia" jest rodzajem podsumowania twórczości Howarda Shore'a, laureata trzech Oscarów i uznanego kompozytora muzyki filmowej. Artysty potrafiącego świetnie łączyć komercyjną atrakcyjność z formami i rygorami muzyki modernistycznej, gdzie pełen rozmachu symfoniczny język współgra z awangardową manierą. Shore wielokrotnie bywał w Polsce, to również laureat nagrody im. Wojciecha Kilara oraz autor koncertu fortepianowego inspirowanego twórczością Chopina. Ale przede wszystkim autor znakomitych kilkudziesięciu partytur filmowych. „Anthology – The Paris Concerts" zawiera kompozycje, które stworzył na potrzeby słynnych ekranizacji powieści Tolkiena, a więc „Władcy Pierścieni: Drużyna Pierścienia" i „Hobbita: Pustkowie Smauga", a także filmów, takich jak „Mucha", „Nagi lunch", „Ed Wood", „Crash: Niebezpieczne pożądanie", „Esther Kahn" i „Wschodnie obietnice". Do albumu trafił też brzmiący absolutnie filmowo koncert fortepianowy „Catania", bo Shore to również kompozytor muzyki do współczesnych oper i baletów.

A płyta? Słucha się jej wspaniale, ale nawet w rozszerzonej, dwuczęściowej wersji zawiera tylko wyimek z bogatej kolekcji filmowych motywów, które mogłyby przecież uzupełniać jeszcze dźwięki z „Milczenia owiec" czy „Aviatora". Ale od początku. „Mucha" z lat 80. XX w. to arcydzieło kina grozy, które dla kompozytora stało się przepustką do dalszej kariery. Odcisnął w nim bowiem swoją charakterystyczną pieczęć, bo choć często ilustrował thrillery i horrory, to komponowana dla nich muzyka, nawet mroczna i niepokojąca, emanowała jakimś ciepłem i elegancją. Od początku zakładał, że w muzyce filmowej nie chodzi tylko o to, by przerażającym scenom towarzyszyła przerażająca muzyka, ale o coś znacznie więcej. Zależało mu na wydobyciu podtekstu opowiadanej historii, poszerzeniu jej ram, wyjściu poza kadr, a w konsekwencji pozwoleniu widzowi na poszerzenie własnej wyobraźni. I teraz wyobraźmy sobie, że tylko na potrzeby ekranizacji Tolkienowskiej „Trylogii" i „Hobbita" skomponował ponad 20 godzin znakomitej muzyki!

Howard Shore, „Anthology – The Paris Concerts", Universal Music Polska 2025

Maciej Walaszczyk

Męskie przygody

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Tę biografię polecam wszystkim, którzy tęsknią za normalnością. Do epoki sprzed politycznej poprawności, cyfrowego ogłupienia, ale przede wszystkim do czasów wolności, a więc niewielkiej liczby zakazów i nakazów, minimalnej biurokracji, prostego i zdrowego jedzenia oraz dobrych manier. Czasów, gdy nawet 18-letni chłopak mógł zostać pilotem wojskowego odrzutowca Vampire.

Autor „Akt Odessy" czy „Psów wojny" odkrywa garść wspomnień z dzieciństwa spędzonego w hrabstwie Kent, grozy niemieckich nalotów, a potem kulisy przygotowań do alianckiej inwazji na kontynent. No i miłość do awiacji, rozbudzoną najpierw przez możliwość wejścia do kabiny spitfire'a, a po wojnie obserwowania szybowcowych wyczynów Hanny Reitsch. A także jej naprawdę wielkiego rozczarowania, gdy okazało się, że chłopiec wyciągający w jej kierunku dłoń na powitanie jest Anglikiem, dodatkowo goszczonym w domu byłego oficera Luftwaffe. Dzięki tej znajomości nauczył się jednak niemieckiego, a rosyjskiego od gruzińskich księżniczek Dadiani, córek ostatniego króla Gruzji, będącego w Paryżu częścią białej emigracji. Znajomość kilku języków poprowadziła go znów na Fleet Street wprost do redakcji Reutersa, a potem do Francji, w której na początku lat 60. XX w. zawrzało po porozumieniu gen. de Gaulle'a z terrorystami walczącymi o niepodległość Algierii. Dzięki temu stał się nie tylko świadkiem jednego z zamachów przygotowanych przez OAS, lecz także politycznej kuchni, na zapleczu której kłębiło się od tajnych służb. Dzięki temu angielski dziennikarz z plecakiem i torbą w ręku został autorem książkowego bestselleru „Dzień Szakala", którego początkowo nikt nie chciał wydać, a on sam nigdy nie planował zostać powieściopisarzem. Książka w dużej części obejmuje wspomnienia z czasów zimnej wojny, z Berlina czy Pragi, gdzie doświadczył bardzo bliskiego spotkania z czeską bezpieką StB – a dokładnie piękną agentką Janą. A także wojny Izraela z Egiptem, konfliktów w Nigerii, Rodezji, RPA, a nawet z zakamarków szkoły dla gejsz.

A dlaczego outsider? Forsyth przekonuje, że dziennikarz nie może być częścią establishmentu, a po ścieżkach zawodowej drogi ma go prowadzić wyłącznie ciekawość, sceptycyzm i absolutny brak wiary w to, co jest mu oficjalnie przekazywane. Ten osobny ptak siedzący na osobnej gałęzi, sondujący i komentujący to właśnie outsider. I mówi to współpracownik MI6.

Frederick Forsyth, „Outsider", Fronda 2025

eprasa.pl efe103364bb

W Heliopolis, czyli dzisiaj

Heliopolis to rzeczywistość, w której technika staje się narzędziem absolutnego panowania nad człowiekiem. Ta proza chroni więc nas przed pochłonięciem przez monstrum nowoczesności i pomaga ją zrozumieć

W posłowiu do powieści możemy przeczytać fragment listu, który filozof Gerhard Nebel napisał do swego przyjaciela i jej autora Ernsta Jüngera. Relacjonował, że znani mu księgarze opowiadali, iż klienci zwracali książkę, której po prostu nie potrafili przeczytać. On sam zarzucał jej zbyt wystudiowaną konstrukcję i złożenie fabuły z hermetycznych pojęć. Wstrząsnęła nim jednak swym metafizycznym i poetyckim językiem. Rzeczywiście, opowieść przerywana jest refleksjami, przypowieściami oraz interpretacjami, które wciągają w eseistyczny tok narracji. Jednak krytyka spowodowała, że potem została ona przez Jüngera przepracowana.

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Dziś polskich fanów twórczości pisarza ucieszy zapewne wydanie tej ostatecznej wersji w tłumaczeniu Wojciecha Kunickiego, uzupełnionej o usunięte z pierwotnej wersji „Fragmenty z Heliopolis". To dzieło z gatunku literatury „fantastycznej", które dołącza do wielu jemu podobnych, takich jak „Eumeswil" czy „Szklane pszczoły". A zarazem proza niezwykle realistyczna w opisie świata „gadżetów przyszłości", a więc dzisiejszego (także wczorajszego) triumfu technologii, gdzie „zbiurokratyzowana nauka staje się wręcz funkcją wyższych organów policji".

To także „wizja ponadhistorycznych układów władzy". Akcja powieści rozgrywa się w przyszłości, po apokaliptycznej wojnie, w nieokreślonym do końca czasie. Heliopolis jest opisywane jako metropolia kontrolująca ogromne obszary ziemi. W fikcyjnym mieście walczą ze sobą dwie frakcje: „konserwatywna" Prokonsula i „nihilistyczna" Starosty. Pierwszy liberalnymi środkami dąży do wolności i doskonałości człowieka, kontroluje archiwa, uniwersytety i armię, a drugi za pomocą policji, prasy i Instytutu Toksykologicznego prze do podporządkowania kolektywistycznego społeczeństwa technice i potędze absolutnej biurokracji. Dowódca Lucius de Geer jest członkiem sztabu tego pierwszego, ale coraz bardziej dystansuje się od wewnętrznych walk. W końcu opuszcza Heliopolis, udając się w rodzaj romantycznej ucieczki między nostalgią za pierwotnym światem a techniczną utopią pełną powieściowych smartfonów zwanych tutaj fonoforami, które już w 1949 r. w wyobrażeniu pisarza były idealnym medium dla planetarnej demokracji.

W „Heliopolis" niezwykle znacznie ma oczywiście symbolika odnosząca się np. do spuścizny cywilizacyjnej Greków. W tamtych czasach miasto było przeciwieństwem nieopanowanych przez człowieka peryferii, symbolem kultury, a w sferze politycznej polis. Choć kruche, chroniło przed chaosem zewnętrznym, stanowiło ostoję racjonalnej myśli, stopniowo jednak zastępując mity pierwotnej kultury. Dziś żyjemy w epoce miast będących ich odwrotnością, w epoce niwelacji miasta jako zwornika tamtej cywilizacji. Jego śmierć wynikająca z dewaluacji wyższych wartości zwiastuje nihilizm, dekadencję, triumf pospólstwa i upadek języka.

Jünger przypomina, że upadek każdej formacji historycznej poprzedza jej wewnętrzne osłabienie. To we współczesnych miastach zostaje złamana lojalność wspólnoty. Takie jest właśnie Heliopolis, w którym nie ma już jedności kultu, technika trywializuje obrzędy pogrzebowe, pozbawia mocy ofiary składane bogom, a rozum staje się niczym więcej niż narzędziem panowania. Ulatnia się też *sacrum*, które jest zastępowane narkotycznymi wizjami. Ta proza pomaga nam dziś zrozumieć pochłaniające nas monstrum nowoczesności. Aby odzyskać wolność, człowiek musi z niego uciekać i tak jak Lucius opuścić świat fantastycznej utopii. Bo tylko na wysokim płaskowyżu Pagos znajduje się szkoła wojenna, której kadeci, uczęszczając na lekcje teologii moralnej, odbudowują nową elitę. Jeszcze wyżej jest pustelnia ojca Foelixa. Tam można dyskutować o filozofii, kwestiach etycznych i zajmować się pszczelarstwem. Czy to rzeczywiście proza fantastyczna?

Ernst Jünger, „Heliopolis", Ośrodek Myśli Politycznej 2025

epiasa.pl efe16954bb

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Halina Mikołajska pokazuje piekło

Teatr Telewizji pod kierownictwem Michała Kotańskiego miał ostatnio kilka celnych trafień, choćby „Wizytę starszej pani" Friedricha Dürrenmatta w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, zrobionej trochę w kontrze wobec teatralnej tradycji, a jednak wiernej przesłaniu autora. Przeważają przeniesienia z teatrów scenicznych, cenne, bo utrwalają twórczość z różnych ośrodków. Tyle że nie jest to własna produkcja. Choć kroi się kilka projektów poważnych reżyserów.

Ktoś z kierownictwa TVP co rusz ogłasza, że „Teatr Telewizji się odrodził". Po czym na rocznicę ludobójstwa katyńskiego dostajemy powtórkę „Inspekcji" napisanej przez śp. Grzegorza Królikiewicza, a świetnie wyreżyserowanej przez jego syna Jacka Raginisa – w... 2018 r. To co, ten spektakl wyłonił się z niebytu? W latach 2015–2023 niczego nie było? Sam Kotański w 2019 r. wystawił w TVP swoją wersję „Hamleta".

Co parę tygodni dostajemy powtórki, często z zamierzchłych czasów. Oniemiałem, oglądając „Lalkę z łóżka nr 21" Đorđe Lebovicia, spektakl z 1971 r. w reżyserii bardzo twórczego Jana Kulczyńskiego. Nie żyje ani on, ani żaden z aktorów: Henryk Borowski, Stanisław Zaczyk i Halina Mikołajska. To z okazji 100. rocznicy urodzin wybitnej aktorki przedstawienie wydobyto z archiwum.

Lebović, serbski pisarz pochodzenia żydowskiego, sam miał doświadczenia z pobytem w obozie Auschwitz. Tu opowiedział niezwykłą historię. Oto dawny komendant domu publicznego w obozie, oficer SS, a teraz szanowany adwokat, po latach usiłuje uniknąć odpowiedzialności. Kluczem do jego skazania mogą być zeznania więźniarki Wilmy, zmuszonej wtedy do prostytucji. Dawny esesman (Borowski) odnajduje ją i próbuje zniechęcić do świadczenia. Dowodzi ze swadą, że ludzie nie zrozumieją jej doświadczenia, uznają ją za współwinną. Wilma (Mikołajska) nie wierzy w to. Ale pojawia się jej mąż (Zaczyk) i nie wiedząc, że chodzi o jego żonę, zaczyna osądzać tamte kobiety. Przecież mogły się nie zgodzić. Choćby za cenę śmierci.

Po emisji Joanna Ostrowska, badaczka zjawiska przymusowej prostytucji, a także członkini redakcji „Krytyki Politycznej", osądzała zjawisko w kontekście krzywdy kobiet. Tyle że feminizm nie jest tu głównym kluczem. Świat do dzisiaj nie pojmuje obozowej logiki, również gdy dotyczy ona mężczyzn. To była rzeczywistość, w której ludzie byli zdolni nie tylko do strasznych upokorzeń, lecz także moralnie wątpliwych wyborów, aby się ocalić. A śmierć groziła nieustannie.

Trwała tam walka o byt – czasem jednych więźniów kosztem innych. Czy mamy prawo to osądzać? Czy w piekle mogły przetrwać zwykłe reguły? Straszne pytania bez prostych odpowiedzi. Rzadko je stawiano. Ten spektakl był jednym z niewielu.

Przy okazji to świetna robota teatralna oparta wyłącznie na dialogach. Dominują przewrotne perory dawnego esesmana. Wypowiadane tak charakterystycznym głosem Henryka Borowskiego, aktora niesłusznie zapomnianego, bo był wybitny. Ale taki jest niestety los większości artystów sceny i nawet kina. Mikołajska mówi za to niewiele. Jest jak skamieniała. A my widzimy, na czym polega nawet niema charyzma.

Przy okazji pojawił się temat jej dalszych losów – wspominali Joanna Szczepkowska i Jan Englert. Zaangażowana w antypeerelowski KOR aktorka nie grała przez jakiś czas. A od 1981 r. była bardziej sztandarem narodowym niż artystką ocenianą za role. W „Aniołach z Warszawy", spektaklu Julii Holewińskiej granym w Teatrze Dramatycznym, pojawia się postać aktorki o losach Mikołajskiej. Wspaniale ją gra Małgorzata Niemirska. Ja odbieram te wybory w kategoriach ofiary.

Piotr Zaremba

epresa.pl 1019364 bb

Michał Korsun prezentuje:
Donaldzie Tusku, kiedy benzyna za 5 złotych?

Wycinki z przeszłości

Dziś w naszym kąciku kilka żartów z pisma „Wielkopolska Ilustracja" z wiosny 1929 r.

Ciocia Frania przychodzi w odwiedziny. Mała Elżunia pyta: – Ciociu, czy jesteś naprawdę aktorką?

– Jak to?

– Bo wczoraj tatuś powiedział, kiedy się dowiedział, że masz przyjść, „znowu będziemy mieli teatr".

* *

– Wyrosłeś, Karolku, na całkiem ładnego chłopca. Będziesz zupełnie podobny do ojca.

– Mamusia też się tego boi.

* *

– Co, chce pan podwyżkę? Mogę panu dodać najwyżej 10 zł miesięcznie.

– To niech już pan nie daje wcale, panie szefie. Założyłem się o 50 zł, że nie dostanę wcale podwyżki.

* *

– Ależ Jagusiu, jak mogłaś się dać całować kominiarzowi?

– Sama nie wiem proszę pani, nagle zrobiło mi się czarno przed oczami.

(mk)

— Nareszcie uspokoił się ten brzdąc, będę mógł przynajmniej bez przeszkody czytać gazetę.

Z WOLEJA

Ruska gra

Ryszard Czarnecki

Prezes Polskiego Związku Piłki Nożnej przegrał wybory do władz UEFA (europejska federacja futbolowa) dzięki akcji podjętej przez Rosję. To swoiste „podziękowanie" strony Moskali za to, że PZPN był pierwszym związkiem na świecie, który po agresji Rosji na Ukrainę rzucił hasło bojkotu Sbornej, czyli reprezentacji agresora. Wtedy nie wszyscy byli chętni, żeby to zrobić – łamali się Szwedzi, wątpliwości mieli Czesi. Cezary Kulesza był jednoznaczny i teraz zapłacił za to cenę. UEFA i FIFA (światowy związek piłkarski) utrzymały zapoczątkowany wtedy bojkot, choć np. władze światowego tenisa pozwalają grać na turniejach wielkiego szlema i ATP tenisistom z Rosji.

Do Komitetu Wykonawczego UEFA przegłosowano siedmiu członków. Polak był ósmy, czyli jest pierwszym niewchodzącym. Do władz dostał się za to mocno popierany przez Rosjan Ormianin, choć nie ruszył się z Erywania, aby prowadzić swoją kampanię wyborczą i ponoć nawet nie wykonał w tej sprawie żadnego telefonu. Rosja nie gra w rozgrywkach międzynarodowych ani reprezentacyjnych, ani klubowych, ale wciąż ma wpływy.

Jednocześnie Kulesza dostał znacznie więcej głosów niż legendarny napastnik reprezentacji Ukrainy i AC Milan Andrij Szewczenko czy świetny sędzia piłkarski z Portugalii (sędziował kiedyś mecz Polski z Niemcami). Arbiter z Półwyspu Iberyjskiego przegrał z prezesem PZPN o 15 głosów, a snajper z Kijowa (a potem Mediolanu) o 5. Co do Szewczenki – ciekawostka, o której wielu naszych wschodnich sąsiadów nie chce już pamiętać: gdy był trenerem reprezentacji Ukrainy (z raczej średnimi wynikami), dziennikarze i kibice zarzucali mu, że mówi po rosyjsku, a nie po ukraińsku.

Wracając do prezesa Kuleszy – trzeba jasno powiedzieć, że Moskale wystawili mu rachunek. Dziś należy okazać mu solidarność, a nie ku uciesze Rosjan naśmiewać się, że przegrał wybory nawet z gościem z Kaukazu Południowego.

Tym, co mnie oburzyło, jest reakcja różnych mediów nad Wisłą na porażkę bądź co bądź Polaka podczas elekcji do futbolowej eurocentrali. Nie dostrzegli gry Ruskich – cóż, wygodniej było im być ślepymi. Ale to, że w zasadzie cieszyli się z porażki Polaka, było więcej niż słabe. Reakcją na takie zachowania niektórych mediów czy eksdziałaczy może być tylko cytat z „Operetki" Gombrowicza, w której jeden z bohaterów omiata scenę pogardliwym spojrzeniem i mówi tylko: „Rzyg, rzyg, wymiot"...

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

*Dane do przelewu w stopce redakcyjnej

epfasa.pl efe16954bb

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Uciszyć dzwony

Wyobrażacie sobie Wielkanoc bez bijących dzwonów? Albo milczące kościelne wieże, gdy pora na Anioł Pański? O ślubach i pogrzebach bez dźwięku dzwonów nie wspominając...

O biciu kościelnych dzwonów, które przeszkadzało części mieszkańców toruńskiej dzielnicy Koniuchy, pisaliśmy już kilka lat temu („Sieci" 1/2017). Miał tam miejsce spór – dźwięk dzwonów z parafii Miłosierdzia Bożego zawadzał niektórym tak bardzo, że trzeba było go ściszyć. Przecież rano ludzie muszą się wyspać.

PETYCJA OBYWATELSKA

Pod koniec stycznia br. mało znana Fundacja Dobre Państwo skierowała do Sejmu petycję, w której domaga się usunięcia z ustawy „Prawo ochrony środowiska" (z 2001 r.) wyjątku od przestrzegania limitów hałasu obejmującego instalacje znajdujące się w miejscach kultu religijnego. Dokładnie chodzi o dzwony kościelne, które są za głośne i psują komfort życia. To jedna z kilkudziesięciu petycji tego podmiotu.

Petycja liczy aż 13 stron. Jest napisana w stylu mającym nasuwać skojarzenie z przypowieściami z Ewangelii lub kazaniami kościelnymi. Mamy np. zwroty: „Zaprawdę, powiadam wam" albo: „Oto więc, pytamy was umiłowani". Czy miała to być ironia? U nas taka narracja raczej budzi niesmak.

DZWONKI, WIBRACJE, POWIADOMIENIA…

Autorzy petycji postawili dźwięk bijących dzwonów na równi ze zwykłym hałasem. Argumentują, że choć bijące dzwony mogą być ważne dla wiernych, dla wielu są uciążliwe. Zakłócają spokój oraz „komfort akustyczny". Dlatego ich zdaniem należałoby wprowadzić normy dotyczące godzin i poziomu „hałasu" dźwięku dzwonów, aby pogodzić potrzeby religijne z prawem mieszkańców do ciszy.

Zgiełk, w jakim żyjemy, nawet nie pozwala nam zauważyć, że już dawno nie mamy spokoju

Jakiej ciszy? – zapytujemy. W erze zgiełku bodźców, który stał się naszą codziennością, a technologia wkradła się w każdy zakamarek życia, prawdziwej ciszy, warunków do bycia tylko ze swymi myślami, już po prostu nie ma.

Zatraciliśmy się w pogoni za doznaniami. Bodźcujemy się na potęgę. W wielu domach telewizory są włączone na okrągło. Dzieciaki bez stymulującej muzyki nie się potrafią... skupić na nauce. Na ulicach coraz więcej ludzi ze słuchawkami w uszach.

I nagle odwieczne dzwony stały się uciążliwym hałasem? Dźwięk, który przez wieki porządkował czas, wzywał do modlitwy, ogłaszał radość albo bił na trwogę, teraz jest postrzegany jako przeszkoda w codziennym życiu?

A może trzeba uczciwiej podejść do problemu: czyż setki innych, uciążliwych zanieczyszczeń środowiska i psychiki o wiele bardziej nie zagrażają naszemu dobrostanowi?

NIEZNOŚNE BRZMIENIA

W pociągach albo tramwajach co chwila dzwonią telefony. W biurach niemal non stop słychać momentami nieznośne „plumkania" z komputerów albo telefonów. A to do kolegi przyszedł e-mail, a to przypomnienie, że za chwilę spotkanie na teamsach albo inne powiadomienie z jakiejś apki. Nic dziwnego, że wśród nowych współczesnych zaburzeń psychicznych pojawił się tzw. syndrom FOMO (Fear of Missing Out), czyli lęk przed przegapieniem czegoś ważnego, o czym można się dowiedzieć tylko będąc gdzieś zalogowanym.

Codziennie biernie chłoniemy krzykliwe reklamy. W metrze, na bilbordach, w internecie, w telewizji. Czy tego chcemy, czy nie, niemiłe, czasem obsceniczne obrazki i dźwięki atakują nasze zmysły. Nie dają chwili wytchnienia.

Co tak naprawdę zakłóca nasze otoczenie? Na pewno nie kościelne dzwony. Zgiełk, w jakim żyjemy, nawet nie pozwala nam zauważyć, że już dawno nie mamy spokoju. Nie reagujemy nawet na wulgaryzmy słyszane w rozmowach prowadzonych tuż obok. Słowo na „k" tak spowszedniało, że mało komu zgrzyta w uszach.

ŁATWIZNA

No, ale łatwiej walczyć z kościelnymi dzwonami niż z prawdziwie szkodliwymi zanieczyszczeniami środowiska przez cyfrowy hałas czy nadmiarowe światła. To są obszary niszczenia naszej psychiki, które powinny nas martwić.

Być może bicie kościelnych dzwonów to jeden z nielicznych ostatnich wartościowych sygnałów, które są świadectwem więzi z naszymi przodkami.

Komu się spodoba tak ambitna innowacja kulturowa – by uczcić naszą tysiącletnią historię zablokujmy dzwony naszych świątyń?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl efe16964bb

wPolsce 24

Ruszamy w Polskę, żeby spotkać się z naszymi Widzami!

Dołączcie do nas – zróbmy wspólne zdjęcie i porozmawiajmy o polskich sprawach!

Odwiedzimy kilkaset miejscowości.

Sprawdź, gdzie możemy się spotkać.

Szczegóły w telewizji wPolsce24, na facebook.com/telewizjawpolsce i portalu wPolsce24.tv

GDZIE NAS OGLĄDAĆ:

52	192	32	825	196	65	459
telewizja naziemna	netia	orange	vectra	polsat box	PLAY dawniej UPC	inea

eprasa.pl efe16964bb

TYLKO DLA PRENUMERATORÓW WERSJI PAPIEROWEJ SIECI

JEŻELI BĘDZIECIE MOI, ZWYCIĘŻYCIE

Książka ważna dla wszystkich wierzących, którzy z niepokojem patrzą na świat bez Boga, pełen dramatycznych wydarzeń i szturmu sił ciemności na Kościół. Czy nastały czasy ostateczne?
Czy powiedzie się zbawczy plan Maryi?
Czy ludzie otworzą serca przed Bogiem?

304 STRONY | OBJAWIENIA MATKI BOŻEJ Z MEDJUGORJE I FATIMY

50 książek w prezencie

Fot. Shutterstock

Książkę **„Jeżeli będziecie moi, zwyciężycie”** otrzymasz **GRATIS**, **zamawiając roczną prenumeratę** tygodnika SIECI za **375 zł**.

Zyskujesz nie tylko książkę w prezencie – dodatkowo oszczędzasz aż 282,90 zł (w porównaniu z ceną detaliczną), a każdy numer tygodnika trafia wygodnie wprost do Twojej skrzynki.

Zamów już dziś na: **www.sieciprawdy.pl/prenumerata**

Jeśli nie korzystasz z internetu, po prostu dokonaj wpłaty za prenumeratę na konto 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl efe16964bb